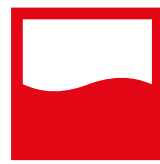


GALA TERAZ POLSKA

MAGAZYN

MAGAZYN Teraz Polska



TERAZ POLSKA



ISSN 2299-1395





OTWIERAMY PODDASZE

OKNA TARASOWE FOP

Nowa generacja okien dachowych **GREENVIEW**

Nowoczesne, duże okna dachowe, które po otwarciu skrzydeł tworzą komfortowe wyjście na taras lub balkon. To funkcjonalne rozwiązanie daje nowe możliwości aranżacji i wykorzystania dodatkowej, zewnętrznej przestrzeni na tarasie, która do tej pory była niedostępna.

Okno nagrodzone złotym Medalem Targów Budma 2025.



FAKRO®



© KAMIL BROSKO

Wolność jest jak powietrze

Lubimy myśleć o wolności jak o nieograniczonym prawie do samorealizacji. Ale wolność to także odpowiedzialność – za słowa, za wybory, za sąsiada. Europa zbudowała swoją wielkość na przekonaniu, że człowiek nie jest tylko trybikiem w maszynie państwa, ale przede wszystkim istotą zdolną do refleksji, tworzenia, czasem błędzenia. Musimy tego szczególnie pilnować, także dzisiaj, gdy coraz częściej słyszymy, że pewnych rzeczy nie wolno mówić. Musimy pamiętać o Sokratesie, który wołał wypić cykutę, niż wyrzec się prawa do zadawania pytań.

Aktualny numer „Magazynu Teraz Polska” ma premierę podczas 35. Gali „Teraz Polska”, a zarazem dzień po naszym wielkim święcie demokracji – drugiej turze wyborów prezydenckich. Warto więc w tym wyjątkowym dniu przypomnieć, że demokracja to nie tylko wybory. To codzienne, cierpliwe przekonywanie się nawzajem, że różnice nie muszą dzielić. To wiara, że nawet gdy przeciwnik polityczny wydaje się głuchy, warto rozmawiać, zamiast sięgać po agresję. Ale demokracja wymaga też wyjątkowej czujności. Gdy ktoś obiecuje „proste rozwiązania” w zamian za nasze wolności, powinniśmy bronić się i stawiać opór. Pamiętajmy, że demokrację nieraz dławiono w białych rękawiczkach, pod pozorem ochrony przed chaosem.

Nieustannie natrafiamy w mass mediach na ponury refren naszych czasów: wojna, katastrofa klimatyczna, imigranci, kryzys. Nie neguję oczywiście współczesnych wyzwań i problemów, rozumieć niepokoje. Problem jednak w tym, że w tle tego czarnowidztwa przemycą się idee mówiące o konieczności przeformatowania naszych kluczowych wartości.

Żyjemy w wolnym kraju, gdzie jedni klękają w kościołach, a inni wzdragają się na samą myśl o tym. Ale obie te grupy wciąż mogą i po-

winny porozumieć się na wielu innych płaszczyznach. I warto, żeby ci drudzy pamiętali, że chrześcijaństwo dało nam coś niezwykłego: przekonanie, że każdy człowiek – bez względu na pochodzenie – ma godność. Że słaby zasługuje na ochronę, a grzesznik na drugą szansę. Że państwo (i Kościół) nie jest Bogiem, a władza nie może deptać sumień. Gdy Europa zapomina o tych wartościach, staje się tylko rynkiem, na którym wszystko jest na sprzedaż, nawet ludzka dusza. Reasumując: dziś szczególnie powinniśmy połączyć otwartość z rozważą. Bronić demokracji, nie wpadając w ksenofobię. Cenić wolność, nie porzucając odpowiedzialności. I pamiętać, że Europa to nie tylko kontynent – to pewien sposób myślenia o człowieku.

I na koniec dwa słowa do środowisk mi najbliższych z racji mojej działalności redakcyjnej, ale także z powodu szefowania Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego. Jest taka stara prawda, którą zna każdy, kto kiedykolwiek próbował pomóc dziecku budować zamek z piasku: im bardziej się starasz, tym gorzej wychodzi. Podobnie jest z gospodarką. Europa, która niegdyś podbiła świat dzięki kupcom, wynalazcom i ciekawskim wariatom w pracowniach alchemicznych, dziś często traktuje przedsiębiorczość jak podejrzaną działalność, którą należy nieustannie regulować, opodatkowywać i której trzeba moralizować. Tymczasem wolność gospodarowania to nie fanaberia bogatych – to powietrze, bez którego duszą się i mały warsztat, i wielki przemysł. Bo gospodarka to nie maszyna, którą da się zaprojektować w ministerstwach, lecz żywy organizm, który rośnie, kiedy się go nie depcze.

Życzę Państwu, niezmiennie, wartościowej lektury i optymizmu. A wszystkim laureatom 35. edycji Konkursu „Teraz Polska” nie tylko po stokroć gratuluję, ale przede wszystkim dziękuję – za ich inspirujące sukcesy, przykład dobrej roboty, wiarę w powodzenie i wytrwałość.

Krzysztof Przybył

*Redaktor naczelny
Prezes Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego
„Teraz Polska”*



MAGAZYN
FUNDACJI
POLSKIEGO GODŁA
PROMOCYJNEGO
www.terazpolska.pl

Magazyn
TERAZ POLSKA

Redaktor naczelny:
Krzysztof Przybył
Redaktor prowadząca:
Marzena Tataj
Redakcja:
Kamil Broszko
Okładka:
Piotr Pietrzak

Adres redakcji:
ul. Górskiego 1,
00-033 Warszawa
tel. 22 201 26 90
e-mail:
m.tataj@terazpolska.pl
www.magazynterazpolska.pl

Wydawca:
Fundacja Best Place
– Europejski Instytut
Marketingu Miejsc
na zlecenie
Fundacji Polskiego
Godła Promocyjnego
„Teraz Polska”
www.bestplaceinstitute.org

**Projekt graficzny
i skład:**
Tamburyn, www.tamburyn.eu

Korekta:
Kamil Broszko

Druk:
KRM Druk Miller Sp. k.

Temat numeru

- 6 **Od wyborów do wyborów.** Próba bilansu i co może z niej wyniknąć.
Esej *Andrzeja Rycharda*
- 10 **Chrześcijaństwo, choć osłabione i przez niektórych odsyłane na margines, wciąż istnieje jako żywa i dostępna tradycja.**
Z *Tomaszem Stawiszyńskim* rozmawia *Kamil Broszko*.
- 16 **Systemy generatywnej sztucznej inteligencji nie mają potencjału do rozwinięcia świadomości.**
Z prof. *Aleksandrą Przegalińską* rozmawia *Kamil Broszko*.

Gospodarka

- 22 **Polska ma szansę utrzymać stabilność gospodarczą, a nawet wyznaczać pozytywne trendy na tle Unii Europejskiej.**
Z prof. *Pawłem Wojciechowskim* rozmawia *Kamil Broszko*.
- 27 **W swoim zakładzie czuję się najlepiej.**
Z *Antonim Gawińskim*, założycielem i prezesem zarządu Jawor-Parkiet, rozmawia *Marzena Tataj*.
- 30 **Kiedy zabieramy dzieciom smartfony, okazuje się, że muszą zacząć ze sobą rozmawiać.** Z *Krzysztofem Alchimowiczem*, założycielem i prezesem Chris Turystyka i Rekreacja, rozmawia *Kamil Broszko*.
- 34 **Zrozumiałem, że mogę zbudować wyjątkową markę.**
Z *Arkadiuszem Sadowskim*, twórcą marki Pasieki Rodziny Sadowskich i prezesem spółki Miodziarze, rozmawia *Kamil Broszko*.

Polacy

- 40 **Jestem tu, gdzie powinienem być.** Z drem *Piotrem Pietrzakiem*, grafikiem, malarzem i ilustratorem, rozmawia *Marzena Tataj*.
- 44 **Zawsze czuję się ambasadorem Polski.**
Z *Wojciechem Fibakiem* rozmawia *Michał Lipiński*.

Idee

- 50 **Narracja o wadach narodowych to narzędzie kolonialnej dominacji.** Z prof. *Markiem Kochanem* rozmawia *Kamil Broszko*.
- 58 **Polska szkoła w kryzysie. Dlaczego reformy nie działają.**
Z prof. *Romanem Leppertem* rozmawia *Anna Siedlińska*.
- 63 **Opinie o zmierzchu radiofonii są zdecydowanie przedwczesne.**
Z *Andrzejem Mietkowskim* rozmawia *Kamil Broszko*.
- 67 **Pierwsza Rzeczpospolita czeka na swoją opowieść.**
Marcin Rosołowski
- 71 **Jak wyglądały transformacje nowoczesności III Rzeczpospolitej.**
Z prof. *Andrzejem Szczerskim* rozmawia *Anna Karahan*.

Regiony

- 76 **Promotorzy Polski ze Śląska, czyli o wadze decentralizacji idei i wartości.** *Kamil Broszko*

Gala „Teraz Polska” – katalog

78

POLSKIE LINIE LOTNICZE



A STAR ALLIANCE MEMBER



LOT BUSINESS LOUNGE

CHICAGO O'HARE TERMINAL 5

Polska gościnność w sercu Ameryki

Zapraszamy pasażerów wszystkich linii lotniczych do nowego Business Lounge na lotnisku w Chicago. Salonik od koncepcji po perfekcyjny efekt został stworzony wspólnie z rodzimymi markami w duchu polskiego designu i rzemiosła najlepszej klasy.

KUP WEJŚCIÓWKĘ W RECEPCJI SALONIKU

Od wyborów do wyborów

Próba bilansu i co może z niej wyniknąć

Esej Andrzeja Rycharda

Kto traci, a kto zyskuje po blisko półtora roku działania koalicyjnego rządu Donalda Tuska?

Czy bilans zysków i strat zależy od rządzących, czy raczej od zjawisk i procesów przez nich niekontrolowanych?

I jaka z tej próby bilansu może wyłonić się przyszłość?

Zanim przystąpię do próby odpowiedzi – jedno zastrzeżenie. W czasach rosnącej niepewności na świecie, która i nas nie omija, w Polsce trudno przewidzieć przyszłość, ale nawet i... przeszłość. W obliczu tak skrajnie spolaryzowanych wizji świata nie sposób oczekiwać konsensusu – ani w sprawie historii, ani tym bardziej przyszłości. Oczywiście jest, że wyborcy Platformy Obywatelskiej i Prawa i Sprawiedliwości snują zupełnie inne opowieści, choćby o latach poprzedzających rok 2023. A gdy mowa o prognozowaniu jutra, do podziałów dochodzi niepewność, która rośnie. Być może zatem nie istnieje jedna p r z e s z ł o ś ć ani jedna p r z y s z ł o ś ć, są tylko różne o n i c h o p o w i e ś c i.

Ale problem w tym, że właśnie czasy niepewne skłaniają do poszukiwania jasnej odpowiedzi na pytanie: dokąd to wszystko zmierza? A może przedtem trzeba zadać sobie pytanie: czy to wszystko w ogóle zmierza d o k a d ś? Ludzie nie lubią żyć w niepewności. I dlatego zrozumiałe jest poszukiwanie prostej odpowiedzi na pytanie o kierunek zmian. Taka odpowiedź ma bowiem zredukować niepewność. Ale bądźmy tu ostrożni. Po pierwsze, mogą wtedy pojawiać się populistyczni szarlatani, którzy zechcą uwodzić społeczeństwa jasnymi pseudoodpowiedziami. A po drugie, nie zawsze wszystkim rządzi jakiś nieuchronny proces, nie zawsze wszystko dokądś zmierza. Ogromną rolę odgrywają zdarzenia nie do przewidzenia, nadzwyczajne, niekiedy będące wynikiem na przykład relatywnie niewielkich zmian. Tak jak głębokie zmiany wprowadzone przez osiem lat rządów PiS były przecież skutkiem niewielkiego zwycięstwa wyborczego w 2015 r., a nie rezultatem nieuchronnego procesu historycznego. Dlatego trzeba raczej ostrożności w syntezach tego, co jest, i w przewidywaniu tego, co być może.



Jednak po tym, co powyżej, zamierzam dokonać jakiejś próby bilansu i – co bardziej ryzykowne – ostrożnego przewidywania. Bilans jest trudny i nie do końca jednoznaczny, choć w moim przekonaniu raczej pozytywny, jeśli weźmiemy pod uwagę rządy koalicji. Zaczniemy od minusów.

Niektóre segmenty elektoratu, kluczowe dla powstania obecnej koalicji rządzącej po październikowych wyborach w 2023 r.,



© KAKA.MEDIA (3)

zdradzają dziś oznaki rozczarowania. Młodzi wyborcy, kobiety uważają, że ich postulaty, u nas nieco umniejszająco nazywane „obyczajowymi”, nie znajdują skutecznej realizacji. Swoją drogą, czy rzeczywiście powinniśmy w ten sposób określać sprawę dekryminalizacji aborcji czy szerzej – praw mniejszości? To przecież elementy praw człowieka. Językowe spychanie ich na pobocze debaty samo w sobie jest formą umniejszania.

I tu istotnie sprawczości za bardzo nie widać. Tyle że patrząc na wyniki pytania CBOS o priorytety dla rządu, widzimy, że taka kwestia jak na przykład „złagodzenie prawa aborcyjnego” znajduje się na trzecim miejscu od końca na liście 12 wymienionych priorytetów (CBOS Flash nr 5/2025). Nie oceniając więc, widzimy, że dla ogółu populacji nie jest to kwestia najważniejsza, choć

dla tego młodego i głównie kobiecego „naddatku”, który dał zwycięstwo koalicji, a generalnie dla elektoratu KO, jest ważna. I stąd wynika, że dla potencjalnego elektoratu takiego kandydata jak Rafał Trzaskowski jest to sprawa istotna.

Kolejnym może nie minusem, ale jakimś problemem jest kwestia rozliczeń poprzednich rządów. Jest ona zdominowana przez dyskusję, czy można szybciej, zarazem nie naruszając praworządności. I znów w tych samych badaniach CBOS widać, że co prawda dla ogółu Polaków to nie jest kwestia pierwszoplanowa (drugie miejsce od końca na tej samej liście priorytetów), ale dla elektoratu KO jest bardzo ważna. Podobnie jak „usprawnienie działania sądów i prokuratury” jest dla owego elektoratu ważniejsze niż dla całej populacji. Moim zdaniem błąd rządzących polega na wytworze-



Andrzej Rychard

– socjolog, profesor nauk humanistycznych, wykładowca akademicki. Ukończył studia z zakresu socjologii na Uniwersytecie Warszawskim. Zawodowo związany z Instytutem Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk, jest dyrektorem tej jednostki. Przewodniczący Rady Fundacji im. Stefana Batorego. Był wykładowcą na Wydziale Nauk Humanistycznych i Społecznych Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej. Autor wielu prac dotyczących socjologii instytucji politycznych, gospodarczych i socjologii transformacji, komentator życia publicznego w mediach.

niu oczekiwania, że możliwe jest zrobienie tego przez jakieś jedno wielkie uderzenie. Zdecydowanie stoję tu po stronie poglądu Ewy Łętowskiej, która nie popiera podejścia typu *big bang*, a raczej sugeruje politykę małych, ale widocznych kroków. Skuteczność i sprawczość w konkretach. To może bowiem działać na konformistycznych urzędników i urzędy, które często stosują strategię „poczekamy, zobaczymy”. A mit sprawczości jest ważny, jej oczekiwanie jest przeogromne. Wzmaga się dodatkowo przez poczucie niepewności. Sprzyja temu też specyficzne postrzeganie demokracji przez Polaków, którzy wedle badań Europejskiego Sondażu Społecznego oczekują od niej bardziej załatwienia czegoś niż stosowania procedur. Wszystko ma być zaraz. A do urzędników przemawia konkret, nawet niewielki, ale widoczny, i on może przechylić szalę zachowań i budować nowe kierunki lojalności.

Drugim błędem w tym obszarze było moim zdaniem stworzenie przekonania, że przywracanie demokratyczno-liberalnego ładu instytucjonalnego to głównie kwestia prawa. To sprzyja swoistej jurydykacji w społecznym oglądzie tej sfery. A przecież nie całe zło, jakie PiS wyrządził instytucjom demokracji liberalnej, da się usunąć na salach sądowych i podczas obrad rozmaitych komisji! Wiele z tego zła to nie były akty kryminalne, ale psucie reguł i praktyk demokracji. Budowa całych sieci własnych instytucji nie zawsze odbywała się z naruszeniem litery prawa. Widać to przy problemach z rozliczeniami niektórych inicjatyw PiS. Ubocznym efektem tej „jurydykacji” jest też przesunięcie społecznej uwagi z celów na środki. Nie tyle ważne jest, co kto zezna, ale podstawowym problemem staje się to, czy tego kogoś uda się doprowadzić, przesłuchać, aresztować. To oczywiste, że bez tego nie będzie zeznań. Ale czasami mam wrażenie, że ewentualne zeznania schodzą już na plan dalszy, że uwaga jest skupiona właśnie na środkach, a nie celach.

Kolejnym problemem rządzących jest w moim przekonaniu już nie to, co wynika z nie do końca spełnionych obietnic czy z borykania się z „dziedzictwem” PiS. To problem dotyczący borykania się z samymi sobą – czyli poziom lojalności vs. nielojalności wewnątrz koalicji. I jest on niemały, a w okresie kampanii prezydenckiej bardzo urosł. To nie tylko taktyka Szymona Hołowni, który wciąż gra w grę udawania, że jest poza znienawidzonym przez siebie „duopolem”, ignorując fakt bycia w istocie jego częścią. W ten sposób nie buduje wiarygodności ani swojej, ani koalicji, w której w końcu uczestniczy. Podobnie prezydencka kandydatka lewicy Magdalena Biejat nie szczędzi przytyków pod adresem koalicji. W kampanii prezydenckiej, a szczególnie w debatach, widać było, jak głównym celem ataku właściwie wszystkich stawał się Rafał Trzaskowski. To w jego stronę leciały strzały – zarówno z opozycji,

jak i z koalicji. Że z opozycji, to jasne. A to, że dostawało mu się i od koalicjantów, tłumaczono, iż walczą oni nie tyle o prezydenturę, co o polityczne przetrwanie zarówno ich samych, jak i macierzystych organizmów politycznych. To fakt, ale czy takie tłumaczenie usprawiedliwia wszystko? Czy da się zapomnieć o tych atakach przed drugą turą? Czy wiarygodnie zabrzmiały ewentualne i nawet jednoznaczne (o ile będą) nawoływania, żeby głosować w drugiej turze na Rafała Trzaskowskiego? One zawsze mają ograniczoną skuteczność, bo elektoraty nie są własnością swych przywódców, tym bardziej, gdy w kampanii było tyle ataków. Generalnie niespójności i napięcia w koalicji nie budują jej poparcia, stanowią dla niej istotny problem.

Ale i po stronie samej głównej partii rządzącej, czyli PO, widać pewne ruchy, które mogą budzić wątpliwości. Oto rozwija się mit „deregulacji”. A to nie nadmiar regulacji jest problemem polskiego życia instytucjonalnego i gospodarczego, lecz raczej jej umiejscowienie. Państwa jest za dużo tam, gdzie powinno go być mniej (na przykład kontrola polityk personalnych w organizacjach różnych), a za mało tam, gdzie powinno go być więcej (na przykład plany strategiczne o horyzoncie wykraczającym ponad jedną kadencję). I teraz pojawia się nowe hasło: repolonizacja gospodarki. Przy pewnym rozumieniu zapewne słuszne i potrzebne. Ale jak wprowadzać re-

polonizację przez deregulację? Zapewne można, ale przecież repolonizacja może wymagać właśnie regulacji, a nie ich prostej redukcji. Warto tu pytać rządzących o dokładniejsze plany w tym zakresie.



A plusy tego bilansu? Paradoksalnie widzę je głównie w zagrożeniach, które nas otaczają, bo w takiej sytuacji ważne jest, jak rządzący sobie z nimi radzą. Chodzi o zagrożenia bezpieczeństwa i wiążącą się z nimi narastającą niepewność. To nie tylko wojna za naszymi granicami, nie tylko meandrująca polityka USA, ale i czynniki wewnętrzne. Trzeba bowiem

też wspomnieć o bezpieczeństwie socjalnym. Źródła tych zagrożeń (głównie zewnętrznych) w sporym stopniu nie są kontrolowane przez rządzących. Ale reakcja na nie już tak. Te kwestie znajdują się na górze wspomnianej tabeli badanych przez CBOS postrzeganych priorytetów dla rządu. Pierwsze miejsce zajmuje „poprawa w dostępie do świadczeń medycznych”. I tu akurat osiągnąć nie ma zbyt wielu, to fakt. Ale już kolejne priorytety, czyli „poprawa bezpieczeństwa państwa, wzmocnienie obronności”, „walka z inflacją, ograniczenie wzrostu cen” i „wzmacnianie pozycji Polski w Europie i na świecie” to kwestie, z którymi rząd nie radzi sobie najgorzej. Dodatkowo w takich sytuacjach niepewności rządzący, o ile nie popełnią istotnych błędów, dostają zwykle jakiś kredyt zaufania. I tak jest chyba u nas. Inwestujemy w obronność, inflacja jest pod kontrolą, a pozycja międzynarodowa Polski jest wzmacniana. To

W kampanii
prezydenckiej,
a szczególnie
w debatach, widać było,
jak głównym celem
ataku właściwie
wszystkich stawał się
Rafał Trzaskowski.



do pewnego stopnia redukuje niepewność, a tego zwykle ludzie oczekują od rządu.

Spójrzmy też na jakość liderów opozycji i rządzących. Po stronie PiS jest oczywisty Jarosław Kaczyński, polityk, czegokolwiek by o nim nie mówić, o klasy przewyższający innych potencjalnych liderów prawicowej opozycji. Ale jego moc i pozycja raczej mają tendencję malejącą, choć jest on nadal niekwestionowanym liderem tamtej strony. Po drugiej stronie mamy dwójkę wybitnych polityków: Donalda Tuska i Radosława Sikorskiego. Jeśli dołączy do nich Rafał Trzaskowski jako prezydent, to Polska będzie miała na kluczowych stanowiskach – prezydenta, premiera i ministra spraw zagranicznych – polityków o jakości indywidualnej i zespołowej, w porównaniu z którymi trudno znaleźć wyraźnie lepszy zespół w Europie. Rzadko myślimy w ten sposób, ale tak chyba jest. Nieprzypadkowo w międzynarodowym sondażu firmy Morning Consult Donald Tusk cieszy się najwyższym poparciem Europejczyków (52 proc.). Pokonał Macrona i Scholza (Euractive.pl, dostęp 21.04.2025). Co prawda – dodajmy dla porządku – to badanie sprzed ponad roku, a przez ten czas prezydent Macron zapewne bardzo wzmocnił dzięki aktywności swą pozycję, ale jego problemy rządowe pozostały. Podobnie, mimo oczekiwań, wciąż nie wiemy, jakie rezultaty przyniesie sukcesja w Niemczech. Tu więc Polska ma potencjał, a problemy europejskie i generalnie międzynarodowe mają co-raz większe znaczenie przy ocenie polityki wewnętrznej. Przez wojnę, przez to, co w USA, polityka zagraniczna i sprawy regionalno-światowe stają się coraz mocniej splecione z krajowymi.

Te kwestie warto widzieć na tle bardziej długotrwałych trendów. Pod koniec 2023 r. w kolejnej edycji Europejskiego Sondażu Społecznego, realizowanego u nas przez IFiS PAN, okazało się, że na skali od 0 do 10 Polacy ocenili swe zadowolenie z życia na 7,4, i był to najwyższy wynik od początku badania (zaczęło się od 5,8 na początku tego wieku), zaś tendencja jest stale rosnąca (wywiad z Michałem Kotnarowskim, „Polityka” nr 15/3510). Oczywiście nie demonizowałbym tego wyniku. Przede wszystkim nie jesteśmy pewni, w jakim stopniu zadowolenie z życia wiąże się z dobrą oceną rządzących. Może Polacy uważają, że zawdzięczają je sobie, a nie polityce? Cały czas trzeba mieć w pamięci lekcję z roku 2015, gdy PO przegrała wybory mimo niezłej sytuacji gospodarczej. Ale wówczas pisała na billboardach coś w stylu „nie róbmy polityki, budujmy szpitale” i ludzie uwierzyli, że to, co zbudowali, to swym wysiłkiem, a nie dzięki polityce. I nie widzieli powodu, żeby polityków nagradzać. PO przegrała więc między innymi dlatego, że odłączyła sukces od polityki. I dochodzi do władzy Jarosław Kaczyński i jednym ruchem przywraca ten związek: ja, polityk, daję ci, panie Kowalski,

500 złotych na każde dziecko w rodzinie. Ta lekcja nie może zostać zapomniana. Trzeba znaleźć język, w którym ukaże się związek wzrostu roli pozycji w Europie z indywidualną sytuacją przeciętnego człowieka. To dotyczy na przykład wykazywania związku pieniędzy z KPO z poprawą sytuacji ludzi. Tu trzeba konkretnie. Mówi o tym sporo pani minister Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, ale czy jej wysiłki wystarczą? To jest trudne, bo już nie działają i nie bardzo są możliwe transfery indywidualnych benefitów socjalnych, tu trzeba zmian instytucjonalnych w politykach publicznych, a o nich bardzo trudno mówić w języku budzącym zainteresowanie ludzi.



Moja próba bilansu jest bardzo indywidualna. Skupiłem się na kilku kwestiach, z pewnością nie na wszystkich. I takie też będzie moje przewidywanie. Nade wszystko przypomnę zasadę ostrożności: nie szukajmy za wszelką cenę odpowiedzi na pytanie, dokąd to wszystko zmierza. Skupmy się na rozpoznawaniu, diagnozie tego, co jest. Nie zakładajmy też, że istnieją jakieś historyczne nieuchronności. Oczywiście zachodzą procesy, na przykład stopniowe modernizowanie się polskiego społeczeństwa. Ale nigdy nie wiemy, co je przyspieszy, a niekiedy zakłóci. Gdyby w 1989 r. satelici PZPR nie opuścili jej i nie dołączyli do Solidarności, to nie byłoby – przynajmniej wtedy – rządu

Mazowieckiego (tu trzeba jednak pamiętać o istotnej chyba roli braci Kaczyńskich w przekonaniu Wałęsy do tego ruchu). A Solidarność byłaby przez jakiś czas tylko legalną opozycją. Komunizm by upadł, ale nie musiał wtedy. Nie byłoby przeobrażenia i stopniowego niszczenia liberalnych instytucji przez PiS, gdyby nie niewielka w końcu wygrana w wyborach w 2015 r. To też nie było nieuchronne.

Czyli bardzo wiele zależy od nas, od naszego uczestnictwa w demokracji. I z tego punktu widzenia wybory prezydenckie w 2025 r. są tak ważne. Kto wie, czy nie ważniejsze niż parlamentarne

Po stronie PiS jest
oczywisty Jarosław
Kaczyński, polityk,
czegokolwiek by
o nim nie mówić, o klasy
przewyższający innych
potencjalnych liderów
prawicowej opozycji.

w 2023 r. Gdyby po tamtych PiS utworzył rząd, to można nawet zakładać, że nie dążyłby tak mocno w stronę autokracji, ale – by nie rozmiącać się z nastrojami i nie pogarszać relacji z UE – pokazałby trochę „PiS-u z ludzką twarzą”. Jednak w wyborach prezydenckich w przypadku wygranej kandydata PiS sytuacja byłaby inna. Przede wszystkim to może skutkować postępującą destrukcją strony liberalno-demokratycznej, poszukiwaniami nowych potencjalnych koalicjantów przez PiS, co w konsekwencji może tworzyć bazę do zwycięstwa w wyborach parlamentarnych. Dlatego ten wynik jest tak ważny. Zwycięstwo Rafała Trzaskowskiego zmieni ten obraz diametralnie. Będzie możliwość dalszego dynamizowania zmian, dalszego wzrostu pozycji międzynarodowej Polski. I znów widać, jak wiele zależy od naszego aktywnego uczestnictwa. Nie jesteśmy przedmiotem polityki, bądźmy jej podmiotem.

Chrześcijaństwo, choć osłabione i przez niektórych odsyłane na margines, wciąż istnieje jako żywa i dostępna tradycja

- Alternatywne propozycje, które miały zastąpić chrześcijaństwo – od ezoteryki i popterapii, przez racjonalistyczny humanizm, po różne ideologie polityczne – nie spełniły pokładanych w nich nadziei.
- Polski Kościół to jednak kwestia wyjątkowa. Relacja Polaków z tą instytucją została głęboko naznaczona polaryzacją polityczną, która przenika całą społeczną tkankę.
- Zachód, szczególnie w narracji liberalno-lewicowych elit, tkwi dziś w postawie autonegacji – skupia się wyłącznie na winach własnej historii, takich jak kolonializm czy różne formy represji.
- Obserwuję głód rozmowy na tematy fundamentalne, takie jak: sens, cierpienie, śmierć, miłość, wolność, przemijanie, starość.
- Jeśli uznamy, że człowiek niczym nie różni się od maszyny, to nie ma już żadnego dobrze uzasadnionego argumentu przeciwko pomysłom, by „nieprzydatnych” zamykać w obozach, a może nawet eksterminować.

Z **Tomaszem Stawiszyńskim** rozmawia Kamil Broszko.



Tomasz Stawiszyński – eseista, pisarz, filozof, autor bestsellerowych książek: „Potyczki z Freudem. Mity, pokusy i pułapki psychoterapii”, „Co robić przed końcem świata”, „Ucieczka od bezradności”, „Misja Sowy. Tosia, Franek i sekrety filozofii”, „Spotkanie z filozofią” oraz „Reguły na czas chaosu”. W radiu TOK FM prowadzi „Godzinę Filozofów”. Twórca podcastu „Skądinąd” (Patronite.pl/skadinad), stały felietonista „Tygodnika Powszechnego”. W listopadzie 2024 r. ukazała się jego najnowsza książka pt. „Powrót fatum”.

© ADRIANTYNC/WIKIPEDIA

Kamil Broszko: Wydał pan niedawno książkę zatytułowaną „Powrót fatum”. Zaraz potem w mediach społecznościowych pojawiły się ożywione dyskusje, w których centralnym tematem jest pana teza o powrocie chrześcijaństwa.

Tomasz Stawiszyński: Rzeczywiście, temat powrotu chrześcijaństwa pojawia się w wielu dyskusjach dotyczących książki, choć nie jest wcale jej głównym wątkiem. Teza o odradzaniu się chrześcijaństwa padła przede wszystkim w rozmowie, której udzieliłem pod koniec sierpnia ubiegłego roku „Gazecie Wyborczej”. Powiedziałem wtedy, że w niektórych kręgach na Zachodzie zaczyna się powrót do chrześcijańskich korzeni. I moim zdaniem ten trend będzie się nasilał. Opierałem się z jednej strony na publicznych wypowiedziach ludzi wcześniej związanych z ruchem nowego ateizmu, którzy po latach zaczęli doceniać chrześcijaństwo i ubolewać nad jego zanikiem. Przykładem może być Peter Boghossian, niegdysiejszy nowy ateista, który od pewnego czasu głosi, że radykalna krytyka chrześcijaństwa nie tylko nie spełniła swoich założeń, ale zadziałała poniekąd odwrotnie. Wbrew oczekiwaniu, że osłabienie pozycji chrześcijaństwa w kulturze zachodniej wzmocni rolę rozumu, racjonalności i nauki, stało się coś innego: pustkę po chrześcijaństwie zaczęły wypełniać różne formy irracjonalności i pseudonauki.

Podkreślałem również znaczenie wypowiedzi takich postaci, jak Ayaan Hirsi Ali, Paul Kingsnorth czy Tom Holland. Ten ostatni, historyk brytyjski, w swojej monumentalnej pracy „Boże władztwo”, która na początku kwietnia bieżącego roku ukazała się na polskim rynku, przedstawia chrześcijaństwo jako fundament kultury zachodniej, którego wpływy są wciąż żywe, nawet jeśli na pierwszy rzut oka niewidoczne.

Nie sposób pominąć także danych statystycznych. Na przykład we Francji rośnie liczba dorosłych osób przystępujących do chrztu – w ubiegłym roku było to kilkanaście tysięcy osób, w tym roku liczby są jeszcze wyższe. Co istotne, mówimy o świadomych decyzjach dorosłych ludzi. Kościół francuski boryka się wręcz z problemem niewystarczającej liczby księży, by sprostać tej fali nawróceń. W Stanach Zjednoczonych proces sekularyzacji także wyhamował. Oczywiście mówimy tu o zjawiskach na niewielką jeszcze skalę, ale są one znaczące jako symptomy szerszego trendu.

W „Powrocie fatum” staram się pokazać, że alternatywne propozycje, które miały zastąpić chrześcijaństwo – od ezoteryki i pop-terapii, przez racjonalistyczny humanizm, po różne ideologie polityczne – nie spełniły pokładanych w nich nadziei. Zamiast tego coraz bardziej nas rozczarowują. Tymczasem chrześcijaństwo, choć osłabione i przez niektórych odsyłane na margines, wciąż istnieje jako żywa i dostępna tradycja.

W sytuacji współczesnego chaosu i niestabilności, w obliczu powrotu fatalizmu widzę w chrześcijaństwie potencjał, który może ponownie przyciągnąć ludzi. To zasób, który – mimo różnych założeń – nie został wyczerpany.

KB: Ale jak to by się miało manifestować w naszym kraju? Uważa pan, że w najbliższym czasie kościoły się wypełnią, tak jak pod koniec lat 80.?

TS: Nie podejmuję się żadnych przewidywań. Zwrot w kierunku chrześcijaństwa, o którym mówię, może przybierać bardzo różne formy. W przypadku Francji, gdzie wielu ludzi odkrywa na nowo katolicyzm, fascynuje mnie szczególnie motywacja tych nawróceń. Często mówi się tam o braku wspólnoty w głębokim, bezinteresownym sensie. Wspólnoty, która pozwala ludziom razem stawiać czoło fundamentalnym pytaniom i doświadczeniom granicznym. W takich przestrzeniach symbole i rytuały religijne odgrywają istotną rolę.

Polski Kościół to jednak kwestia wyjątkowa. Relacja Polaków z tą instytucją została głęboko naznaczona polaryzacją polityczną, która przenika całą społeczną tkankę. Kościół stał się jednym z emblematów tej polaryzacji, co czyni jego sytuację jeszcze bardziej skomplikowaną. W swojej książce świadomie nie zajmuję się Kościołem jako instytucją ani jego przyszłością. Piszę o chrześcijaństwie, bo sądzę, że jego odrodzenie może przybrać różne formy, niekoniecznie ściśle związane z konkretnym wyznaniem czy strukturą religijną.

Zachód, szczególnie w narracji liberalno-lewicowych elit, tkwi dziś w postawie autonegacji – skupia się wyłącznie na winach własnej historii, takich jak kolonializm czy różne formy represji. Oczywiście ten krytyczny rachunek sumienia, będący skądinąd wyłączną domeną kultury chrześcijańskiej, ma swoje znaczenie, ale wydaje się, że musimy dziś na nowo odkryć źródła naszych fundamentalnych wartości. Źródła te są greckie, żydowskie i chrześcijańskie.

Nie musi to oznaczać ściśle religijnego zwrotu. Może to być powrót bardziej kulturowy, wyrażający się w docenieniu własnych korzeni. Kościół, szczególnie w Polsce, musi przejść przez proces oczyszczenia z dawnych patologii, które wpłynęły na jego wizerunek i funkcjonowanie.

KB: Ogłoszenie pana idei wywołało intensywną reakcję znacznej części elity intelektualnej. Odnoszę wrażenie, że odebrano pana koncepcję jako pewien atak – tym bardziej dojmujący, bo przeprowadzony od wewnątrz – na ideę progresywizmu. Jak pan odebrał owe reakcje i jak się z nimi czuje?

TS: Cóż, rzeczywiście książka wywołała intensywne emocje i stała się przedmiotem licznych dyskusji. Niektóre z tych debat toczyły się w mediach społecznościowych, gdzie uwaga często koncentrowała się nie na treści samej książki, lecz na przykład na tytułach wywiadów ze mną, kilku wyrwanych z kontekstu zdaniach z tych wywiadów czy też na parafrazach moich wypowiedzi, które nie zawsze oddawały ich istotę.

W mediach społecznościowych na porządku dziennym są impetyczne reakcje na teksty, których komentatorzy w ogóle nie przemyśleli albo nawet nie przeczytali. Co raz częściej brakuje przestrzeni na choćby minimalny kredyt

intelektualnej życzliwości – zamiast tego mamy natychmiastowe próby zdyskredytowania, zakrzyczenia i obrażania. Oczywiście to także przejaw polaryzacji, fundamentalistycznych postaw rozpowszechnionych również w środowiskach deklarujących otwartość i tolerancję. Krytykowanie fundamentalizmu u innych często idzie w parze z nieświadomą jego praktyką we własnych kręgach.

Ale było także mnóstwo bardzo życzliwych i mądrych reakcji na moją książkę, nawet jeśli część z nich była krytyczna. Te głosy są dla mnie szczególnie cenne, bo zapraszają do prawdziwej rozmowy, a nie tylko do wymiany uprzedzeń.

Paradoksalnie reakcje negatywne także miały swoją wartość. Dzięki nim wiele się wyjaśniło: kto gdzie stoi, jakie ma intencje, kto jest gotów rozmawiać, a kto oczekuje wyłącznie potwierdzenia własnych poglądów. To doświadczenie, choć momentami trudne, było dla mnie niezwykle pouczające. Pozwoliło zrozumieć, kto rzeczywiście szuka dialogu, a kto preferuje bezkrytyczną afirmację swoich przekonań, reagując ogniem na każdą odmiennność. W tym sensie – mimo pewnej intensywności – jestem z recepcji książki bardzo zadowolony.

KB: Śledząc pana działalność, dostrzegam dwa nurty: z jednej strony realizację roli intelektualisty publicznego, objaśnianie świata, zachęcanie do głębszego zrozumienia czy – odwołując się do klasycznej domeny filozofii – poszukiwania prawdy, z drugiej zaś strony podejmowanie zbiorowego oddziaływania psychoterapeutycznego. Jak pan sam siebie definiuje?

TS: Pańskie wnioski wydają mi się trafne. Myślę, że najlepiej oddaje to określenie „terapia idei” Jamesa Hillmana, autora, który miał na mnie ogromny wpływ. Hillman był uczniem Junga, ale oddalił się znacznie od mistrza, poszedł własną ścieżką. Przez pewien czas pracował jako psychoterapeuta, by później porzucić praktykę gabinetową i skoncentrować się na pisaniu książek. Jego koncepcja terapii idei polegała na tym, że nie tylko jednostki, ale przede wszystkim idee obecne w kulturze wymagają analizy, przemyślenia, a często także „leczenia”.

Z tego względu trudno mi jednoznacznie zdefiniować to, co robię. Piszę eseje, które mają charakter filozofujący, ale nie uprawiam filozofii akademickiej w klasycznym sensie. Moja praca to raczej próba rozmowy o współczesnym świecie i zrozumienia go.

Pisanie zawsze było dla mnie formą rozmowy – zarówno z czytelnikiem, jak i samym sobą. To rodzaj wspólnego zastanawiania się nad rzeczywistością. Filozofia jest tu niezwykle pomocna, bo-

wiem dostarcza narzędzi pozwalających precyzyjnie formułować myśli, uwrażliwia na to, co często niewidoczne, daje język i sposób patrzenia, który pomaga dostrzec głębsze warstwy kultury, narracji czy przekazów.

Moje książki wyrastają z głęboko osobistych potrzeb. W ostatniej każda z trzech części rozpoczyna się osobistą sceną działającą jak pryzmat, przez który staram się uchwycić coś uniwersalnego. Mam poczucie, że takie podejście rezonuje z czytelnikami, o czym przekonuję się w rozmowach z nimi, czasem bardzo intymnych.

Obserwuję także głód rozmowy na tematy fundamentalne, takie jak: sens, cierpienie, śmierć, miłość, wolność, przemijanie, starość. Nasza kultura, w codziennej krzątaninie podporządkowanej logice zysku, często spycha te kwestie na margines. Dopiero w sytuacjach granicznych uświadamiamy sobie ich wagę. Problem polega na tym, że brakuje nam wtedy języka, by o nich mówić.

To właśnie poszukiwanie języka do rozmowy o sprawach zasadniczych jest jednym z najważniejszych celów mojej pracy. Staram się tworzyć przestrzeń, w której można się nad nimi zastanawiać, zanim jeszcze życie zmusi nas do bezpośredniej konfrontacji.

Musimy dziś na nowo odkryć źródła naszych fundamentalnych wartości. Źródła te są greckie, żydowskie i chrześcijańskie.

KB: W pańskiej książce „Ucieczka od bezradności” zauważalne są wątki dotyczące stawiania się „lepszą wersją siebie” – poszukiwania życia idealnego i dążenia do swojego idealnego „ja”. To tematy niezwykle aktualne w późnym kapitalizmie, w którym – przynajmniej w teorii – zaspokojenie podstawowych potrzeb pozwala nam skupić się na doskonaleniu siebie. W książce dokonuje pan krytycznej weryfikacji takiego podejścia. A czy obecna rzeczywistość, naznaczona kryzysem klimatycznym i widmem wojny, nie

wywraca zasadniczo całego paradygmatu?

TS: To doskonałe pytanie. Czy już jesteśmy świadkami tej zmiany, czy dopiero na nią czekamy? Trudno to jednoznacznie ocenić. Wydaje mi się jednak, że warto cofnąć się o kilka lat, do czasu pandemii, która – jak się zdawało – miała być wielkim weryfikatorem naszych przekonań o indywidualnej sprawczości czy sile pozytywnego myślenia. Bo przecież pandemia w brutalny sposób ujawniła śmieszność tych hiperindywidualistycznych narracji, które od dekad karmiły naszą wyobraźnię. Mechanizmy rynkowe te narracje wzmacniają i jednocześnie na nich żerują.

Przypomnijmy sobie dwa pierwsze lockdowny: wiosnę i jesień 2020 r. Pierwszy szok pandemii, potem fale chorób i śmierci. Narracje coachingowe, techniki samorozwoju, tak chętnie promowane przed pandemią, okazały się w tych warunkach kompletnie bezużyteczne. To, co naprawdę nas wtedy podtrzymywało, to real-



„Opłakiwanie zmarłego Chrystusa” – obraz włoskiego malarza i rytownika Andrei Mantegni, ok. 1480 r.

ny krwiobieg życia społecznego: praca kurierów, sprzedawczyń, pracowników ochrony zdrowia. Społeczna solidarność okazała się ważniejsza niż iluzoryczne poczucie samowystarczalności.

Pamiętam, że w tamtym okresie zaczęto wiele mówić o kosztach systemu, w którym ludzie starsi i chorzy są pozbawieni wsparcia, a domy opieki stają się epicentrami tragedii. Pandemia uwidoczniła gigantyczne nierówności i smutną prawdę, że ten system został zaprojektowany z myślą o młodych i sprawnych.

Jednak nic trwałego z tych refleksji nie wynikło. Wręcz przeciwnie, po pandemii nastąpiło jakby turbodoładowanie systemu – struktury, które wcześniej działały, teraz przyspieszyły z jeszcze większą siłą. Teorie redukcji dysonansu poznawczego tłumaczą to zjawisko następująco: nie chcemy konfrontować się z dyskomfortem, więc racjonalizujemy powrót do *status quo*.

Obecnie żyjemy w momencie potencjalnie przełomowym. Rzeczywistość społeczno-polityczna być może ulega głębokiemu przebudowaniu, nierówności pogłębiają się, klasa średnia zanika. Czy to stworzy przestrzeń dla alternatywy? Wydaje mi się, że chrześcijaństwo jako siła kulturowa może zaoferować język, symbole i struktury zdolne do podjęcia tej roli.

Z drugiej strony obawiam się, że technokratyczne i neoliberalne formy zniewolenia będą się dalej umacniać. Rynek sprytnie żeruje na naszych lękach i obawach, budując narrację, że za wszystko odpowiada jednostka. To opowieść atrakcyjna marketingowo, ale niezwykle ograniczająca. Może się więc okazać, że zamiast przełomu będziemy świadkami dalszego pogłębiania paradoksów współczesności.

KB: Jak pan postrzega wizje technoentuzjastów, którzy twierdzą, że przyszłość ludzkości to symbioza z technologią? Przykładów już dziś nie brakuje – od staruszek w japońskich pociągach rozmawiających z robotami po idee transhumanizmu. Pan również podejmował te tematy w swoich esejach.

TS: To zjawisko wydaje mi się jednym z najbardziej dziś niebezpiecznych – i nie mam na myśli samej technologii czy jej rozwoju jako takiego. Problemem jest zanik zdolności odróżniania rzeczywistości od jej imitacji. To jest proces, który odbywa się na wielu poziomach. Zaczyna się od deficytów uwagi – coraz powszechniejszych w naszym cyfrowym środowisku – a obejmuje

również spadek umiejętności krytycznego myślenia i czytania ze zrozumieniem.

Efekt? Stajemy się coraz bardziej podatni na kłamstwa, które często bardzo sprawnie podszywają się pod rzetelne informacje, a w rzeczywistości są jedynie wytworami propagandy czy dezinformacji. To pierwszy etap, prowadzący do sytuacji, w której technologia zaczyna zakłócać naszą zdolność rozumienia, co jest realne, a co nie. W końcu, i to wydaje mi się szczególnie niepokojące, może dojść do tego, że nie będziemy w stanie odróżnić człowieka od maszyny.

Już dziś, kiedy rozmawiamy z modelami językowymi, trudno nam stwierdzić, czy mamy do czynienia z człowiekiem, czy z botem. Wyobraźmy sobie jednak nieodległą przyszłość: chatboty imitujące osoby zmarłe i prowadzące ich profile w mediach społecznościowych, rozmowy wideo z „osobami”, które w rzeczywistości dawno już nie żyją. Będą one wyglądać, mówić, a nawet zachowywać się jak ich niegdyś żywe pierwowzory, całkiem nie do odróżnienia.

Ta wizja budzi we mnie głęboki niepokój. Przypomina światy opisywane przez wielkiego amerykańskiego pisarza Philipa K. Dicka, gdzie granica między rzeczywistością a iluzją została całkowicie zatarta. W jego powieściach ludzie nie wiedzą, czy żyją w prawdziwym świecie, kim są inni, z którymi się komunikują, a nawet – czy sami nie są androidami. To prowadzi do erozji poczucia tożsamości, bo jeśli nie potrafimy odróżnić, co jest realne, a co nie, zaczynamy wątpić we własną naturę.

Największym zagrożeniem jest tu jednak to, że taka utrata zdolności rozróżniania czyni nas niebywale podatnymi na manipulację. Stajemy się idealnym obiektem programowania – plastycznym, sterowalnym, niemal bezwolnym. A technologia, która pozwala na takie manipulacje, jest dziś w rękach gigantycznych korporacji, potężnych grup politycznych i wielkiego biznesu.

Taki układ, w którym dominują wielkie, scentralizowane siły, a jednostka jest wobec nich właściwie całkowicie bezradna, bo nie wie nawet, kim jest, napawa mnie ogromnym niepokojem. To nie jest przyszłość, w której chciałbym żyć.

KB: Zastanawiam się, jak odpowiedziałby pan komuś z grona ultraracjonalistów, kto powiedziałby: „Jeśli maszyna potrafi mówić językiem pełnym emocji, okazuje zrozumienie i empatię, to może nie ma żadnego metafizycznego ducha? Może my sami jesteśmy jedynie biologicznymi maszynami statystycznymi?”

TS: Cóż, powiem tyle: jeśli jesteśmy wyłącznie biologicznymi, statystycznymi mechanizmami, to co powstrzymuje nas przed traktowaniem ludzi jak biomasy? Co powstrzymuje nas przed uznaniem, że ludzka wartość jest wyłącznie użytkowa? Otóż – nic, może jedynie opary cywilizacji chrześcijańskiej, na której nasza kultura wciąż jeszcze pracuje, ale już wyraźnie coraz słabiej.

Taka wizja prowadzi na niebezpieczny grunt. Jeśli uznamy, że człowiek niczym nie różni się od maszyny, to nie ma już żadne-

go dobrze uzasadnionego argumentu przeciwko pomysłom, by „nieprzydatnych” zamykać w obozach, a może nawet eks-terminować. Kiedyś już się to wydarzyło, nie tak dawno, w XX w. I uczestniczyli w tym nie tylko barbarzyńcy, ale także ludzie niezwykle światli, wykształceni, którzy nadawali swoim działaniom pozory filozoficznej czy naukowej racjonalności i głębi.

Warto zauważyć, że współczesna kultura, choć wciąż korzysta z zasobów dawnych tradycji, staje się coraz bardziej bezwzględna i pozbawiona duchowego fundamentu. Powtórzę, wciąż jeszcze funkcjonujemy na oparach tych wartości, które zbudowały naszą cywilizację, ale jak długo to potrwa? Bez ich odnowienia i umocnienia możemy nieuchronnie osunąć się w dystopię.

Wizja świata, w której człowiek traci swoją wyjątkowość, nie jest abstrakcją. To jest coś, co już znamy. Tego typu mentalność – chłodna, statystyczna, odczłowieczająca – doprowadziła do największych okrucieństw. I choć chcielibyśmy wierzyć, że nauczyliśmy się czegoś z historii, wciąż istnieje ryzyko, że ten koszmar może powrócić.

Dlatego uważam, że tak ważne jest, aby nie zgubić różnicy między maszyną a człowiekiem, między mechaniką a antropologią.

KB: A co może być antidotum: wartości, duch, dziedzictwo? Czy może w naszej kulturze, w Europie, znów – chrześcijaństwo?

TS: Wydaje mi się, że tego antidotum nie da się wyprowadzić z samej nauki ani z racjonalistycznego obrazu świata, który bada rzeczywistość wyłącznie rozumowymi narzędziami. Taka perspektywa, choć niewątpliwie cenna, nie wystarcza, aby ustanowić fundamenty społecznego ładu czy systemu wartości, który byłby trwały i głęboki.

Rzeczywistość oparta wyłącznie na takim podejściu w pewnym momencie zaczyna się chwiać. To, co pozwoliło zbudować system etyczny, z którym dziś w zachodniej kulturze odruchowo się utożsamiamy, nie pochodzi jedynie z rozumu. Jak zauważa współczesny filozof David Bentley Hart, rozum, aby działać sensownie, musi mieć oparcie w czymś poza sobą. Prędzej czy później natrafia bowiem na własne granice, na sprawy, których nie potrafi już uzasadnić albo poznać, a które może tylko przyjąć na zasadzie „skoku wiary” albo etycznego zobowiązania.

Dlatego uważam, że potrzebujemy czegoś więcej – mitu, wizji świata, która potrafi uwzględnić i uporządkować zarówno to, co w nas irracjonalne, jak i to, co racjonalne. Wizji, która dostrzega złożoność ludzkiej natury, jej skłonność do dobra, ale też do zła i przemocy.

Moim zdaniem nic lepszego od chrześcijańskiej tradycji się w naszej historii nie pojawiło. Oczywiście tradycja ta nie jest wolna od licznych błędów i mrocznych kart, które wymagają krytycznego namysłu i oczyszczenia. To jednak nie unieważnia jej potencjału i przesłania. Wydaje mi się, że podjęcie próby nowego odkrycia tej tradycji mogłoby być niezwykle cenne.

SOLBET



ROK ZAŁOŻENIA
1951



Beton komórkowy SOLBET
Tu zaczyna się dom





- Nie jestem zwolenniczką skrajnie materialistycznego podejścia do człowieka, według którego jesteśmy jedynie biologicznymi mechanizmami.
- Nawet jeśli uznamy, że dzisiejsze systemy AI są „inteligentne” w sensie obliczeniowym – przewidują, co odpowiedzieć na podstawie danych – nie oznacza to, że posiadają świadomość.
- ChatGPT opiera się na fundamentalnych algorytmach, takich jak enkodery. Pierwsze prace matematyczne na ich temat pojawiły się w roku 1921.
- Wzmoczone wysiłki Europy, by budować własne rozwiązania AI, są reakcją na zmieniające się relacje ze Stanami Zjednoczonymi.
- Tam, gdzie przeważają zawody oparte na wiedzy, sztuczna inteligencja może stanowić wartościowe wsparcie. Ale czy zastąpi ludzi? Na razie nie widzimy takich oznak.

Z prof. **Aleksandrą Przeglasińską** rozmawia Kamil Broszko.

Systemy generatywnej sztucznej inteligencji nie mają potencjału do rozwinięcia świadomości

Kamil Broszko: Jaka jest pani koncepcja człowieka? Czy jesteśmy jedynie biologicznymi strukturami przetwarzającymi informacje, czy może raczej czymś więcej – istotami metafizycznymi?

Aleksandra Przeglasińska: Przyznam, że nie spodziewałam się tak fundamentalnego pytania na początek. Nie jestem zwolenniczką skrajnie materialistycznego podejścia do człowieka, według którego jesteśmy jedynie biologicznymi mechanizmami. Tego rodzaju analogie, na przykład przedstawianie mózgu jako komputera, wydają mi się zbyt uproszczone. Chociaż istnieją pewne podobieństwa, mam głębokie przekonanie, że w człowieku wciąż kryje się coś, co wykracza poza materialny opis.

Jeśli spojrzymy na rozwój sztucznej inteligencji, dostrzeżemy, że od dwóch lat intensywnie staramy się uchwycić to, co wyróżnia ludzki umysł. Obecne systemy AI, choć niezwykle skuteczne

w rozwiązywaniu konkretnych zadań, nadal nie posiadają tzw. jakości – subiektywnych jakości doświadczenia. Człowiek pozostaje dla mnie zagadką. Materialistyczne koncepcje, traktujące nas jak zwykłe mechanizmy, nie przemawiają do mnie. Wierzę, że jesteśmy czymś więcej.

KB: A co z koncepcją testu Turinga? Czy uważa pani, że powinniśmy ją dziś zredefiniować? Jakie kryteria mogłyby świadczyć o tym, że sztuczna inteligencja rzeczywiście przekracza granicę i zbliża się do człowieczeństwa?

AP: Test Turinga to fascynujące i prowokacyjne narzędzie, które od lat budzi intensywne dyskusje. Alan Turing zaproponował je jako metodę na zbadanie zdolności maszyny do prowadzenia rozmowy w sposób nierozróżnialny od człowieka. Warto jednak zauważyć, że Turing mówił wyłącznie o inteligencji – nigdy nie



Jak sztuczna inteligencja wyobraża sobie siebie – autoportrety wygenerowane maszynowo.

twierdził, że zdanie tego testu świadczy o świadomości czy woli. To fundamentalne rozróżnienie.

Dziś, kiedy systemy AI potrafią bardzo sprawnie odpowiadać na pytania, test Turinga traci na znaczeniu jako miara postępu w rozwoju sztucznej inteligencji. Przypomnijmy chociażby eksperyment myślowy Johna Searle’a – tzw. chiński pokój. Pokazuje on, że system może świetnie odpowiadać na pytania dzięki zestawowi instrukcji, ale to nie oznacza, że rozumie swoje odpowiedzi. Współczesne systemy działające na podstawie algorytmów probabilistycznych i ogromnych zasobów danych również często generują adekwatne odpowiedzi, ale ich skuteczność wynika z zaawansowanych obliczeń, a nie zrozumienia.

Co więcej, należy rozróżnić inteligencję od świadomości. Nawet jeśli uznamy, że dzisiejsze systemy AI są „inteligentne” w sensie obliczeniowym – przewidują, co odpowiedzieć na podstawie danych – nie oznacza to, że posiadają świadomość. Świadomość, jaką znamy u ludzi, jest dla nas samych tajemnicą i cechą, której nie sposób obecnie przypisać maszynom.

Podsumowując, test Turinga, choć historycznie istotny, nie może być jedynym narzędziem oceny AI. Potrzebujemy nowych miar, uwzględniających różnorodne aspekty ludzkiej inteligencji – emocjonalnej, społecznej, cielesnej – oraz tę trudną do zdefiniowania, ale fundamentalną jakość, jaką jest świadomość.

KB: Widzi pani świadomość na samym końcu drogi rozwoju maszyn?

AP: Trudno przewidywać z pewnością. Myślę, że nie ma nikogo, kto mógłby dziś zająć naprawdę twarde stanowisko w tej sprawie, bo po prostu nie wiemy. Gdyby zapytał mnie pan o moją intuicję, powiedziałabym, że systemy generatywnej sztucznej inteligencji – takie jak te, które dziś znamy: ChatGPT, Gemini, Biełlik, Claude, Mistral – nie mają potencjału do rozwinięcia ogólnej inteligencji, a tym bardziej superinteligencji, nie wspominając już o świadomości.

Oczywiście to nie oznacza, że rozwój sztucznej inteligencji zatrzyma się na obecnym paradygmacie. Historia AI nie kończy się na generatywnych modelach językowych, takich jak ChatGPT. Myślę, że czeka nas eksploracja nowych paradygmatów. Coraz więcej mówi się na przykład o modelach generujących wideo. Obecnie takie systemy, choć imponujące, są ograniczone. Ich produkcje często przypominają fantasmagoryczne, wręcz psychodeliczne wizje: ręka przechodząca w nogę, głowa zmieniająca się w coś nieoczekiwanego, wszystko w chaosie ruchu i formy. Artystyczne nie to może fascynować, ale w żadnym razie nie odwzorowuje rzeczywistości fizycznej, w której funkcjonujemy.

Niektórzy sugerują, że nadanie tym systemom „intuicji fizycznej” mogłoby otworzyć nowe możliwości. Gdyby modele zaczęły funk-

cjonować w symulacjach świata z realistycznymi konsekwencjami, gdzie, powiedzmy, przewrócenie się „boli”, a wejście po schodach wymaga zrozumienia zasad motoryki – moglibyśmy być świadkami zupełnie nowych jakości. Równocześnie pojawia się koncepcja tzw. Living AI, łącząca sztuczną inteligencję z biologią syntetyczną. Chodzi tu o systemy operujące na poziomie biologicznym, przetwarzające informacje przy użyciu białek, wspierane przez technologie podobne do ChatGPT. Czy takie istoty – materialne, fizyczne, syntetyczne – mogłyby osiągnąć świadomość poprzez przyspieszoną ewolucję? Nie da się tego wykluczyć. Jednak jeśli chodzi o generatywne modele, które znamy dzisiaj, nie widzę takiej możliwości.

KB: A co z bardziej zaawansowaną integracją człowieka i technologii, nie tylko na poziomie mentalnym, ale także fizycznym?

AP: Obserwujemy bardzo szybki rozwój, ale szczególnie dzieje się to w obszarach, które mają wytyczony tor – tam, gdzie istnieje jasna agenda badawcza i pewien poziom technologicznej dojrzałości. Aby jednak uchwycić pełny obraz, warto spojrzeć na rozwój AI z szerszej perspektywy. Na przykład ChatGPT opiera się na fundamentalnych algorytmach, takich jak enkodery. A czy wie pan, kiedy pojawiły się pierwsze prace matematyczne na ich temat? W roku 1921. Tymczasem ChatGPT zadebiutował w 2022 r. To, co dziś widzimy jako gwałtowny rozwój, jest efektem stu lat badań. Dopiero teraz pojawiły się odpowiednie dane, infrastruktura i wiedza, by wcielić te idee w życie. Od lat 40. i 50. XX w. rozwijano tzw. koneksjonizm, próbując naśladować struktury mózgowe, ale postęp był mozolny. Gwałtowny skok technologiczny, który obserwujemy, jest w istocie ostatnim odcinkiem znacznie dłuższej podróży.

Jeśli chodzi o Living AI, o biologię syntetyczną, genetykę czy ewolucję – to są dopiero niezbadane terytoria. To obszary pełne tajemnic, podobnie jak ludzki mózg, którego funkcjonowania wciąż nie rozumiemy w pełni. Nawet pytania o świadomość zwierząt pozostają otwarte – odpowiedzi są często bardziej etyczne niż naukowe. W tym kontekście trudno mi uwierzyć w opowieści entuzjastów Doliny Krzemowej, że takie zmiany wydarzą się w ciągu dwóch, trzech czy nawet dziesięciu lat. Moim zdaniem to perspektywa o wiele bardziej odległa.

KB: Jak rysuje się przyszłość branży technologicznej? Kiedy ogłoszono powstanie ChatGPT, wiele osób miało wrażenie, że ten przełom uczyni OpenAI gigantem w biznesie i technologii. Ale potem pojawiły się kolejne modele: Claude, DeepSeek, a nawet Bielik. Czy za chwilę nie okaże się, że przy takiej dynamice rozwoju AI gigantom coraz trudniej będzie budować przewagę?

AP: To niezwykle trafne pytanie, jedno z tych, na które wciąż nie mamy jednoznacznej odpowiedzi.

Sama często o tym myślę. Czy zmierzamy w stronę nowego oligopolu technologicznego, gdzie dominować będzie zaledwie kilku graczy, czy może przyszłość okaże się bardziej pluralistyczna?

Nie sposób zastanawiać się nad tym zagadnieniem bez uwzględnienia kontekstu geopolitycznego. Wzmoczone wysiłki Europy, by budować własne rozwiązania AI, są reakcją na zmieniające się relacje ze Stanami Zjednoczonymi. Sojusz, który przez dekady wydawał się niewzruszony, został ostatnio wyraźnie osłabiony. Amerykańska administracja nie kryje swojego sceptycyzmu wobec Europy, co widać w klarownym przekazie płynącym zza oceanu.

Wydaje mi się, że świat stanie się bardziej fragmentaryczny, niż mogłoby się wydawać. Przyzwyczailiśmy się do globalizacji – jej blasków i cieni – i dominacji kilku kluczowych podmiotów, zarówno w mediach społecznościowych, jak i technologii. Sztuczna inteligencja mogłaby podążać podobną ścieżką, z kilkoma gigantami dyktującymi warunki.

Jednak wydarzenia ostatnich miesięcy sugerują coś innego. Gdy Stany Zjednoczone ogłosiły ogromne inwestycje w AI na początku roku, Chińczycy szybko odpowiedzieli, prezentując DeepSeeka – model wytrenowany za zaledwie 6 mln dolarów. Dla porównania amerykańskie projekty wymagały nakładów rzędu setek miliardów. To było subtelne, ale wyraźne geopolityczne przesłanie: można osiągnąć wiele, wykorzystując otwarte modele, dane oraz dostęp do infrastruktury.

Ten przykład pokazuje, że zaawansowana technologia nie jest już wyłącznie domeną największych graczy. Widzimy próby tworzenia rozwiązań na lokalnych rynkach: w Europie, na Bliskim Wschodzie, a nawet w Indiach, gdzie sztuczna inteligencja rozwija się bardzo dynamicznie. Możliwe, że przyszłość przyniesie bardziej pluralistyczny krajobraz – amerykańska AI rywalizująca z europejską, chińską, a może i polską czy hinduską.

Europa intensywnie inwestuje w swoje rozwiązania. Być może to dziś brzmi jak fantazja, ale dlaczego nie wyobrazić sobie sytuacji, w której polska lub francuska AI stają się równorzędnym konkurentem dla modeli amerykańskich czy chińskich? Również Bliski Wschód wyraźnie zaznacza swoje zainteresowanie tą dziedziną. Możemy zatem zmierzać w stronę bardziej zróżnicowanego, konkurencyjnego świata technologii, który wymknie się prostym schematom globalizacji, jakie znaliśmy dotychczas.

KB: Zastanawiając się nad wpływem sztucznej inteligencji na rynek pracy, nie sposób pominąć wielkiej debaty ostatnich lat o przyszłości pracy. Kiedy globalna społeczność poznała pierwsze duże modele językowe, w mediach zaroilo się od nagłówków mówiących o masowym bezrobociu. Pojawiły się też rankingi zawodów,





Aleksandra Przeglasińska-Skierkowska

– prof. Akademii Leona Koźmińskiego, dr hab., filozofka, badaczka rozwoju nowych technologii, zwłaszcza technologii zielonej i zrównoważonej, humanoidalnej sztucznej inteligencji, robotów społecznych i technologii ubieralnych. Stopień doktora nauk humanistycznych w dyscyplinie filozofia uzyskała w 2014 r. w Instytucie Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego. Absolwentka The New School for Social Research w Nowym Jorku, gdzie uczestniczyła w badaniach dotyczących tożsamości w rzeczywistości wirtualnej, ze szczególnym uwzględnieniem Second Life. Wykładała m.in. w ESCP Europe w Berlinie, Uniwersytecie Harvarda, Uniwersytecie w St. Gallen, Uniwersytecie Columbia. Napisała m.in. „Converging Minds: The Creative Potential of Collaborative AI” (wraz z Tamillą Triantoro; 2024, CRC Press/ Balkema), „Strategizing AI in Business and Education: Emerging Technologies and Business Strategy” (wraz z Dariuszem Jemielniakiem; 2023, Cambridge University Press), „Debating Universal Basic Income” (wraz z Robertem E. Wrightem; 2022, Palgrave Macmillan), „Collaborative Society” (wraz z Dariuszem Jemielniakiem; 2020, MIT Press).

które przetrwają; na szczycie znaleźli się rehabilitanci. Jak z perspektywy dwóch lat badań i obserwacji ocenia pani tę dyskusję?

AP: Obserwacje związane z rynkiem pracy są pełne paradoksów. Najbardziej zaskakującą i jednocześnie groteskową sytuacją jest to, że szczególnie zagrożoną grupą zawodową wydają się... programiści, czyli ci, którzy stworzyli technologie stojące za sztuczną inteligencją. Widzimy wyraźną zmianę: potrzeba ich mniej, niż można było przypuszczać jeszcze kilka lat temu. Pewną nadpodaż wywołała pandemia COVID-19 – wirtualizacja życia stworzyła zapotrzebowanie na oprogramowanie, które było częściowo sztuczne, chwilowe. Gdy powróciliśmy do bardziej fizycznych kontaktów, część aplikacji okazała się zbędna.

Programowanie to zawód oparty na formalnym języku i jasno określonych zasadach, co sprawia, że sztuczna inteligencja doskonale się w nim odnajduje. Możemy więc spodziewać się przekształceń w tej dziedzinie: programiści staną się raczej menedżerami systemów AI, nadzorcami agentów AI niż osobami piszącymi kod. Jednakże istnieje tutaj pewne zagrożenie – aby dobrze zarządzać takimi systemami, trzeba rozumieć podstawy programowania. Jeśli zatem przestaniemy kształcić młodych adeptów programowania, kto w przyszłości będzie w stanie pełnić te funkcje?

Natomiast w innych zawodach nie widać oznak masowego zastępowania ludzi przez AI. Prognozy Elona Muska sprzed kilku lat o masowym bezrobociu wydają się na razie nieuzasadnione. Obserwacje różnią się w zależności od regionu świata. Przeprowadziliśmy niedawno badanie w ramach raportu Campus AI, analizując implementację generatywnej sztucznej inteligencji

w czterech krajach: Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Polsce i Hiszpanii. Wyniki pokazały zróżnicowanie w stopniu adaptacji tej technologii.

W Hiszpanii, gdzie rynek pracy opiera się w dużej mierze na usługach i migracji, AI nie odgrywa jeszcze dużej roli. W Polsce sytuacja wygląda zupełnie inaczej – dominują tu call center, centra usług wspólnych i korporacje, które masowo korzystają z narzędzi AI. W badanej grupie 60 proc. respondentów w Polsce zadeklarowało użycie generatywnej sztucznej inteligencji w swojej pracy, podczas gdy w USA było to 50 proc., a w Hiszpanii jedynie 40 proc.

To, jak AI wpłynie na rynek pracy, zależy od struktury zatrudnienia w danym kraju. W miejscach, gdzie przeważają zawody oparte na wiedzy, sztuczna inteligencja może stanowić wartościowe wsparcie. Ale czy zastąpi ludzi? Na razie nie widzimy takich oznak.

KB: Czyli na razie doświadczamy raczej zmian w obszarze pracy?

AP: Dokładnie tak. Weźmy mój własny przykład: korzystam z AI do pisania wniosków grantowych i dokumentów, co ułatwia pracę, ale nie czyni mnie mniej aktywną naukowo czy dydaktycznie. To narzędzie wspierające, nie zastępujące.

Co więcej, obserwujemy ciekawe zjawisko, mianowicie firmy częściej inwestują w doszkalanie obecnych pracowników, niż szukają nowych talentów na rynku. Może to wynikać z ogólnej niepewności gospodarczej, a może z faktu, że technologia wciąż nie jest w stanie zastąpić ludzkiej kreatywności i zdolności adaptacji.

Ostatecznie sztuczna inteligencja zmienia rynek pracy w subtelny sposób, raczej go przekształcając, niż niszcząc. To proces

długotrwały, pełen niuansów i zależności od lokalnych warunków. Wiele jeszcze przed nami.

KB: Dodatkowo w świecie wciąż dokonują się inne procesy, które na razie wydają się mieć większy wpływ na rynek pracy czy gospodarkę. Wystarczy wspomnieć amerykański izolacjonizm i wprowadzanie celów czy Europę z postulatem dozbrojenia i zmianą paradygmatu wydatków publicznych.

AP: Dziś towarzyszy nam duża niepewność, sprawy mogą się potoczyć w różnych kierunkach. Europa, zmuszona do reagowania na gospodarcze manewry Stanów Zjednoczonych, może w odpowiedzi zacząć zamykać się na produkty amerykańskie. Oczywiście USA to ogromny rynek zbytu, którego Europa nie chciałaby stracić, ale wyobraźmy sobie scenariusz, który jeszcze niedawno wydawał się niemożliwy: sojusz Eurazji z Chinami, stający się ważniejszym rynkiem niż Ameryka. Jeśli Stany Zjednoczone zdecydują się na izolacjonizm, Europa być może będzie musiała szukać nowych partnerów handlowych.

Do dziś nie jestem w stanie ocenić, czy cła wprowadzone za administracji Trumpa – tak zwane taryfy Trumpa – były jedynie narzędziem politycznego szantażu, czy rzeczywiście mają na celu przekształcenie międzynarodowych rynków. Mimo haseł o „wielkiej amerykańskiej prosperity” głoszonych w trakcie kampanii wyborczej teraz prezydent Trump w wywiadzie dla Fox News zapowiada możliwość recesji.

Nastroje w Stanach Zjednoczonych są wyraźnie niepokojące. Rynki finansowe odzwierciedlają tę atmosferę – wskaźniki giełdowe malują się na czerwono. To rodzi pytanie, czy istnieje długofalowy plan. Czy podejmowane decyzje mają charakter strategiczny, czy są jedynie reakcją na bieżące wyzwania?

Sytuacja w przemyśle samochodowym jest szczególnie interesująca. W przypadku tych celów pojawił się jeden wyraźny zwycięzca – Elon Musk. Jego fabryki znajdują się w Stanach Zjednoczonych, co pozwala mu uniknąć wielu problemów, z którymi muszą zmagać się producenci japońscy czy europejscy. Ci ostatni stoją wobec bardziej skomplikowanej rzeczywistości, niepewności co do przyszłości rynku.

Niedawno słuchałam podcastu politycznego, w którym ekspert z dziedziny ekonomii tłumaczył, że Donald Trump ma osobliwe podejście do celów. Według niego cła to coś, co fascynuje prezydenta od lat 80. Wydaje się, że decyzje w tej kwestii wynikają bardziej z jego osobistych upodobań niż z długofalowej strategii. A czy za tym wszystkim stoi głęboko przemyślana polityka gospodarcza? Cóż, nic nie wskazuje na to, by tak było.

To skomplikowany obraz, pełen sprzeczności i zależności, gdzie decyzje jednego kraju mogą przynieść skutki, które w pierwszej chwili wydają się wręcz nieprzewidywalne.

KB: Pani profesor, chciałem jeszcze zapytać o Campus AI. Zrozumiałem z pani wcześniejszej wypowiedzi, że w Polsce przyjmujemy nowe technologie z entuzjazmem większym

niż w niektórych krajach europejskich. Jak w tę tendencję wpisuje się Campus AI?

AP: Doradzam w tym projekcie, który – muszę przyznać – fascynuje mnie w sposób wyjątkowy. To dla mnie pierwszy raz, kiedy angażuję się tak głęboko w życie start-upu. Campus AI jest czymś więcej niż przestrzenią edukacyjną – to prawdziwy kampus poświęcony nauce i praktyce związanej ze sztuczną inteligencją.

Campus AI opiera się na wizji, którą w pełni podzielam. Sztuczna inteligencja powinna wspierać człowieka, a nie go zastępować. W odpowiednich rękach może przynieść ogromne korzyści. Istotne jest jednak, by traktować ją narzędziowo – jako wsparcie, a nie mechanizm wykonujący za nas całą pracę. Próby przerzucania odpowiedzialności na AI rzadko prowadzą do pozytywnych rezultatów.

W praktyce Campus AI to dziś platforma edukacyjna, a w niedalekiej przyszłości stanie się także przestrzenią wirtualną – swobodnym metawersem w modelu *single-player*. Użytkownicy będą mogli swobodnie eksplorować ten świat, rozwijając kompetencje w zakresie sztucznej inteligencji, takie jak tworzenie wideo, dźwięku, systemów złożonych, współprojektowanie czy modelowanie 3D. Kampus kładzie nacisk na rozwijanie umiejętności specyficznych dla różnych dziedzin, ale jednocześnie przypomina o odpowiedzialności za korzystanie z tych narzędzi. Zakres tej odpowiedzialności różni się w zależności od kontekstu i użycia, co jest kluczowym elementem nauczania.

To jedyna taka inicjatywa w tej części Europy, wyróżniająca się unikalnym podejściem i dostarczająca wiedzy na najwyższym poziomie. Campus AI nieustannie się rozwija, wchodząc na kolejne rynki, a dla mnie osobiście jest to fascynująca przygoda – obserwowanie, jak teoretyczne badania przekładają się na realne produkty i żywy ekosystem, w który zaangażowały się już tysiące osób.

KB: Czyli właściciel nawet niewielkiej firmy – założymy, że produkuje złączki, buty, cokolwiek – słyszy o sztucznej inteligencji, myśli o budowaniu przewagi konkurencyjnej i mówi: „Wchodzę w to”. Czy może skierować swoje kroki do Campusu AI? Czy to rzeczywiście inicjatywa dla każdego?

AP: Tak, absolutnie. Campus AI jest agnostyczny pod względem specjalizacji – niezależnie od poziomu zaawansowania w pracy z AI każdy znajdzie tam coś dla siebie. Ważnym elementem oferty jest przestrzeń reskillingowa, którą nazywamy AI Gym. To miejsce, gdzie można zmienić zakres swoich umiejętności i przystosować się do nowych wymagań zawodowych. Grafik może nauczyć się korzystać z AI w swoim fachu, a sprzedawca nieruchomości – używać AI do analizy gentryfikacji warszawskich dzielnic.

Dla firm sytuacja jest klarowna: jeśli przedsiębiorstwo zakłada, że za pięć lat będzie mogło działać tak samo, bez korzystania z AI, to popełnia błąd. Sztuczna inteligencja już teraz zmienia sposób, w jaki pracujemy. Ignorowanie jej potencjału to ryzyko pozostania w tyle wobec rynku, który za kilka lat może być nie do poznania.

Twój spokój zaczyna się z Compensą

**Ubezpieczenia dla klienta
indywidualnego, małych
i średnich przedsiębiorstw
oraz dużych firm:**

- ☒ komunikacyjne
- ☒ majątkowe
- ☒ osobowe
- ☒ podróżne
- ☒ rolne
- ☒ zdrowotne

- Dawny paradygmat, hayekowski, skoncentrowany na konkurencji jako głównym czynnikiem wzrostu efektywności, dziś ulega przeformułowaniu. Stajemy wobec konieczności budowy konkurencyjności bloków państw, takich jak Unia Europejska.
- Podnoszenie ciał przez prezydenta Trumpa uderza w dotychczasowe reguły handlu światowego, ale też rykoszetem może spowodować inne zmiany, na przykład dotyczące funkcjonowania systemu walutowego.
- Protekcjonizm celny może przynieść poważne skutki uboczne. Przed wielkim kryzysem lat 30. XX w. takie działania doprowadziły do załamania handlu międzynarodowego.
- Zwiększa się stopień integracji naszego bloku gospodarczego, wskutek kolejnych programów interwencji fiskalnej dochodzi do coraz większego uwspólnotowania europejskiego długu.
- Globalizacja w jej dawnej formie ustępuje miejsca regionalnym powiązaniom gospodarczym, a także takim, które wynikają ze wspólnoty wyznawanych wartości.

Z prof. **Pawłem Wojciechowskim** rozmawia Kamil Broszko.

Polska ma szansę utrzymać stabilność gospodarczą, a nawet wyznaczać pozytywne trendy na tle Unii Europejskiej

Kamil Broszko: Panie profesorze, w korespondencji przed wywiadem wspominał pan o kluczowych globalnych trendach. Czy faktycznie ich oddziaływanie na gospodarkę jest wyjątkowe?

Paweł Wojciechowski: Zdecydowanie tak. Megatrendy takie jak zmiany klimatyczne czy wzrost populizmu mają wpływ na geopolitykę, a geopolityka – na myślenie ekonomiczne, które przekłada się na konkretne polityki społeczno-gospodarcze, zarówno te wewnętrzne, krajowe, jak i międzynarodowe. Spójrzmy choćby na podnoszenie ciał przez nową administrację prezydenta Trumpa. Ono wprost uderza w dotychczasowe reguły handlu światowego, ale też rykoszetem może spowodować inne zmiany, na przykład dotyczące funkcjonowania systemu walutowego. Wtedy wojna handlowa stanie się również wojną walutową. To wszystko są naczynia połączone, a ostatnie lata przynoszą znaczące zmiany w paradygmatach rozwojowych zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w Unii Europejskiej.

KB: Jakie zmiany ma pan na myśli?

PW: Zacznijmy od Unii Europejskiej. Po publikacji w zeszłym roku kluczowych raportów zleconych przez Komisję Europejską

– Letty, Niinistö, a zwłaszcza Draghiego – nastąpiła rewizja dotychczasowego modelu rozwoju. Dawny paradygmat, hayekowski, skoncentrowany na konkurencji jako głównym czynnikiem wzrostu efektywności, a więc światowego dobrobytu, dziś ulega przeformułowaniu. Stajemy wobec konieczności budowy konkurencyjności bloków państw, takich jak Unia Europejska. Chcemy więc jednocześnie wzmacniać konkurencję na jednolitym rynku wewnętrznym, ale również – w obliczu przejawów nieuczciwej konkurencji innych państw w coraz bardziej zglobalizowanej gospodarce – stosować narzędzia zagranicznej polityki gospodarczej, by wzmocnić konkurencyjność własnego bloku gospodarczego. Można nazwać takie działania wyrównywaniem pola gry w zmiennej geometrii współzależności gospodarczych. Ale można też nazwać je protekcjonizmem, by nie tylko promować eksport, na przykład poprzez wzrost nakładów na badania i rozwój, jak dotychczas, ale również dążyć do substytucji importu poprzez wzrost regulacji chroniących krajowych konsumentów, takich jak wymogi fitosanitarne czy reguły dotyczące śladu węglowego. Drugim ograniczeniem, od którego stopniowo odchodzimy, jest stopień integracji bloku gospodarczego. Wskutek kolejnych

Paweł Wojciechowski – ekonomista, doktor nauk technicznych, profesor, dyplomata, doradca, menedżer i członek rad nadzorczych. W latach 2006–2024 był ministrem finansów, wiceministrem spraw zagranicznych, ambasadorem Polski przy OECD, prezesem Polskiej Agencji Informacji i Inwestycji Zagranicznych oraz głównym ekonomistą ZUS. W latach 1995–2005 był prezesem PTE Allianz Polska SA, prezesem TFI Atut SA, dyrektorem w Polskim Banku Rozwoju SA, wiceprezydentem i głównym ekonomistą Pracodawców RP. Podczas pobytu w USA w latach 1983–1990 ukończył studia ekonomiczne na Uniwersytecie Johna Carrolla, a następnie studia magisterskie i doktoranckie na Uniwersytecie Case’a i Western Reserve. W 1995 r. uzyskał stopień doktora nauk technicznych w Instytucie Badań Systemowych PAN. Wykładał na Uniwersytecie Harvarda, Uniwersytecie Johna Carrolla, we Wszechnicy Polskiej Szkole Wyższej oraz w Akademii Leona Koźmińskiego.



programów interwencji fiskalnej dochodzi do coraz większego uwspólnotowienia europejskiego długu. I udział wydatków UE w PKB stopniowo rośnie z 1 proc. PKB do 1,4 proc. PKB, choć do 20-proc. poziomu wydatków federalnych w amerykańskim PKB jeszcze bardzo daleko. I po trzecie, stopniowo dochodzi do rozluźnienia reguł fiskalnych. Dzieje się to zarówno na poziomie krajowym, czego przykładem była niedawna zmiana konstytucji Niemiec, jak również wprowadzane są klauzule wyjścia dla stosowania rygorystycznych ram fiskalnych Unii Gospodarczej

i Walutowej, najpierw w okresie pandemii, a obecnie wobec wydatków na inwestycje obronne jako część europejskiego pakietu zbrojeniowego ReArm.

KB: Co to oznacza w praktyce dla Unii Europejskiej?

PW: Z jednej strony konieczność zwiększenia tzw. zasobów własnych Unii, czyli europejskich podatków. A z drugiej – wskutek uwspólnotowienia podatków – oznacza konieczność uwspólnotowienia wydatków, a więc wzrostu centralizacji ich wydatkowania z poziomu Brukseli, wzmocnienia zasad warunkowości ich wydawania oraz analizy skutków z punktu widzenia europejskiej wartości dodanej, która realizuje uznane przez państwa członkowskie wiodące polityki unijne, takie jak dekarbonizacja czy cyfryzacja.

KB: Jak na tym tle wypada porównanie z USA?

PW: Tu również wyraźnie widać odejście od starego paradygmatu, który ogólnie określamy konsensusem waszyngtońskim, na rzecz interwencjonizmu. Z tym, że mamy do czynienia z dwoma rodzajami interwencjonizmu. Prezydent Biden postawił na interwencjonizm gospodarczy poprzez promocję eksportu – protekcjonizm w duchu keynesowskim – wspierając amerykański przemysł ulgami podatkowymi i subsydiami, czego przykładem był Inflation Reduction Act. Natomiast prezydent Trump kieruje się ideą izolacjonizmu, stawiając na cła jako narzędzie ochrony rodzimego rynku, ale też źródło dochodów, a nawet jako instrument negocjacji w polityce zagranicznej. Jego politykę interwencyjną określam trzema literami: ITP. Izolacjonizm, czyli ważne jest tylko to, co przynosi dobrobyt Amerykanom, a nie całemu światu. Transakcjonizm to przemożne doszukiwanie się interesu, jakiegoś dealu do zrobienia. Protekcjonizm to przede wszystkim ochrona własnego przemysłu poprzez radykalny wzrost celi.

KB: Jakie są konsekwencje tego podejścia?

PW: Z perspektywy historycznej wiemy, że protekcjonizm celny może przynieść poważne skutki uboczne. Przed wielkim kryzysem lat 30. XX w. takie działania doprowadziły do załamania handlu międzynarodowego, co z kolei pogłębiło globalną recesję. Obecnie powrót do tej strategii może być ryzykowny, szczególnie gdy cła stają się też bronią w negocjacjach ze wszystkimi i w każdej sprawie, na przykład w kwestii ochrony granic przed migrantami czy wysokości opłat za korzystanie ze szlaku wodnego. Parafrazując Masłowa, który mówił, że dla kogoś, kto trzyma młot w ręku, wszystko kojarzy się z gwoździem: Trumpowi wszystko kojarzy się z cłem, tym „najpiękniejszym” słowem w słowniku. Pamiętajmy jednak, że odpowiedzią dla takiej polityki będą cła odwetowe. To nie jest gra o sumie zerowej. Wzrost protekcjonizmu na świecie nie tylko oznacza wzrost kosztów wymiany handlowej, ale też destabilizuje relacje gospodarcze, zmienia łańcuchy dostaw, napędza inflację, nacjonalizmy, które w przeszłości nawet doprowadzały do wojen. Świat działający w oparciu o wspólne, nawet niedoskonałe

© MUJULZ/WIKIPEDIA

reguły jest lepszym światem niż świat bez żadnych reguł, wyłącznie nie skupiony na eskalacji pretensji i odwecie.

KB: Czy te zmiany mogą wpłynąć na globalny system walutowy?

PW: Bez wątplenia. Dominacja dolara jako waluty rezerwowej może kiedyś zostać zakwestionowana. Wzrost protekcyjizmu, zamykanie się w większych blokach regionalnych może docelowo przyspieszyć dedolaryzację, czyli odejście od dolara na rzecz innych walut rezerwowych. Świat gospodarki i polityki jest dziś bardziej sprzężony niż kiedykolwiek, a zmiany w jednej sferze natychmiast rezonują w pozostałych.

KB: Czyli stoimy przed redefinicją globalnych reguł gry?

PW: Kluczowe pytanie brzmi: czy uda nam się znaleźć równowagę między ochroną interesów narodowych a koniecznością utrzymania współpracy międzynarodowej? Wolny handel sprzyja globalnemu dobrobytowi, ale jego fundamenty muszą być stale renegocjowane, aby sprostać wyzwaniom współczesności.

KB: A czy wspomniane wydarzenia i wyłanianie się nowego porządku przynoszą równocześnie zapowiedź deglobalizacji?

PW: To, co widzimy, to nie tyle deglobalizacja w pełnym tego słowa znaczeniu, ile raczej zmiana jej charakteru. Już przed pandemią pojawiały się głosy o konieczności modyfikacji globalnych łańcuchów dostaw. Kiedyś żyliśmy w świecie unipolarnym, z dominującą rolą Stanów Zjednoczonych. Teraz funkcjonujemy w systemie multipolarnym, gdzie obok USA liczą się Chiny, Unia Europejska, a w mniejszym stopniu – Indie czy Rosja.

Pandemia pokazała nam, jak bardzo kruche są globalne łańcuchy dostaw. Zerwanie ich spowodowało poważne trudności podażowe, co w konsekwencji doprowadziło do inflacji, zwłaszcza w krajach Zachodu. W odpowiedzi pojawiły się dwie nowe koncepcje: nearshoring i friendshoring. Nearshoring zakłada skrócenie łańcuchów dostaw poprzez przenoszenie produkcji bliżej docelowych rynków, na przykład w ramach Unii Europejskiej czy strefy Ameryki Północnej. Friendshoring z kolei koncentruje się na lokowaniu produkcji w krajach o podobnych wartościach, takich jak demokracja, rządy prawa czy transparentność. Ale też friendshoring występuje wśród państw autorytarnych, czego wyrazem był wzrost współpracy między Moskwą a Pekinem po nałożeniu kolejnych sankcji Zachodu po haniebnej agresji Rosji na Ukrainę.

To podejście zmieniło przepływy kapitałowe. Z danych wynika, że inwestycje między krajami w ramach jednego bloku – na przykład między państwami Zachodu – utrzymały się na stabilnym poziomie, podczas gdy przepływy między blokami znacząco spadły. To wyraźny sygnał, że globalizacja w jej dawnej formie ustępuje miejsca regionalnym powiązaniom gospodarczym, a także takim, które wynikają ze wspólnoty wyznawanych wartości.

KB: Jakie szanse w tym procesie ma Polska?

PW: Polska ma potencjał, by na tej zmianie skorzystać. Jesteśmy częścią bloku państw demokratycznych, mamy stosunkowo niskie koszty pracy, dobrze rozwiniętą infrastrukturę i położenie w sercu Europy. Chociaż Unia Europejska traci na znaczeniu wobec Stanów Zjednoczonych czy Chin, Polska nadal może być atrakcyjnym miejscem dla inwestorów, zwłaszcza w ramach friendshoringu.

Warto pamiętać, że przez lata nasz kraj przyciągał kapitał zagraniczny, nie tylko z Europy, ale także z Azji, jak w przypadku inwestycji koreańskich czy japońskich. W latach 2007–2008, kiedy miałem zaszczyt kierować Polską Agencją Inwestycji Zagranicznych, Polska zanotowała rekordowy wzrost inwestycji zagranicznych. Naturalnie był to efekt związany z przystąpieniem Polski do UE oraz wysokiej relatywnej efektywności kosztowej polskich pracowników. Niestety, w ostatnich latach poziom inwestycji zagranicznych w procencie PKB spada, a ponadto w ogóle stopa inwestycji utrzymuje się na niskim poziomie, nieprzekraczającym 18 proc. PKB.

KB: Czy obecne władze wspierają inwestycje zagraniczne?

PW: Pomimo pewnych różnic w retoryce kolejnych rządów Polska zawsze była otwarta na kapitał zagraniczny. Nawet w czasach, gdy wprowadzano dodatkowe podatki sektorowe, jak podatek bankowy czy od hipermarketów, władze aktywnie wspierały duże inwestycje, czego przykładem była propozycja Intelu dotycząca budowy fabryki w Polsce pod koniec rządów Morawieckiego.

Zdaje mi się, że w latach 90. premier Jan Krzysztof Bielecki mówił, że Polska buduje kapitalizm bez kapitału. Dlatego na początku transformacji Polska musiała być biorcą kapitału zagranicznego. Jednak nadal go potrzebujemy, ale z coraz większą domieszką transferu technologii i zacieśniania więzi kooperacyjnych z liderami innowacji. Bez tego trudno będzie nam zmniejszać lukę produktywności w stosunku do Zachodu, konkurować na globalnym rynku, wreszcie utrzymać dynamiczne tempo wzrostu gospodarczego.

KB: Jakie kroki powinniśmy podjąć, by wykorzystać te szanse?

PW: Musimy skoncentrować się na poprawie klimatu inwestycyjnego, zwiększeniu nakładów i efektywnym wykorzystaniu środków na badania i rozwój oraz na przyciąganiu inwestycji w zaawansowane technologie. W dobie regionalizacji Polska może odegrać ważną rolę jako partner dla Stanów Zjednoczonych i innych krajów zachodnich. To wymaga jednak spójnej strategii i konsekwencji w działaniu.

KB: Panie profesorze, zanim wrócimy do Polski, chciałbym zapytać o Unię Europejską. Raport Draghiego, opublikowany kilka miesięcy temu, zwrócił uwagę na kluczowe wyzwania gospodarcze. Tymczasem teraz Komisja Europejska nieomal sugeruje przechodzenie na tzw. gospodarkę

wojenną. Mamy nową strategię czy należy te dwa kierunki uespójnić?

PW: To nie jest nowa strategia, ale raczej kolejny etap tego samego procesu. Raport Draghiego był przygotowany jeszcze przed zmianą administracji w Stanach Zjednoczonych, ale już wtedy dostrzegano konieczność przebudzenia Europy w kontekście obronności. Powód? Potencjalne zmniejszenie zaangażowania USA w gwarancje bezpieczeństwa naszego regionu.

Draghi w swoim raporcie ostrzegał, że jeśli Europa nie zmieni podejścia, grozi jej stagnacja – „powolna agonia”, jak to ujął. Zasugetował kluczowe obszary inwestycji: zwiększenie produktywności gospodarki, transformację energetyczną i zwiększenie suwerenności gospodarczej, rozumianej jako większe uniezależnienie się od dostaw surowców. To ostatnie wiąże się z uniezależnieniem od paliw kopalnych, zwłaszcza tych z Rosji, ale też szerzej – od wszelkiego importu surowców energetycznych. Niezbędna jest także większa dywersyfikacja minerałów ziem rzadkich.

KB: Jak wygląda realizacja tych zaleceń w praktyce?

PW: Część celów udało się osiągnąć, jak choćby zmniejszenie zależności od rosyjskich węglowodorów. Kiedyś około 40 proc. gazu ziemnego pochodziło z Rosji, dzisiaj to miejsce zajął import skroplonego gazu LNG z USA. Jest lepiej, ale nadal jesteśmy uzależnieni, a koszty energii w Europie są dziś wyższe niż w Chinach czy Stanach Zjednoczonych, co osłabia naszą konkurencyjność. Jeśli chcemy obniżyć ceny energii, to musimy jednocześnie dywersyfikować kierunki dostaw, zmniejszać poziom zależności energetycznej od głównych dostawców, ale przede wszystkim – przyspieszyć, a nie opóźniać transformację energetyczną.

Europa staje przed wyzwaniem zwiększenia zdolności produkcyjnych w sektorze zbrojeniowym. Większość sprzętu wojskowego pochodzi z USA, choć pojawiają się też inne współprace, między innymi Polski z Koreą Południową. W obliczu planowanych wzrostów wydatków na obronność, sięgających nawet 3 proc. PKB UE, rodzi się pytanie, czy europejski i polski przemysł zbrojeniowy gotowy jest zaabsorbować wzrost wydatków o 1 proc. PKB w okresie czterech–pięciu lat do 2030 r.

Wdrożenie zbrojeń to są programy na lata. Koszty nie kończą się na zakupie sprzętu; kluczowe są takie kwastie, jak jego utrzymanie, dostawy amunicji, szkolenia personelu. W Polsce i Europie brakuje odpowiedniej kultury innowacyjności, abyśmy mogli rozwijać własną produkcję nowoczesnych rodzajów uzbrojenia, zwłaszcza w obszarze obrony przeciwlotniczej. Ale już dużo lepiej wypadamy w produkcji dronów. Poza tym bólem Europy jest rozdrobniony przemysł. Mamy 19 rodzajów czołgów, a w Polsce – 5 rodzajów i pod tym względem jesteśmy rekordzistami na świecie. Z tej różnorodności wynikają problemy związane z interoperacyjnością. To wszystko oznacza, że dużo więcej wysiłku trzeba poświęcić ujednoliceniu, rozwiązaniom technicznym oraz wsadowi technologicznemu.

I tu wracamy do wydatkowania nie tylko środków w ramach programów obronnych, ale też w ogóle do wydatkowania środków publicznych na badania i rozwój. W ostatnich 10 latach w Polsce, mimo wzrostu nakładów na B+R w procencie PKB, produktywność rośnie wolniej niż wydatki. To pokazuje, że nie wystarczy inwestować – trzeba robić to mądrze. Europa wciąż bardziej wspiera firmy tradycyjne niż technologiczne, które mogłyby stać się liderami innowacji. Wspiera przemysł motoryzacyjny z XX w., a nie technologie przekrojowe XXI w. z użyciem sztucznej inteligencji.

KB: Jak można to zmienić?

PW: Kluczowa jest koordynacja polityki innowacyjnej, zarówno na poziomie europejskim, jak i krajowym. Wymaga to zaangażowania wielu sektorów – od edukacji po przemysł. Przykład Stanów Zjednoczonych pokazuje, że państwo może skutecznie wspierać innowacje, ale musi to robić w ramach długoterminowej strategii, uwzględniającej wysokie ryzyko inwestycji w technologie. Ekonomiczne myślenie o charakterze krótkoterminowym nastawione na efektywność spółek można przełamać, tylko tworząc cały ekosystem wspierający kreatywność, skłonność do podejmowania ryzyka, od pomysłu do komercjalizacji. W Polsce brakuje nie tylko funduszy, ale właśnie dobrze skonstruowanego ekosystemu innowacyjnego, który wspiera rozwój start-upów od inkubacji, poprzez kolejne etapy dojrzewania, do skali, która zapewnia możliwość konkurencyjności na globalnym rynku.

KB: Czy do tej tezy odnosi się też przykład pewnych polskich firm, które zajmują się najnowocześniejszymi wdrożeniami opartymi na AI, ale są dość niewielkie, zatrudniają na przykład 200 osób, i z różnych względów trudno im przeskoczyć kolejne etapy rozwoju? Działając w innych warunkach, mogłyby już być globalnymi liderami.

PW: To prawda, jednak z zastrzeżeniem, abyśmy nie ulegali uproszczonym wyobrażeniom o rozwoju gospodarczym. Słyszymy hasła, że nasz kraj powinien wspierać przede wszystkim małe i średnie przedsiębiorstwa (MŚP), co wydaje się słuszne. Jednak kluczowy jest ekosystem innowacji rozumiany szerzej, taki jak w Korei, Estonii czy Izraelu – same MŚP nie wystarczą. Rozdrobnienie naszej gospodarki i wysoka liczba mikroprzedsiębiorstw nie oznaczają automatycznie, że staniemy się innowacyjnym krajem. Wręcz przeciwnie, patrząc na poziom innowacyjności, jesteśmy w europejskim ogonie. Z danych OECD wynika, że istnieje negatywna korelacja między udziałem MŚP w wytworzeniu dochodu narodowego a innowacyjnością gospodarki. A przecież Polska zajmuje jedno z czołowych miejsc w Europie pod względem liczby mikroprzedsiębiorstw. Razem z Grecją jesteśmy na dwóch ostatnich miejscach pod względem stopy inwestycji prywatnych. Nakłady na środki trwałe wynoszą jedynie 9 proc. polskiego PKB, czyli około 2/3 unijnej średniej. Naturalnie mówię wyłącznie o korelacjach między tymi danymi, a nie o związkach przyczynowo-

wo-skutkowych, ale na pierwszy rzut oka widać, że jesteśmy raczej krajem przedsiębiorców, a nie przedsiębiorczości.

Można powiedzieć, że w tej kwestii jesteśmy bliźniaczo podobni do Grecji. Nasza gospodarka jest rozdrobniona, ale to duże przedsiębiorstwa, często oparte na kapitale zagranicznym, są liderami innowacyjności i eksportu.

KB: Dużo podobieństw do Grecji. Łączy nas też z nią średnia wysokość emerytur.

PW: Tak, ale zostawmy to na inną rozmowę. Bo główne podobieństwo raczej sprowadza się do propagowania rozwiązań pod wpływem określonych grup społecznych czy zawodowych, co komplikuje reformy systemowe. Nie chodzi więc o wysokość świadczeń, tylko o nadmierne komplikacje. Zresztą tu warto wspomnieć, że wraz z Grecją i Włochami jesteśmy niechlubnymi bohaterami wśród państw o najbardziej złożonym systemie podatkowym. Skomplikowanie generuje dodatkowe koszty administracyjne rozliczeń podatkowych, a także ryzyko sporów podatkowych, więc ogranicza skłonność przedsiębiorstw do inwestowania. Dlatego zapowiedź premiera o konieczności deregulacji i poprawy klimatu inwestycyjnego brzmi obiecująco.

KB: Co konkretnie należy zrobić, aby poprawić sytuację?

PW: Po pierwsze, należy poprzez deregulacje uprościć przepisy prawa, zwłaszcza podatkowego. Poprawa klimatu inwestycyjnego przyczynia się do zwiększania skłonności przedsiębiorstw do inwestowania, a dodatkowo – wsparta instrumentami ze środków publicznych – ogranicza ryzyko długoterminowych projektów. Po drugie, musimy jeszcze efektywniej wykorzystywać fundusze unijne. Odblokowanie środków z Krajowego Planu Odbudowy (KPO) okazało się kluczowe w polityce obecnego rządu, ale już na horyzoncie pojawiają się kolejne europejskie pieniądze na obronność. Ważne, by poprawić ich alokację, zważywszy na straty wynikające z ich braku w ostatnich latach. Inwestycje publiczne nie mogą być jedynym motorem napędowym gospodarki. Potrzebujemy długoterminowej strategii, która pozwoli na zrównoważony rozwój dobrej jakości infrastruktury i wsparcie innowacyjnych technologii.

KB: Jakie są pana prognozy gospodarcze dla Polski na 2025 r.?

PW: Oczywiście wciąż istnieje wiele niewiadomych, szczególnie w kontekście obecnych turbulencji geopolitycznych. Jeśli jednak chodzi o wpływ wojen handlowych na naszą gospodarkę, nie sądzę, by ich efekt był dramatyczny. Obciążenie dla PKB powinno być minimalne – w granicach 0,1 proc. W konsekwencji przewiduję, że wzrost gospodarczy w 2025 r. wyniesie około 3,4–3,5 proc. PKB, z większym prawdopodobieństwem bliżej 3,5 proc. To wartość niższa od obecnych prognoz rządowych. Na przykład Ministerstwo Finansów zakłada w budżecie wzrost na poziomie 3,9 proc. PKB. Jednak różnice te są niewielkie i pozostają w ramach racjonalnych oczekiwań.

Uważam, że deficyt wyniesie około 290 mld złotych, czyli 5,5 proc. PKB. To zgodne z założeniami Ministerstwa Finansów. Wydatki społeczne, takie jak dodatkowe świadczenia emerytalne – mówimy tu o 13. i 14. emeryturze, które łącznie kosztują około 2 mld złotych – czy program 800+, który pochłania 63 mld złotych, są już uwzględnione w budżecie. Dodatkowo mamy inne inicjatywy, takie jak programy wspierające osoby z niepełnosprawnościami czy renta wdowia. Łącznie tego typu wydatki wyniosą około 26 mld złotych rocznie.

Moim zdaniem rząd będzie w stanie utrzymać zaplanowane inwestycje, zarówno te w infrastrukturę, jak i projekty wieloletnie, takie jak Centralny Port Komunikacyjny czy budowa elektrowni atomowych. Te inwestycje mogą być nawet wyższe, bo pojawią się nowe środki europejskie na obronność oraz przesunięcia środków unijnych w ramach kopert krajowych, na przykład tych z KPO na obronność.

KB: A jak wygląda perspektywa inflacyjna?

PW: Inflacja powinna być kontrolowana. Zakładam, że utrzyma się na poziomie poniżej 5 proc. Kluczowe będą ceny węglowodorów: ropy i gazu. Obecnie ceny tych surowców spadają, co jest efektem zwiększonego wydobycia w Stanach Zjednoczonych oraz potencjalnych ruchów Arabii Saudyjskiej w ramach OPEC. Nie bez znaczenia są także rozmowy między Stanami Zjednoczonymi a Rosją, które mogą wpłynąć na odblokowanie rosyjskiego eksportu.

KB: Czy mimo to możemy liczyć na pozytywne wyniki gospodarcze?

PW: Absolutnie tak. Uważam, że wzrost gospodarczy Polski w 2025 r. będzie jednym z najwyższych w OECD i najwyższym wśród dużych państw Unii Europejskiej. Poziom inwestycji zakładany przez rząd na 650 mld złotych moim zdaniem zostanie przekroczony. Przewiduję, że osiągnie około 700 mld złotych.

Polska ma szansę utrzymać stabilność gospodarczą, a nawet wyznaczać pozytywne trendy na tle Unii Europejskiej. Oczywiście należy być czujnym wobec zmieniającej się sytuacji międzynarodowej, ale fundamenty naszej gospodarki pozostają solidne.

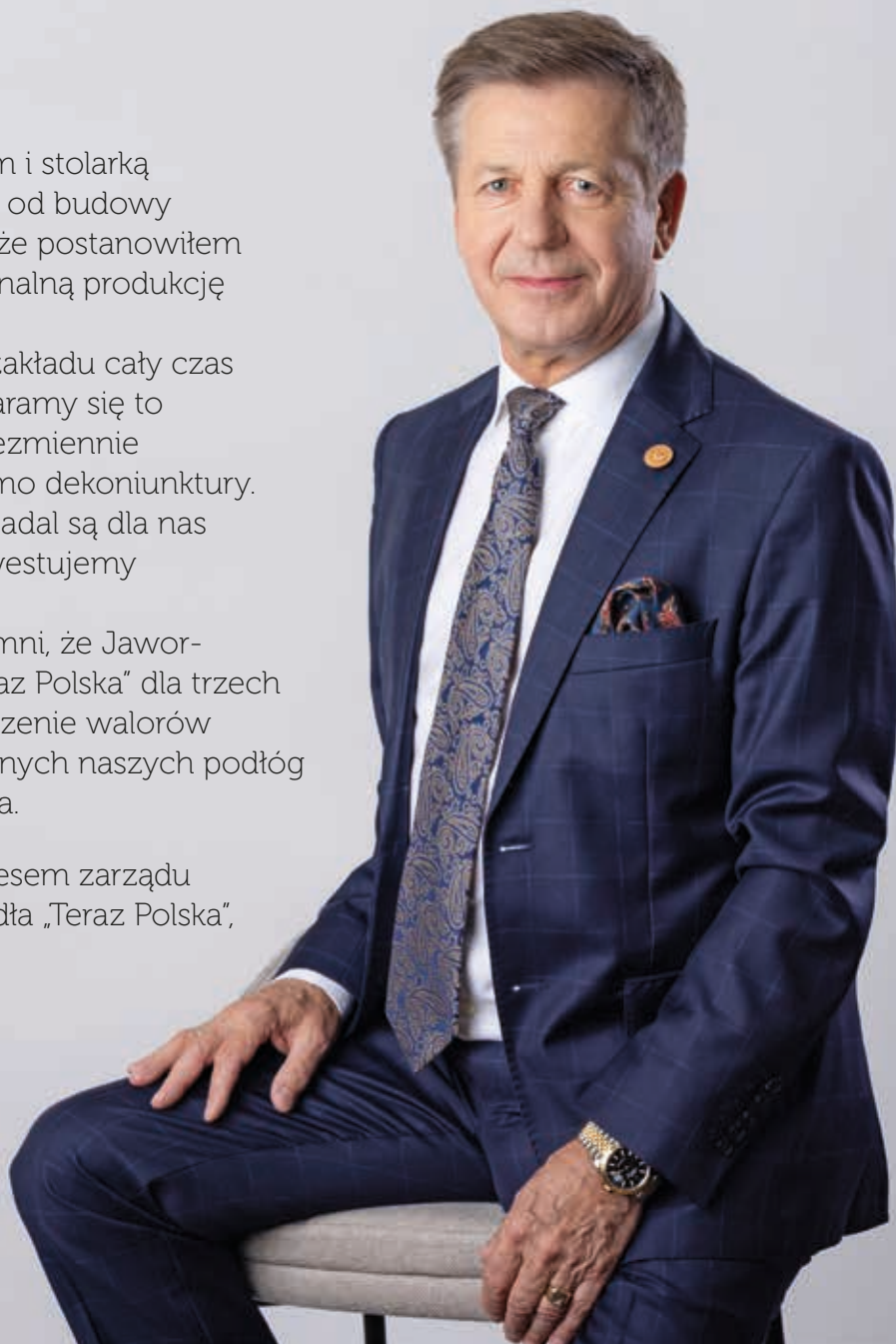
KB: A co z dalszym wpływem geopolityki na gospodarkę?

PW: Geopolityka będzie miała ogromne znaczenie. Możemy spodziewać się przesunięć w funduszach unijnych – środki mogą zostać skierowane na sektor obronności. Dobrym przykładem jest koncepcja Tarczy Wschód, która zyskała akceptację na forum europejskim. Obejmuje ona inwestycje w infrastrukturę podwójnego zastosowania, szczególnie w Polsce Wschodniej i na linii północno-wschodniej, kluczowej z perspektywy korytarza NATO. To nie tylko inwestycje w obronność, ale także w porty, mosty czy sieci transportowe. Wszystkie te elementy wpisują się w unijną strategię mobilności wojskowej i prawdopodobnie zostaną dodatkowo sfinansowane w najbliższych latach.

- Moja przygoda z drewnem i stolarką rozpoczęła się tak naprawdę od budowy domu. Polubiłem to na tyle, że postanowiłem zaangażować się w profesjonalną produkcję mozaiki parkietowej.
- Możliwości produkcyjne zakładu cały czas są na wysokim poziomie. Staramy się to jak najlepiej wykorzystać, niezmiennie zwiększając sprzedaż, pomimo dekoniunktury.
- Zagraniczne rynki zbytu nadal są dla nas ważne i również na nich inwestujemy w promocję marki.
- Jesteśmy niezmiennie dumni, że Jawor-Parkiet otrzymał Godło „Teraz Polska” dla trzech serii produktów. To potwierdzenie walorów jakościowych i technologicznych naszych podłóg oraz ich dobrego wzornictwa.

Z **Antonim Gawińskim**, prezesem zarządu Jawor-Parkiet, laureatem Godła „Teraz Polska”, rozmawia Marzena Tataj.

Antoni Gawiński
– założyciel i prezes zarządu Jawor-Parkiet.



© ARTUR KOWALCZYK

W swoim zakładzie czuję się najlepiej



Marzena Tataj: Jawor-Parkiet to firma rodzinna, która powstała w 1991 r. Były to początki transformacji ustrojowej, kiedy to Polacy, którzy posiadali w sobie gen przedsiębiorczości, postanowili wziąć sprawy w swoje ręce. Jak to było w pana przypadku?

Antoni Gawiński: To prawda, firma Jawor-Parkiet działa już od 34 lat. Moja przygoda z drewnem i stolarką rozpoczęła się tak naprawdę od budowy domu. Polubiłem to na tyle, że postanowiłem

zaangażować się w profesjonalną produkcję mozaiki parkietowej. Początki działalności były dosyć trudne. W tamtych czasach zdobycie maszyn graniczyło z cudem. Wszystko trzeba było samodzielnie zorganizować. Tak się złożyło, że w naszym regionie było sporo zakładów maszynowych i metalurgicznych i dzięki temu udało się zdobyć części do maszyn i urządzeń. Generalnie trzeba było polegać na sobie i być bardzo obrotowym, aby się w tej nowej sytuacji odnaleźć i prowadzić działalność. Na początku przera-

bialiśmy bardzo dużo drewna jaworowego i stąd zaczerpnęliśmy inspirację dla nazwy firmy. Z okazji jubileuszu 30-lecia naszej firmy trzech znanych artystów rysowników – Andrzej Pągowski, Bolesław Chromy oraz Bartosz Zaskórski – stworzyło graficzne portrety przedsiębiorstwa. Każdy z artystów miał inną wizję, ale w każdej to właśnie drzewo było motywem przewodnim.

MT: Początkowo postawił pan na produkcję mozaiki podłogowej. Na zdjęciach państwa linii produkcyjnej z tamtych czasów widać pracownice układające listewki drewniane we wzory, które tworzą bryty mozaiki. To był wyrób rzemieślniczy. Czy rynek go docenił?

AG: Na samym początku produkowaliśmy wyłącznie na rynek krajowy. Postawiłem na produkcję mozaiki, ponieważ na takie towary było zapotrzebowanie. Nasza produkcja w niedługim czasie rozwinęła się na tyle, że przekroczyła potrzeby rynku krajowego. Dlatego zaczęliśmy również eksportować. Trzeba przyznać, że pozyskanie klientów zagranicznych nie było łatwe. Na początku lat 90. wszystkie towary można było sprzedawać jedynie za pośrednictwem centrali handlu zagranicznego. Później rynek został uwolniony i wszystkie kontakty trzeba było zdobywać samodzielnie. Musiałem je sobie po prostu „wyjeździć”.

MT: Drugim przełomowym krokiem dla firmy była decyzja w 2005 r. o przestawieniu produkcji na drewniane podłogi warstwowe. Skąd taka decyzja? Jakie rynki zdobyli państwo z nowym produktem?

AG: Aby z powodzeniem prowadzić biznes i odnieść sukces, bez względu na to, w jakiej branży, trzeba obserwować rynek i słuchać potrzeb klientów. Rynek się zmienia, zmieniają się trendy i oczekiwania. Choć mozaikę produkujemy do dziś, tylko w mniejszych ilościach, to wyraźnie odbieraliśmy sygnały z rynku, że nadszedł czas na wprowadzenie nowego produktu. Można śmiało powiedzieć, że dziś gotowe podłogi warstwowe zdominowały rynek okładzin drewnianych. Stanowią również trzon naszej oferty. Produkujemy je w 10 zróżnicowanych kolekcjach desek i parkietów, wszystkie są dostosowane do ogrzewania podłogowego. Sprzedajemy je zarówno w kraju, jak i za granicą – w Europie Zachodniej, ale także na Dalekim Wschodzie, m.in. w Chinach, oraz w krajach Zatoki Perskiej. Eksportujemy również do tak odległych krajów, jak Gruzja, Liban i Nowa Zelandia.

MT: Cały czas rozbudowuje pan park maszynowy. Zakład osiągnął moc produkcyjną gotową na to, aby rozwinąć potężną sieć sprzedaży w Polsce. Jaka dziś jest jej wielkość?

AG: Możliwości produkcyjne zakładu cały czas są na wysokim poziomie. Staramy się to jak najlepiej wykorzystać, niezmiennie zwiększając sprzedaż, pomimo dekonjunktury. Stale rozwijamy naszą sieć sprzedaży. Dziś nasze podłogi trafiają do ponad 300 punktów, w tym do 30 autoryzowanych salonów i studiów w całej



Polsce. W skład naszej sieci franczyzowej wchodzi obecnie 18 salonów w dużych miastach oraz 12 studiów podłóg, które stworzyliśmy z myślą o klientach z mniejszych miejscowości. Najnowszy, 18. salon rozpoczął działalność z początkiem tego roku w Bydgoszczy. Niezwykle dynamiczny pod względem rozwoju sieci sprzedaży był dla nas ubiegły rok. Otworzyliśmy salon w Sopocie (drugi w Trójmieście), a także w Zakopanem i Warszawie, w prestiżowej lokalizacji Home Park Targówek.

W najbliższym czasie planujemy rozwijać dział przecierania drewna okrągłego, a także automatyzację i modernizację poszczególnych działów produkcyjnych.

MT: Dołączenie do zarządu firmy syna Janusza to kolejny krok milowy w rozwoju firmy.

AG: Mój syn jest w zarządzie już od 15 lat. Od kiedy produkujemy podłogi warstwowe, skupiłem się na ich promocji na rynku krajowym – z dużym sukcesem, również dzięki temu, że mamy swoją ścieżkę rozwoju i strategię sprzedaży oraz salony pod własnym brandem. Robimy swoje, nie oglądając się na konkurencję krajowych producentów. Trzeba jednak podkreślić, że zagraniczne rynki zbytu nadal są dla nas ważne i również na nich inwestujemy w promocję marki.

MT: Jak trafia do państwa klient krajowy: z rekomendacji architekta czy parkieciarza?

AG: Po ponad trzech dekadach działalności w branży podłóg drewnianych nasza marka cieszy się bardzo dobrą rozpoznawalnością. Klienci polecają sobie nasze produkty, na co zapracowaliśmy wysoką jakością i rzetelnością. Zdobywamy klientów zarówno dzięki współpracy z firmami parkieciarskimi, jak i z architektami. Zgodnie z aktualnym trendem klienci indywidualni coraz częściej korzystają z usług architekta przy wyborze materiałów do wnętrz. Dlatego poświęcamy bardzo dużo uwagi współpracy z architektami.



© JAWOR-PARKIET

mi. Od dawna prowadzimy cykliczne szkolenia w naszych salonach sprzedaży w całej Polsce. W ubiegłym roku zainaugurowaliśmy działalność Jawor-Parkiet Design Space. To unikalne miejsce przy naszym zakładzie produkcyjnym w Nowym Mieście Lubawskim stworzone z myślą o spotkaniach z architektami. Nasze autorskie wydarzenie Jawor-Parkiet Designer Weekend, którego czwarta edycja odbędzie się w tym roku, również sprzyja nawiązywaniu i pogłębianiu relacji z architektami.

MT: Jawor-Parkiet dwukrotnie zdobył Gołdo „Teraz Polska” za dwuwarstwowe podłogi drewniane dostosowane do ogrzewania podłogowego. W 2020 r. były to produkty FertigDeska i FertigDeska Luxury, a w 2021 r. – seria Retro Collection. Czym jest dla państwa ta nagroda?

AG: Jesteśmy niezmiernie dumni, że Jawor-Parkiet otrzymał Gołdo „Teraz Polska” dla trzech serii produktów. To potwierdzenie walorów jakościowych i technologicznych naszych podłóg oraz ich dobrego wzornictwa. To także najważniejsza rekomendacja konsumencka na polskim rynku, dlatego znak „Teraz Polska” jest eksponowany we wszystkich naszych materiałach reklamowych, w katalogach czy na ekspozycjach.

MT: Tanio, dużo, szybko – ta dewiza na szczęście odchodzi do lamusa, bo klienci zwracają większą uwagę na jakość i niezawodność. Szukają produktów naturalnych, lokalnych i na długie lata, a takie właśnie są produkty Jawor-Parkiet. W jakim kierunku będzie rozwijać się państwa oferta?

AG: Przede wszystkim dostosowujemy ofertę do potrzeb klienta. Dlatego pod koniec ubiegłego roku podjęliśmy decyzję o uzupełnieniu naszego portfolio o podłogi SPC Virtus by Jawor-Parkiet. To propozycja dla osób, które cenią naturalny urok drewna, a jednocześnie poszukują funkcjonalnych rozwiązań, wynikających z osiągnięć współczesnej technologii. W drugiej połowie tego roku

planujemy wprowadzić zupełnie nową i jeszcze niespotykaną kolekcję ultraekskluzywnych podłóg drewnianych.

MT: Skąd pochodzi drewno wykorzystywane w produkcji? Czy zwracają państwo uwagę na zrównoważone gospodarowanie drzewostanem?

AG: Troska o środowisko naturalne oraz wymogi dotyczące jego ochrony znajdują odzwierciedlenie na każdym etapie produkcji naszych podłóg. Mając na uwadze znaczenie drewna w przyrodzie, podchodzimy do niego z szacunkiem, a surowiec pozyskujemy tylko ze sprawdzonych źródeł. Jest to niemal wyłącznie drewno z polskich lasów. Pozostała część materiału to gatunki egzotyczne pochodzące z importu. Gwarancją najwyższych standardów naszej produkcji, zgodnych ze światowymi normami gospodarki leśnej, jest certyfikat FSC®. To pierwszy i najbardziej rozpoznawalny globalny system certyfikacji lasów i produktów drewnnych. Przyznawany jest jedynie wyrobom najwyższej jakości, spełniającym restrykcyjne normy.

MT: Jest pan członkiem Rady Stowarzyszenia Polskiej Izby Gospodarczej Przemysłu Drzewnego. Za cel swojego działania w tej organizacji postawił pan zwalczanie niewłaściwej gospodarki drewnem z polskich lasów.

AG: Trzeba wyraźnie zaznaczyć, że w odbiorze społecznym gospodarka drewnem ma charakter rabunkowy. W rzeczywistości jest wprost przeciwnie. Lasy Państwowe prowadzą zrównoważoną i przemyślaną gospodarkę w zakresie gospodarowania drewnem okrągłym. Ubolewam nad faktem, że ogromne ilości polskiego surowca są eksportowane przez polskie firmy, głównie na rynek chiński.

Zarówno przedstawiciele branży, jak i członkowie Izby obserwują tę sytuację z wielkim żalem, niestety nie mając na to wpływu. Wołałbym, aby polski surowiec był przetwarzany w polskich firmach.

MT: Wiele firm rodzinnych w Polsce ma problemy z sukcesą, ale ten kłopot państwu nie grozi, gdyż w zarządzie już działa następne pokolenie.

AG: Tak naprawdę mój syn Janusz uczestniczył w życiu przedsiębiorstwa od dziecka. Już jako mały chłopiec lubił przyjeżdżać ze mną do firmy, zawsze był ciekaw wszystkiego, co się tutaj dzieje. Wtedy złapał bakcyła biznesu i teraz z powodzeniem wraz ze mną zarządza firmą.

MT: Z pewnością ma pan wiele powodów do dumy, ale co daje największą satysfakcję?

AG: Jestem bardzo dumny, że udało mi się stworzyć taki zakład i pod marką Jawor-Parkiet zbudować pozycję lidera na rynku podłóg drewnianych na ogrzewanie podłogowe. Jeżeli zdrowie pozwoli, to nadal będę uczestniczył w działalności firmy, jak również jej rozwoju. Przyjemnie jest podróżować i odpoczywać na wakacjach, ale to w zakładzie czuję się najlepiej.



© CHRIS (2)

Campy to miejsce, gdzie dzieci uczą się, jak być razem.

Kiedy zabieramy dzieciom smartfony, okazuje się, że muszą zacząć ze sobą rozmawiać



- Chcemy, by dzieci poprzez aktywne zajęcia zdobywały kompetencje, które czynią ich życie ciekawszym i bogatszym.
- Dla wielu rodziców wakacje dziecka to pobyt w luksusowym hotelu. Dla nas – to szkoła życia.
- Naszą misją jest przywrócenie tego, co najcenniejsze, czyli prawdziwych relacji, i nauczanie własnej inicjatywy.
- Na zajęciach z przedsiębiorczości na SGH spytałem studentów, kto chce założyć firmę. Podniosły się trzy ręce, reszta woli „bezpieczny” etat w korporacji.

Z **Krzysztofem Alchimowiczem**, założycielem i prezesem Chris Turystyka i Rekreacja, laureatem Godła „Teraz Polska”, rozmawia Kamil Broszko.

Kamil Broszko: Chris, laureat Godła „Teraz Polska”, to firma z tradycjami organizująca aktywny wypoczynek dla dzieci. Niebawem świętują państwo jubileusz. Proszę opowiedzieć o początkach działalności.

Krzysztof Alchimowicz: Początki były tak absurdalne, że dziś trudno w to uwierzyć. Lata 90. – czasy szalone, ale i bardzo aktywne. Pan Wilczek, którego nazwisko jest synonimem liberalizacji polskiej gospodarki, zrobił swoje, więc biznesy rosły jak grzyby po deszczu. Natomiast o naszych początkach przesądziły zbieg okoliczności i seria absurdalnych sytuacji.

Pomysł zrodził się z potrzeby stworzenia przestrzeni dla dzieci poza szkołą. Naszymi pierwszymi klientami była... ambasada amerykańska. Moja żona napisała ogłoszenie odręcznie, bo jakżeby inaczej, a ja poszedłem z nim do ambasady. Przed budynkiem kłębiły się setki osób z nadzieją na otrzymanie wizy. Ja podszedłem do bocznej furtki, gdzie stali marines. Powiedziałem, że chcę uczyć pływania. To było na tyle dziwne i intrygujące, że zostałem zaproszony do środka. Zaczęliśmy od serwisu dla ekspatów – pracowników ambasad – i prowadzenia dla ich dzieci dużej szkoły pływania.

KB: Czyli wywodzi się pan ze szkolnictwa?

KA: Tak, uczyłem przez ponad 10 lat. Bardzo lubiłem tę pracę.

KB: Uczył pan wychowania fizycznego?

KA: To ciekawe, bo z wykształcenia jestem wuefistą, ale zawsze uczyłem angielskiego.

KB: Czyli kontakt z ekspatami był w pewnym sensie naturalny – wykorzystał pan swoje umiejętności językowe.

KA: Tak, to miało znaczenie. Stąd zresztą trochę niefortunna nazwa firmy. Kiedy zaczęliśmy współpracować z ekspatami ze szkół brytyjskich, francuskich, amerykańskich, ktoś wpisał moje imię, Krzysztof, przez „Ch”. I tak już zostało. Nazwa firmy – Chris – też jest dziełem przypadku.

KB: A jak to się stało, że od szkoły pływania przeszli państwo do wyjazdów?

KA: Najpierw zorganizowaliśmy pierwszy wyjazd – obóz narciarski w Korbielowie. Potem były letnie wyjazdy. Dzieci ze szkoły, w której uczyłem, a także ze szkół zagranicznych zaczęły jeździć z nami. Wynajmowaliśmy różne miejsca, ale nigdy nie byliśmy z nich do końca zadowoleni. Zawsze coś było nie tak, na przykład na plaży siedział pan z piwem i papierosem. To nie były miejsca dla dzieci.



Krzysztof Alchimowicz – twórca i prezes firmy Chris
Turystyka i Rekreacja, laureata Godła „Teraz Polska”.

W końcu kupiliśmy ośrodek w Serwach. To była dobra decyzja. Wreszcie mogliśmy zrobić to, co sobie wymarzyliśmy. Dzieci były najważniejsze, ich potrzeby były kluczowe, reszta musiała się podporządkować. Tak zaczęły się nasze wyjazdy.

KB: Czy kontakt z Amerykanami, czy szerzej: z ekspatami z Zachodu, wpłynął na sposób, w jaki rozwijali państwo swoją działalność? Czy raczej szedł pan ścieżką własnych pomysłów?

KA: To dobre pytanie. Kiedy organizowaliśmy *day camp* – coś w rodzaju półkolonii – dostarczyliśmy klientom z ambasady amerykańskiej jakieś proste zgłoszenie do wypełnienia. Zostało ono lekko wyśmiane i zamiast niego ambasada przygotowała nam obszerny, czterostronicowy formularz, którym mieliśmy posługiwać się przy przyjmowaniu zgłoszeń. Takie sytuacje wiele nas nauczyły.

Jednak formułę campu rozwijaliśmy sami, nie wiedząc nawet, że na świecie to wszystko już świetnie funkcjonuje. Dopiero później dołączyliśmy do międzynarodowej społeczności campowej i okazało się, że nasze rozwiązania są bardzo podobne do tych, które stosowano w krajach Wspólnoty Narodów. Nie musieliśmy wyważać otwartych drzwi.

KB: Chris był pionierem rynku, a dziś ma ugruntowaną pozycję, ale konkurencja nie śpi. Jak sobie z nią państwo radzą?

KA: Kiedy otwieraliśmy pierwszy camp, nikt tak tego nie nazywał. Wszyscy mówili „obozy” albo „kolonie”. Dopiero gdy nasz pomysł okazał się sukcesem, inni zaczęli używać nazwy „camp”.

Jednak nie wszystko, co jest pod tym szyldem oferowane, spełnia ową definicję tak, jak my ją rozumiemy. Camp to bardzo złożona struktura. Wielu kopiuje zewnętrzną formułę, ale bez odpowiednich narzędzi i doświadczenia trudno odtworzyć to, co robimy. Przede wszystkim naszą zasadą jest, że wszystkie działania adresujemy do dzieci.

W Stanach Zjednoczonych istnieją tysiące campów, a my jesteśmy z nimi związani poprzez stowarzyszenie, z którym współpracujemy. Spotykamy się co trzy lata na zjazdach i wymieniamy doświadczenia. Stwierdzę może trochę arogancko, że skupiamy się na tej wymianie wiedzy bardziej niż inne polskie firmy, bo nie spotykam na tych wyjazdach reprezentantów naszej konkurencji.

KB: Specyfiką państwa oferty jest proponowanie campów we własnych ośrodkach, a nie w wynajmowanych powierzchniach. Ile ich dziś jest?

KA: Obecnie osiem. Nie budowaliśmy ich od zera, przejmowaliśmy stare ośrodki. Ale to nie jest proste. Każdy musi spełniać szereg wymogów związanych z dostępem do wody, konfiguracją budynków czy posiadać przestrzeń na „campowe podwórko” – miejsce, gdzie rodzą się przyjaźnie. Niewiele miejsc nadaje się na campy.

KB: Jakie są jeszcze najważniejsze cechy państwa oferty?

KA: Nasza misja jest niezmienna od lat. Chcemy, by dzieci poprzez aktywne zajęcia zdobywały kompetencje, które czynią ich życie ciekawszym i bogatszym. To, czego się nauczą własnym wysiłkiem, zostaje z nimi na zawsze.

Natomiast oczywiście ciągle ewoluujemy. Od kilku lat skupiamy się na rozwoju kompetencji miękkich. Kajaki, żeglarstwo, tenis – to tylko narzędzia. Najważniejsze jest, by dzieci nauczyły się współpracy, komunikacji. To ważniejsze niż perfekcyjny bekhend w tenisie.

Byliśmy pierwszą firmą, która wyeliminowała telefony komórkowe na campach. To była trudna decyzja. Rodzice krzyczeli, że tracimy klientów. Ale dziś wielu organizatorów robi podobnie.

KB: Proszę powiedzieć więcej o reakcjach rodziców na państwa metody.

KA: Często nie rozumieją. Dla wielu z nich wyjazd dziecka to wakacje w luksusowym hotelu. Dla nas – szkoła życia. Dzieci muszą dzielić pokoje, ustawiać się w kolejce do łazienki, dogadywać się ze sobą. To jest najcenniejsze.

Kiedyś przejęliśmy ośrodek szkoleniowy dużej firmy. Musieliśmy przerobić eleganckie, dwuosobowe pokoje na bardziej spartańskie – sześciuosobowe. Rodzice byli w szoku, ale podjęliśmy działania niezbędne do realizowania naszej misji.

KB: Z pewnością wyzwaniem przy prowadzeniu pana działalności jest kadra.

KA: To jeden z filarów naszej działalności. Wiele instruktorów to byli uczestnicy campów. Mamy program dla młodej kadry, który realizujemy w formule szkoły przywództwa. W USA takie doświadczenie otwiera drzwi na najlepsze uczelnie. U nas – zmienia zwykłego nastolatka w mentora.

KB: Dzieci na campach nie mogą używać smartfonów. Jakie są efekty stosowania tego zakazu?

KA: Ciekawe były obserwacje poziomu integracji grup. Zanim zabroniliśmy używania smartfonów, dzieci integrowały się w drugim tygodniu obozu. Obecnie ten sam efekt osiągamy już drugiego, trzeciego dnia. To pokazuje, jak bardzo technologia izoluje.

Czasami zdarzają się sytuacje występowania u dzieci somatycznych reakcji na odstawienie telefonu. To tak jak przy innych uzależnieniach. Szkolimy naszą kadrę, by radziła sobie z takimi sytuacjami.

Tu mogę powiedzieć o szerszej kwestii, jaką jest bezpieczeństwo na campie. Rodzice często utożsamiają ten aspekt z jakością kapoków żeglarskich albo autobusów dowożących dzieci. To oczywiście też jest istotne, ale kluczowe dla bezpieczeństwa są przede wszystkim struktura społeczna i świadomość kadry. Dbamy o to, by dziecko na naszym campie nigdy nie było pozostawione samo sobie. To jest sprawa najważniejsza.



© CHRIS (2)

KB: Czyli państwa campy to takie laboratorium życia?

KA: Dokładnie. To miejsce, gdzie dzieci uczą się, jak być razem. Bo podwórka zniknęły, a genetyczna potrzeba bycia w stadzie pozostała. I to jest nasza misja: przywrócić im to, co najcenniejsze, czyli prawdziwe relacje, i nauczyć własnej inicjatywy.

Obecnie dzieci od rana do wieczora słyszą wyłącznie polecenia i zakazy. Najpierw w szkole, a później na korepetycjach, lekcjach pianina itd. Gdzie tu miejsce na kreatywność? U nas na campie mamy godzinę swobodnej zabawy, w czasie której dzieci mają się zająć sobą, bez żadnych instrukcji. Na początku stoją jak słupy soli. Ale po tygodniu okazuje się, że wystarczy patyk i grupa przyjaciół, żeby wymyślać gry, zabawy, ciekawie spędzić czas.

To smutne, że szkoły nie rozumieją, jak cenne jest takie podejście. Na zajęciach z przedsiębiorczości na SGH spytałem studentów, kto chce założyć firmę. Podniosły się trzy ręce. Reszta woli „bezpieczny” etat w korporacji. Dopóki system nie da młodym przestrzeni na błędy, dopóty campy będą potrzebne jak tlen.

KB: Trochę już pan o tym powiedział, ale chciałbym poprosić o rozwinięcie wątku zmieniających się potrzeb uczestników campów, dzieci, ale także tych, którzy kupują państwa usługę, czyli rodziców.

KA: Kiedyś dzieci, które do nas przyjeżdżały, były znacznie bardziej samodzielne. Na przykład 20 lat temu uczenie węzłów żeglarskich było dużo łatwiejsze. Dziś proste czynności, jak przenoszenie łódki, sprawiają dzieciom trudność. Widać, że nie mają praktycznie żadnej możliwości, by coś wspólnie przenieść. U nas kadra ma zakaz rzucania sprzętu dzieciom, mimo że to byłoby łatwiejsze dla instruktorów. Muszą tak zorganizować dzieci, by one musiały współpracować. Dzieciaki, choć mają w szkole lekcje fizyki, nie rozumieją podstawowych zasad jej działania w życiu codziennym, tego, że jeżeli z jednej strony coś podniesiesz, to z drugiej opadnie itp. To dla nich abstrakcja. Natomiast pracując wspólnie, szybko uczą się wielu elementarnych rzeczy.

Na pewno zmienił się poziom kompetencji miękkich. Wszyscy teraz mówią o problemach pokolenia Z w pracy. Ale ja widzę, że kiedy dzieci zostawiamy w grupie, ich elementarne potrzeby są takie same. Kiedy zabieramy im telefony, po dwóch, trzech dniach okazuje się, że zamiast wysyłać sobie emotikony, muszą zacząć ze



Zajęcia artystyczne i sportowe na campach firmy Chris.

sobą rozmawiać. To proste, ale ważne. Rozmawiamy z nimi, tłumaczymy, że komunikacja to nie tylko słowa, ale też zapach, dotyk. To wszystko ma znaczenie. Pytamy je: „Masz 200 znajomych na Facebooku, ale ilu z nich przyjdzie do ciebie, gdy będziesz chory, by trzymać cię za rękę?”. To praca nie tylko z dziećmi, ale też z kadrą. Zatrudniamy ponad tysiąc osób, w tym wielu byłych uczestników naszych campów. Mają za sobą program przywództwa, który jest bardzo ceniony, także za granicą.

Jeśli chodzi o rodziców, to kiedy widzą zmiany w dziecku po powrocie z campu, zaczynają rozumieć, dlaczego na przykład nie mogą przyjeżdżać na camp. Tę zasadę wprowadziliśmy dla dobra dzieci. Jeśli rodzic przyjedzie i wejdzie do pokoju dziecka, to już nie jest jego przestrzeń. Taka sytuacja może wpłynąć na relacje dziecka z grupą. Rodzice często mają inne wyobrażenie o bezpieczeństwie niż dzieci. Dla nich ważne jest, czy autobus jest nowy, czy pokój jest elegancki. Dla dziecka bezpieczeństwo to akceptacja w grupie. A to wymaga czasu i wysiłku.

KB: Sporo się teraz pisze i mówi o tym, jakoby problemy młodych ludzi były większe niż kiedyś. Występuje kumulacja wyzwań związanych z technologią, używkami, ale też mnogością tropów kulturowych i lękami wynikającymi z zagrożeń globalnych. Czy zgadza się pan z taką diagnozą?

KA: Podam panu przykład. Co trzy lata jeździmy na międzynarodowe zjazdy organizatorów campów z całego świata. W zeszłym roku spotkanie było poświęcone naukowym podstawom wpływu campów na dzieci. Przedstawiono wyniki badań z różnych krajów, które pokazywały, gdzie są największe problemy. Bardzo ciekawe badania pochodziły z Anglii. Tam dwa związki pracodawców zwróciły się do rządu z tezą, że młodzi ludzie w wieku 19–20 lat nie potrafią pracować. Rzucają pracę w ciągu godziny, dnia. Rząd zlecił badania czterem uniwersytetom, które potwierdziły, że w tej grupie wiekowej brakuje umiejętności pracy zespołowej, koncentracji. Szkoła nie uczy tych kompetencji, a podwórka już nie ma. Młodzi ludzie nie są zmuszani do rozwijania tych umiejętności.

W Stanach Zjednoczonych przez ostatnie 30 lat prowadzono badania, które pokazały, że aktywność społeczna młodych ludzi spadła o 30–40 proc. Studenckie kampusy są puste, kafejki stoją

puste, młodzi przestali chodzić na imprezy, mecze. Dla nich relacje są w iPhone'ach. Natomiast campy to miejsce intensywnych relacji. Dzieci muszą się dogadać przy wejściu do toalety, na zajęciach. To jak szklarnia, gdzie rozwój kompetencji społecznych jest bardzo zintensyfikowany. I to jest coś, co możemy zaoferować. Twardych umiejętności, jak żeglarstwa czy tenisa, można nauczyć się gdzie indziej. Ale intensywności społecznej, której uczymy, nie da się znaleźć nigdzie indziej.

KB: Jak kształtuje się popyt na państwa usługi w 2025 r.?
Są jeszcze miejsca na campach?

KA: Są, oczywiście. Świadomość rodziców rośnie, ale wciąż jest wiele obaw. Kiedyś mieliśmy więcej siedmiolatków, teraz jest ich mniej. Rodzice boją się, rodzi się też mniej dzieci. Nie mamy badań, ale obserwujemy podobny trend jak w USA. Gdyby rodzice wiedzieli, jak kształtujące są te campy, nie mielibyśmy problemu z wypełnieniem miejsc.

KB: A od jakiego wieku można być uczestnikiem?

KA: Siedem lat to dolna granica. Kiedyś mieliśmy programy dla sześciolatków, ale po covidzie rodzice przestali wysyłać tak małe dzieci. Mamy specjalne ośrodki dla młodszych dzieci, gdzie grupy są mniejsze. Natomiast nastolatki potrzebują większych grup.

KB: Na koniec chciałem zapytać o Godło „Teraz Polska”, którego aktywnie używają państwo przy okazji działań promocyjnych.

KA: To było parę lat temu. Ktoś z naszego biura zauważył, że inne firmy mają różne certyfikaty, a my nie. Klient zasugerował, że powinniśmy postarać się o Godło „Teraz Polska”. I tak to się zaczęło. Udział i wygrana w konkursie były bardzo ważne dla naszych pracowników i klientów. Godło „Teraz Polska” to wciąż jeden z najsilniejszych znaków jakości na rynku.

KB: Tak wynika z badań i cieszymy się, że potwierdza pan nasze wnioski.

KA: Dziękuję, że miałem możliwość podkreślenia naszej kluczowej zasady: najważniejsze, co możemy dać dzieciom, to nauczyć je komunikacji i akceptacji siebie. Reszta to dodatek.



Zrozumiałem, że mogę zbudować

- Pszczoły uczą dyscypliny, precyzji i cierpliwości, ale ja od początku miałem w głowie coś więcej niż tylko produkcję miodu.
- Żeby zbudować coś wielkiego, trzeba myśleć i działać w kategoriach skali, a nie wyłącznie romantycznych ideałów rzemieślniczych.
- Dla nas Pasieki Rodziny Sadowskich to natura, emocje, styl życia i luksus dostępny na co dzień.

Z **Arkadiuszem Sadowskim**, twórcą marki Pasieki Rodziny Sadowskich, laureatem Godła „Teraz Polska”, rozmawia Kamil Broszko.



Kamil Broszko: Zaraz po maturze, pod wpływem wakacyjnej pracy, zdecydował się pan na założenie pasieki. A kiedy uświadomił pan sobie, że pszczoły i produkcja miodu mogą stać się czymś więcej niż tylko hobby?

Arkadiusz Sadowski: To był moment, kiedy zrozumiałem, że nie chcę żyć przeciętnie. Wakacyjna praca przy ulach miała być tylko epizodem, a stała się początkiem czegoś wielkiego. Zobaczyłem w pszczelarstwie coś więcej niż pasję – dostrzegłem potencjał,

którego nikt inny nie umiał wykorzystać. Pszczoły uczą dyscypliny, precyzji i cierpliwości, ale ja od początku miałem w głowie coś więcej niż tylko produkcję miodu. Wiedziałem, że jeśli połączę to z bezkompromisowym podejściem do jakości, innowacją i odważnym modelem biznesowym, to stworzę koncept, który wyznaczy nowe standardy. Zrozumiałem, że mogę zbudować wyjątkową markę, opierając się na tym, co inni traktowali jako niszowe rzemiosło. I dokładnie to zrobiłem.



Produkcja miodu
w Pasiekach Rodziny Sadowskich.

© MIODZIARZE

wyjątkową markę

KB: Pański biznes odniósł duży sukces. Co było kluczowe w początkowej fazie rozwoju: wysoka jakość czy podejście marketingowe?

AS: Prawda jest taka, że nie da się zbudować wielkiego biznesu bez odwagi, a także wyczucia w dwóch dziedzinach: produkcji i marketingu. Aby wzbić się ponad przeciętność, trzeba mieć intuicję, wiarę w siebie, odrobinę szaleństwa i szczęście do ludzi. Od początku wiedziałem, że jakość naszego miodu, a także wszystkich kolejno oferowanych produktów, musi być niepodważalna. Ale jednocześnie zdawałem sobie sprawę, że nikt się nimi nie zachwyci, jeśli nie podamy ich w sposób, który rozpala wyobraźnię i sprawia, że ludzie chcą je mieć. Nie kopiowałem innych, bo nie było kogo kopiować. Nikt wcześniej nie wpadł na takie pomysły. Jako pionierzy wprowadziliśmy miody smakowe w czasach, kiedy „purystom” nie przyszłoby to do głowy. Ale ja wiedziałem, że to będzie strzał w dziesiątkę, bo nie sprzedajemy tylko miodu, dla nas Pasieki to coś więcej: natura, emocje, styl życia, pewien luksus dostępny na co dzień.

Marketingu, czy ogólnie biznesu, uczyłem się nie tylko na studiach, ale też zawodowo, przez kilka lat, w zupełnie innej branży.

Po drodze okazało się, że mam instynkt – wiem, co działa i co przyciąga uwagę. Od początku zależało mi, aby marka Pasieki Rodziny Sadowskich była czymś więcej niż tylko „tą od miodów”. Miałem głowę pełną pomysłów. Nie czekałem, aż moda przyjdzie do nas – to my ją wykreowaliśmy. Kluczowa była wizja i choć początkowo dotyczyła ona tego, jak sprawić, aby miód był atrakcyjny, modny, pożądany, to szybko zrozumiałem, że możemy więcej. Dzięki temu dziś Pasieki Rodziny Sadowskich to największy internetowy sklep ze zdrową żywnością, a także rozpoznawalna, silna marka, która dzięki Godłu „Teraz Polska” zasłużyła na przywilej reprezentowania tego, co w polskiej gospodarce najlepsze.

KB: Pasja to jedno, kameralny biznes to drugie, ale zupełnie osobna historia to wielki biznes, czyli produkcja, zarządzanie, procesy. Jakim ideom i zasadom pan hołduje jako zarządzający dużym przedsiębiorstwem?

AS: Pasja to był początek, ale po tylu latach wciąż mam dużej jej pokłady. To fundament sukcesu w każdej branży, ale żeby zbudować coś wielkiego, trzeba myśleć i działać w kategoriach skali, a nie wyłącznie romantycznych ideałów rzemieślniczych. Ja hołduję zasadzie bezkompromisowej jakości, dynamicznego wzrostu i kontroli nad każdym aspektem biznesu. To dlatego sami sprzedajemy produkty za pośrednictwem naszego sklepu i czuwamy nad procesem ich powstawania od początku do końca. Miodziarze to nie jest firma, która dryfuje z prądem – my wyznaczamy kierunek. Stawiamy przede wszystkim na jakość. Na rynku można sprzedawać byle co, ale to nie moja filozofia. Nasze miody są najlepsze, bo mamy obsesję na punkcie surowca, procesów i innowacji. Nie idziemy na kompromisy, nie produkujemy masówek. Udało się nam zwiększyć skalę, nie rezygnując z dotychczasowych walorów rodzinnego przedsiębiorstwa.

Ta odrobina szaleństwa, rozmachu, o którym wspominałem, to doskonałe paliwo dla odważnych decyzji, szybkiego reagowania na zmieniający się rynek i budowania firmy, która nie tylko dobrze sobie radzi, ale staje się liderem. Tą energią dzielę się z zespołem. Ludzie to siła naszej firmy. Potrafią działać na najwyższym poziomie i są po prostu najlepsi. Doceniam zaangażowanie, kreatywność i lojalność każdego pracownika, bo wiem, że 90 proc. sukcesu to ich zasługa.

KB: Pańska oferta stale się rozwija. Jakie kryteria decydują o wprowadzeniu nowych produktów?

Czy są to wyłącznie potrzeby rynku, czy też kieruje się pan intuicją i eksperymentuje?

AS: Nie czekam na to, co powie rynek. Gdybym tylko podążał za trendami, byłbym zawsze o krok za innymi, a ja jestem liderem. Nowe produkty wprowadzam wtedy, gdy wiem, że mogę zrobić coś lepiej, inaczej niż reszta. Intuicja? Oczywiście, że tak, ale nie taka, która jest ślepym strzałem. Moja intuicja to doświadczenie, wiedza, analiza i odwaga w podejmowaniu decyzji. Kryteria? Pro-

ste: czy to robi wrażenie? Czy wywołuje efekt wow? Czy wchodząc na rynek, zmienia reguły gry? Jeśli produkt nie wywołuje emocji, nie ma racji bytu.

Oczywiście obserwujemy zmiany na rynku, ale nie po to, by się im podporządkować, raczej po to, by wiedzieć, kiedy zaskoczyć czymś zupełnie nowym. Tak było z naszymi miodami smakowymi, tak było z marką Zakwasownia Rodziny Sadowskich czy z wprowadzeniem suplementów diety, na przykład Kolagenu Premium w eleganckich opakowaniach. Eksperymenty? Zawsze. Tyle że nie robimy ich chaotycznie. Wszystko, co trafia do oferty, jest dopracowane w najdrobniejszym detalu – od receptury po sposób, w jaki produkt wygląda na półce. Jeśli coś wprowadzam, to wiem, że będzie sukces.

KB: Jak wygląda pana typowy dzień jako właściciela pasieki?

Czy jest on bardziej zdominowany przez kontakt z naturą, czy zarządzanie firmą i rozwój strategii biznesowej?

AS: Typowy dzień? Nie istnieje coś takiego. Jest tylko maksymalne wykorzystanie każdej godziny. Oczywiście pasieka to serce tego, co robimy, ale żeby działać na skalę, którą wyznaczyłem, nie mogę być już tylko pszczelarzem – jestem strategiem, liderem i wizjonerem. Zarządzam całością, ale dzięki wspaniałemu zespołowi ludzi wiem, że wiele spraw mogę oddać w ich ręce. Nie jestem jednak typem szefa zza biurka. Jestem tam, gdzie mnie potrzebują – reprezentuję firmę na zewnątrz, odbywam spotkania inwestorskie, ale czasami też osobiście sprawdzam nowe smaki miodów.

KB: Czy czuje pan, że sukces firmy wiąże się z osobistą więzią i pasją, z jaką oddał się pan po maturze pszczelarstwu?

AS: Oczywiście, że tak. Ale nie chodzi tylko o sentymenty. Pszczelarstwo było moim pierwszym doświadczeniem, które nauczyło mnie, czym są ciężka praca, cierpliwość i bezkompromisowość. Jeśli w ulu jest bałagan, nie będzie miodu. Jeśli nie rozumiesz pszczół, nie masz nad nimi kontroli. Tak samo jest w biznesie.

Czy pasja miała znaczenie? Tak, ale sama pasja niczego nie gwarantuje. Pasjonatów pszczelarstwa są tysiące, ale ilu z nich zbudowało markę, która stała się symbolem jakości i stylu? Kluczowe było to, że od początku wiedziałem, że chcę czegoś więcej niż tylko hodowania pszczół. Chciałem stworzyć firmę, która wyznacza trendy. Wierzyłem w nią tak mocno, że dałem jej swoje nazwisko, a to przecież wyjątkowe zobowiązanie. Każdy słoik miodu, każda nowa linia produktowa, każde partnerstwo biznesowe – to wszystko ma moje DNA. Dlatego ten sukces nie jest przypadkiem. To efekt lat konsekwencji, determinacji i bezwzględnej wiary w to, że można więcej.

KB: Jak widzi pan przyszłość swojego biznesu?

Czy ma już konkretne plany na dalszy rozwój?

AS: Myśląc o przyszłości, widzę tylko jedną drogę: jeszcze więcej. Nie uznaję stagnacji. Jeśli nie idziesz do przodu, to się cofasz, a w moim świecie nie ma miejsca na przeczётność.



Arkadiusz Sadowski – twórca marki Pasieki Rodziny Sadowskich i prezes spółki Miodziarze, uhonorowanej Godłem „Teraz Polska”.

Planów jest wiele i sukcesywnie je realizujemy. Ale nie będę zdradzał wszystkiego, konkurencja już wystarczająco często próbuje nas kopiować, choć nigdy jej się to nie udaje. Powiem tyle: Pasieki będą jeszcze bardziej ekskluzywne, jeszcze bardziej niepodrabialne i zaskakujące. Na pewno nie zabraknie kolejnych nowych produktów i smaków, także takich, których rynek jeszcze nie zna. W minionym roku rozwinęliśmy od zera kategorię



© MIODZIARZE (3)

naturalnych suplementów diety i wciąż dokładamy nowe produkty, które cieszą się ogromnym powodzeniem. Miód to nie tylko słodki dodatek do herbaty, to potęga natury, którą teraz wprowadzamy do kategorii produktów funkcjonalnych. Colostrum, witaminy, elektrolity, shoty energetyczne, produkty dla sportowców, jak na przykład Kolagen Sport – to dopiero początek. W marcu tego roku wprowadziliśmy miód z matchą i już wiemy, że będzie to absolutny hit. Połączyliśmy najwyższej jakości miód z zieloną herbatą matcha, tworząc produkt, który nie tylko smakuje wyśmienicie, ale też działa jak naturalny zastrzyk energii i antyoksydacyjna tarcza dla organizmu. To coś, czego rynek jeszcze nie widział na tym poziomie jakości. My jednak już planujemy następne zaskakujące nowości. Będzie się działo.

KB: W branży miodu sporo się dzieje.

Rozwija się import, również z bardzo odległych kierunków, i tu można oczekiwać tendencji wzrostowej. Jakie są pana prognozy i perspektywy dla rynku miodu w tym kontekście?

AS: Import? Niech sobie sprowadzają, co chcą. Tani miód załewa rynek? Żałuję, że tak się dzieje, ale nie mam na to wpływu. Miodziarze nigdy nie byli i nie będą w tym wyścigu. Ja nie gram w lidze masówki, tylko jakości. A prawdziwa jakość zawsze znajduje swojego odbiorcę.

Nie obawiam się chińskich czy południowoamerykańskich miodów, które walczą ceną. To inna liga. Oczywiście rynek się zmienia. Widzę, jak wielkie sieci detaliczne szukają najtańszych rozwiązań, jak konsumenci są bombar-

Dziś Pasieki Rodziny Sadowskich oferują nie tylko miody, ale też wiele innych naturalnych produktów.



dowani „promocjami” na miód, który z prawdziwym miodem ma niewiele wspólnego. Ale ja gram inaczej i wiem, że nasi konsumenci też to widzą i doceniają. Przewiduję, że rynek miodu będzie się rozwarstwiał. Z jednej strony tani import – dostępny masowo, słabej jakości, tani produkt. Z drugiej strony segment premium, który rośnie, bo ludzie chcą autentyczności, chcą towarów, które mają historię, jakość i niepowtarzalność. I to jest nasza nisza, a właściwie nasza dominacja.

Na pewno nie zamierzamy walczyć ceną. To nie jest nasza bajka. Jak wspominałem, fundamentalna jest jakość. Klienci wiedzą, że kupując nasz miód, dostają coś absolutnie topowego. Stawiamy na kreatywny pomysł i innowacje, a produktom zapewniamy marketing na najwyższym poziomie. Konkurencja może próbować kopiować nasze pomysły, ale to my wyznaczamy trendy. Pasieki Rodziny Sadowskich nie są już tylko marką miodu. To gigantyczna platforma z ponad 160 naturalnymi produktami, a także symbol dobrego gustu i jakości życia. Mamy świetne relacje z influencerami, mediami, partnerami z segmentu premium. Nasz produkt jest widoczny tam, gdzie trzeba. Będziemy robić swoje, jak do tej pory, i jestem przekonany, że dzięki temu nie tylko przetrwamy, ale będziemy jeszcze silniejsi.

KB: W dobie rosnącej świadomości ekologicznej – jakie działania podejmuje pan, by jeszcze bardziej podkreślić zrównoważony charakter działalności?

AS: Niestety, ekologia to wciąż dla wielu firm tylko marketingowa gadka, zielone listki na opakowaniach i puste deklaracje. Dla mnie to konkretne decyzje, które mają realne znaczenie. I nie robię tego dlatego, że taka jest moda – robię to, bo



wiem, że przyszłość należy do tych, którzy potrafią łączyć biznes z odpowiedzialnością. Jesteśmy w tym temacie bezkompromisowi. Nasze miody pochodzą z terenów wolnych od pestycydów i są dostarczane przez starannie dobranych pszczelarzy, którzy działają zgodnie z zasadami etycznego pszczelarstwa. Współpracujemy z pasiekami, które dbają o pszczoły i ich naturalne środowisko. Nie wspieram intensywnego pszczelarstwa, które wyciska ule jak cytryny. Dbamy o odpowiednie warunki, rotację pasiek, zachowanie bioróżnorodności. Nie kupujemy taniochy na masową skalę. Nasze opakowania są wyłącznie eko i premium – ze szkła i tektury. Stawiamy na lokalne źródła surowca, zoptymalizowane dostawy, ekologiczne rozwiązania logistyczne. Nie widzę sensu wożenia miodu z końca świata, skoro najlepszy mamy tu, na miejscu.

Pasieki Rodziny Sadowskich to więcej niż tylko marka, to ruch społeczny. Promujemy świadome wybory konsumenckie, współpracujemy z ekologami i pszczelarzami, organizujemy warsztaty, uczymy dzieci i młodzież zdrowego stylu życia. Bo biznes to jedno, ale wpływ, jaki wywierasz na innych, to prawdziwy miernik sukcesu. W tym właśnie celu powołałem do życia Fundację Rodziny Sadowskich, która powstała z jednego, prostego powodu: nie czekamy, aż świat się zmieni na lepsze, tylko sami go zmieniamy. To naturalna kontynuacja wartości, które od zawsze są fundamentem naszej działalności biznesowej, czyli jakości, odpowiedzialności i działania z myślą o przyszłości.

Do troski o środowisko angażujemy naszych klientów i lokalną społeczność. W ramach corocznej akcji Ratujmy Pszczoły do tej pory rozdaliśmy konsumentom około 120 tys. saszetek z nasionami miododajnych roślin, aby każdy mógł wysiać łąkę kwietną w ogrodzie lub na balkonie. Chcąc zwiększyć zaangażowanie lokalnych społeczności, w czerwcu 2024 r. Fundacja Rodziny Sadowskich we współpracy z Urzędem Miasta Płocka zaprosiła mieszkańców Płocka, dzieci ze szkoły podstawowej, a także piłkarki nożne z Wisły Płock do wspólnego wysiewania łąki kwietnej w parku Północnym w Płocku. Z ponad 6 kilogramów nasion roślin miododajnych powstała łąka o powierzchni 1,3 tys. m kw., dzięki której zapylacze znalazły bezpieczne i czyste miejsce do bytowania. Fundacja Rodziny Sadowskich wraz z pracownikami naszej firmy przeprowadziła szereg warsztatów na temat zdrowego żywienia oraz ochrony środowiska dla dzieci ze szkół i przedszkoli, a także dla seniorów. Na wybudowanych przez spółkę kortach tenisowych organizowana jest szkołka tenisowa dla dzieci, gdzie młodzież może wziąć udział w bezpłatnych zajęciach z trenerem. W 2023 r. Fundacja ufundowała specjalistyczny wózek do gry w tenisa dla zawodnika SIKT Płock, a w 2024 r. przekazała 32 rowery i kaski dla wychowanków Ośrodka Opiekuńczo-Wychowawczego w Płocku. Firma wsparła także zawody dla dzieci szkolnych Tytan Warszawy, przekazując tysiąc miodów na nagrody dla biorących udział w eliminacjach, oraz Mazowieckie Centrum Neuropsychiatrii w Józefowie.

Nie zawsze jednak chodzi tylko o wielkie gesty, czasem drobne działania, jak wsparcie lokalnych społeczności, mogą mieć ogromny wpływ. To dla mnie ważna część naszej misji, która pokazuje, że biznes i społeczna odpowiedzialność mogą iść w parze.

KB: Co najbardziej pana zaskoczyło w rozwoju firmy?

Czy był jakiś moment przełomowy, który pan szczególnie zapamiętał?

AS: Zabrzmiało to pewnie odważnie, ale od początku wiedziałem, że Miodziarze odniosą sukces. Wizja była jasna, cel precyzyjnie określony. Ale oczywiście w drodze na szczyt zawsze pojawiają się momenty, które wywracają stolik i przyspieszają rozwój bardziej, niż się zakładało. Gdy nasze miody smakowe zaczęły robić zawrotną karierę, gdy zobaczyłem je na ekskluzywnych imprezach, gdy stały się pożądanym prezentem, zrozumiałem, że stworzyliśmy trend, jakiego wcześniej nie było. I choć wcześniej wielu „znawców” twierdziło, że miód to miód – że ludzie nie zapłacą więcej za produkt, który od setek lat wygląda tak samo – udowodniłem, że się mylili. Wprowadziłem na rynek coś, czego nie było: miód, który stał się prestiżowym prezentem, elementem ekskluzywnej gastronomii, produktem, o którym się mówi.

Zaskoczyło mnie, jak szybko konkurencja zaczęła kopiować moje pomysły. Problem w tym, że kopiowanie to jedno, a tworzenie trendów – to zupełnie inna liga. Dziś jeszcze bardziej wierzę w to, że nie wolno grać zachowawczo. Jeśli chcesz być liderem, musisz być odważny. Robić rzeczy, których inni się boją. I właśnie dlatego Miodziarze są tam, gdzie są – bo zawsze graliśmy *va banque*. I będziemy grać dalej.

KB: Zarówno pan, jak i firma jesteście laureatami wielu nagród. Jakie wrażenia towarzyszyły panu podczas odbierania na scenie Filharmonii Narodowej Godła „Teraz Polska” – najstarszego i najbardziej rozpoznawalnego znaku najwyższej jakości i polskiego pochodzenia?

AS: Gdy stałem na scenie Filharmonii Narodowej, czułem dumę. Nie tylko osobistą, ale też biznesową – dumę z całego zespołu; z ludzi, którzy razem ze mną budują tę markę; z pszczelarzy, którzy pracują na naszą jakość; z klientów, którzy od lat wiedzą, że Miodziarze i nasze Pasieki Rodziny Sadowskich to nie jest zwykły miód. To jest jakość, którą można poczuć w każdej łyżeczce. I nasze dobro narodowe. Godło „Teraz Polska” nie trafia do przypadkowych firm, nie dostaje się go za ładne opakowanie czy dobry PR. Jest nagrodą dla polskich firm, które wyznaczają standardy. Bezcenne uczucie.

Było też moment, w którym utwierdziłem się w przekonaniu, że nie ma dla nas sufitu. Jeśli teraz zdobywamy Godło „Teraz Polska”, jeśli nasz miód jest wręczany na ekskluzywnych wydarzeniach i kupowany przez tysiące lojalnych klientów, to co będzie dalej? Doskonale wiem – nie chcemy się zatrzymywać, spoczywać na laurach, bo nagrody są ważne, ale nie można na nich poprzestać. Najlepsze dopiero przed nami.

THINKTANK



ZAPRASZAMY DO SPOŁECZNOŚCI
LUDZI AKTYWNYCH I PRZEDSIĘBIORCZYCH!

dołącz do nas!

www.think-tank.pl

www.facebook.com/osrodekTHINKTANK

www.twitter.com/THINKTANK.PL

Jestem tu, gdzie powinienem być

- Nie ukrywam, że Śląsk jest dla mnie trochę jak Alma Mater. Tu zdobyłem pierwsze nagrody, tu odbyły się pierwsze twórcze spotkania, wystawy, wernisaże.
- Na ASP mogłem tworzyć pod okiem prof. Lecha Majewskiego, Piotra Młodożeńca, prof. Mieczysława Wasilewskiego czy prof. Zygmunta Januszewskiego.
- Inspiracje graficzne, ilustracyjne czerpię z otaczającego mnie świata, głównie z prozaicznych sytuacji dnia codziennego, które bywają wręcz kuriozalne i bardzo zabawne. Natomiast w przypadku malarstwa czy rysunku moje inspiracje wracają do korzeni, czyli do natury.
- Siła plakatu jest nieobliczalna... Do realizacji można przecież wykorzystać rozmaite media: rzeźbę, fotografię, malarstwo, rysunek, tradycyjne techniki warsztatowe, techniki cyfrowe, a nawet ruchomy obraz.

Z drem **Piotrem Pietrzakiem**, grafikiem, malarzem i ilustratorem, rozmawia Marzena Tataj.

Marzena Tataj: Po raz pierwszy spotkał się przed laty przy okazji organizowanego wspólnie z warszawską ASP konkursu na okładkę „Magazynu Teraz Polska”. W skład jury weszli przedstawiciele ASP: prof. Wiktor Jędrzejec i prof. Ryszard Kajzer, a także Rafał Olbiński i reprezentanci naszej redakcji. Zdobył pan wtedy II nagrodę, od razu zwracając uwagę jury na swój oryginalny, wyróżniający się styl wypowiedzi. Jednak na swoim koncie ma pan wiele nagród, znacznie większego kalibru. Jak to się robi?

Piotr Pietrzak: Konkursy dają możliwość sprawdzenia się, przeanalizowania swoich działań twórczych i projektowych, oczywiście na tle innych. Aktualnie na rynku pojawia się wiele różnych konkursów, przeglądów – mam już taką możliwość, aby wybierać jedynie prestiżowe lub te, które tematycznie przypadną mi do gustu. Pamiętam, że jeszcze jako uczeń „plastyka”, a potem student brałem udział w praktycznie każdym przeglądzie – niejednemu raz udawało się wygrać albo zająć miejsce na podium. Każdy konkurs umożliwia zmierzenie się z konkretnym hasłem przewodnim, co często wymusza refleksję, której nie moglibyśmy doświadczyć bez wniknięcia w problematykę danego konkursu. Więc oprócz tego, że przy każdym przeglądzie zdobywamy wiedzę, to jeszcze mamy możliwość wypłynięcia na szersze wody. Tak też było podczas konkursu na okładkę „Magazynu Teraz Polska”. Wtedy, jako 23-letni student, również na nim postanowiłem zaistnieć. Było warto.

MT: Pana droga prowadziła od szkoły plastycznej w Dąbrowie Górniczej, poprzez ASP w Krakowie, do ASP w Warszawie. Czy Śląsk jest ważny w pana twórczości?

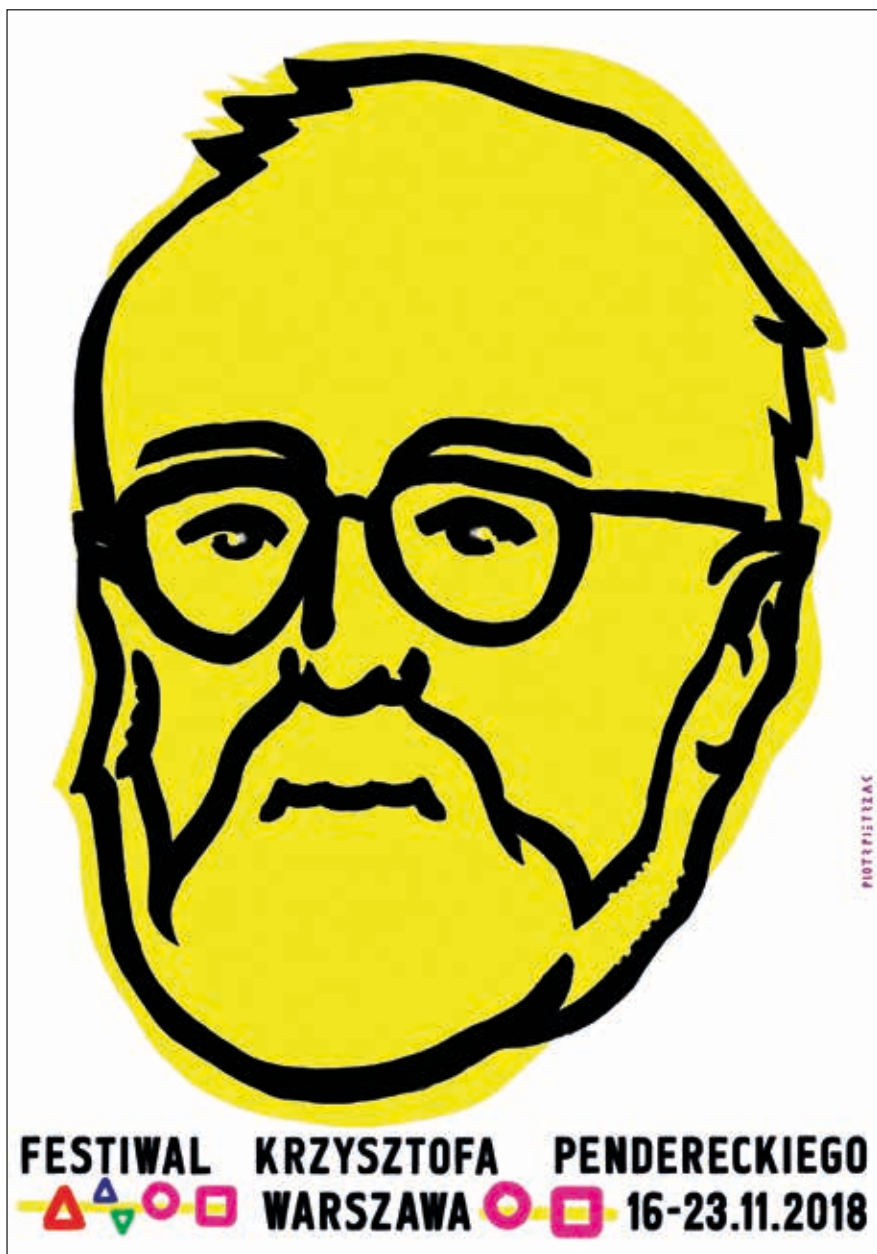
PP: Nie ukrywam, że Śląsk jest dla mnie trochę jak Alma Mater. Tu zdobyłem pierwsze nagrody, tu odbyły się pierwsze twórcze



„Poland Open”, 2013 r. Praca zdobyła główną nagrodę Galerii Plakatu AMS.

spotkania, wystawy, wernisaże. Tutaj w wieku 15 lat namalowałem obraz, który zdobył Grand Prix na Ogólnopolskim Biennale Szkół Plastycznych w Polsce. Pamiętam, że nagrodę przyznał mi prof. dr hab. Ireneusz Domagała, który był przewodniczącym komisji. Później spotkałem się z profesorem na plenerze malarskim w Kazimierzu Biskupim, gdzie zdobyłem wyróżnienie. To kolejne potwierdzenie, że warto brać udział w takich spotkaniach.

Przyznam szczerze, że wróciło teraz do mnie wiele pozytywnych wspomnień z tego wczesnego okresu moich działań, głównie malarskich i rysunkowych. Śląsk był i jest dla mnie rodzajem matrycy topograficznej i scenografii, z której czerpałem inspiracje: graficzne, malarskie, fotograficzne, rysunkowe. Okres od „plastyka” do warszawskiej ASP mogę podzielić na fazy: malarską, rysunkową i – głównie – graficzną. To na ASP mogłem



© ARCHIWUM PP

Piotr Pietrzak (ur. 1991 r. w Sosnowcu) – grafik, plakacista, ilustrator. Absolwent Zespołu Szkół Plastycznych w Dąbrowie Górniczej (grafika warsztatowa). Absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie (2015), gdzie uzyskał także tytuł doktora sztuki (2025). Wykładowca i nauczyciel. Artysta ukończył studia na Wydziale Grafiki warszawskiej ASP w Pracowni Grafiki Wydawniczej prof. Lecha Majewskiego, a także kształcił się na Wydziale Malarstwa w Warszawie i Krakowie oraz na Wydziale Sztuki Mediów ASP w Warszawie. Jego prace zdobyły uznanie na wielu międzynarodowych wystawach, a sam Pietrzak jest laureatem 35 międzynarodowych i ogólnopolskich konkursów graficznych. Zdobył wiele prestiżowych nagród, takich jak Srebrny Medal na Międzynarodowym Biennale Plakatu w Chinach, I nagroda w konkursie na plakat Festiwalu Krzysztofa Pendereckiego czy Grand Prix w konkursie projektowym „Ideografia”. Jego twórczość była prezentowana na międzynarodowych wydarzeniach, w tym na Biennale Plakatu Polskiego w Katowicach, International Poster Biennale in Warsaw oraz Biennale Plakatu w Meksyku, Japonii i Chinach. Współpracował z wieloma instytucjami kultury, m.in. Polskim Wydawnictwem Muzycznym, Narodowym Forum Muzyki we Wrocławiu, Filharmonią Narodową w Warszawie oraz Stowarzyszeniem Ludwiga van Beethovena. Jest autorem wielu projektów brandingowych prezentowanych na całym świecie. Ilustrator w wielu czasopismach, takich jak „Dziennik Gazeta Prawna” czy „Ruch Muzyczny”.

tworzyć pod okiem prof. Lecha Majewskiego, Piotra Młodzieńca, prof. Mieczysława Wasilewskiego czy prof. Zygmunta Januszewskiego.

MT: Jakie są pańskie inspiracje twórcze?

PP: Tutaj chciałbym dokonać krótkiej analizy moich inspiracji, ponieważ jest ich kilka w zależności od tego, jakim medium się posługuję. Inspiracje graficzne, ilustracyjne czerpię z otaczającego mnie świata, głównie z prozaicznych sytuacji dnia codziennego, które bywają wręcz kuriozalne i bardzo zabawne. Natomiast w przypadku malarstwa czy rysunku moje inspiracje wracają do korzeni, czyli do natury. Często spacer po lesie, brzegiem morza czy w zwyczajnym parku wśród miejskiego zgiełku podpowiada mi, jak rozwiązać dany problem rysunkowy, kompozycyjny czy malarski.

„Festiwal Krzysztofa Pendereckiego w Warszawie”, 2018 r.

MT: Niedawno na warszawskiej ASP obronił pan doktorat pt. „Analogia wojny – seria podwójnych plakatów” u prof. Lecha Majewskiego. W dysertacji prowadził pan rozważania, w jaki sposób litera (minuskuła karolińska), która powstała jako środek komunikacji międzyludzkiej, w rzeczywistości podkreśla kontrast pomiędzy porozumieniem a konfliktem. Ludzie nie są w stanie się porozumieć, poróżniają się, doprowadzają do wojen. Grafiki zawarte w pracy doktorskiej ukazują negatywne i pozytywne aspekty działania człowieka na osi historii. I tak zestawiał pan „Śmierć Świętego Wojciecha w Prusach 997” i „Chrzest Polski 966”, „Pierwszą wojnę światową 1914” i „Teorię względności $E = mc^2$ Alberta Einsteina 1905”, „Zbrodnię katyńską 1940” i „Pierwszy przeszczep serca 1967”, „Wybuch bomby atomowej 1945” i „Lądowanie na Księżycu 1969”. Dla mnie są to rozważania czysto filozoficzno-egzystencjalne nad kondycją człowieka i jego humanizmem, do których został wykorzystany plakat jako forma wypowiedzi.

PP: Na wstępie muszę podkreślić, że moja rozprawa doktorska miała charakter pewnego manifestu. Patrząc na aktualne wydarzenia na świecie, idealnie wpasowałem się w tę przykrą narrację. Podobnie było z pracą magisterską „Každy człowiek jest legalny”, która powstała podczas kryzysu migracyjnego w 2015 r.

Rozprawę doktorską zacząłem od zaprojektowania kroju pisma, które uznaję za podstawę łacińskiej, czyli naszej, komunikacji, nie tylko wizualnej. Zastanawiałem się, jak to jest, że pomimo narzędzia komunikowania się człowiek często nie jest w stanie dojść do kompromisu i zrozumienia drugiego człowieka. Nie znalazłem jeszcze odpowiedzi. Możliwe, że to nasza natura – ranić się nawzajem.

Istotą rozprawy doktorskiej są prace graficzne zestawione parami. Z perspektywy czasu uważam, że każda z prac może opowiadać odrębną historię, co zresztą robi – może prowokować i wzbudzać nawet więcej refleksji niż w parze. Patrząc na aktualne wydarzenia na świecie, myślę, że to się sprawdza.

MT: Pana prace dowodzą, jak silnym i uniwersalnym medium jest plakat. To nie tylko sztuka ulicy, przesiąknięta emocjami, prowokująca, aby przykuć uwagę odbiorcy. Czym dla pana jest plakat? Kim jest jego zleceniodawca?

PP: To prawda, siła plakatu jest nieobliczalna... Do realizacji można przecież wykorzystać rozmaite media: rzeźbę, fotografię, malarstwo, rysunek, tradycyjne techniki warsztatowe, techniki cyfrowe, a nawet ruchomy obraz, co ostatnio widać chociażby na wiatkach przystankowych. Nie ukrywam, że plakat to główny środek formalny mojego dialogu z odbiorcą. Projektuję dla dużych instytucji, ogromnych festiwali, ale także dla mniejszych organizacji, które czasami nie mają określonej konwencji identyfikacji czy narracji wizualnej – nazwijmy je non profit – i z mojej perspekty-

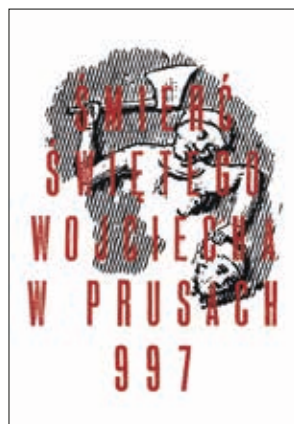
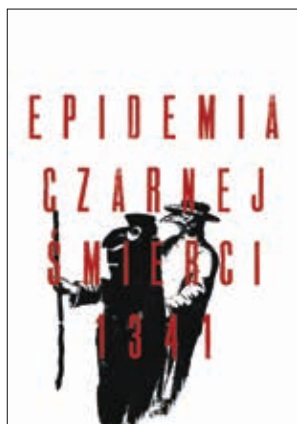


„Ulicznicy”, 2018 r.

wy jest to znacznie ciekawsze. Plakat zawsze był mi bliski. Aspekt komunikowania się, pokazywania, co mnie cieszy, a co smuci, podejmowania społecznych wyzwań i komercyjnych kampanii reklamowych – to uwielbiam w plakacie najbardziej.

MT: Pamiętamy fenomen polskiej szkoły plakatu. Pierwszą okładkę dla „Magazynu Teraz Polska” zaprojektował Jan Sawka i była to jego ostatnia praca przed niespodziewaną śmiercią. Rozmawialiśmy także z Waldemarem Świerzym, Rostławem Szaybo czy Janem Młodożeńcem, którzy tworzyli w czasach, kiedy plakat masowo gościł na ulicach. Dziś wydaje mi się, że plakat artystyczny stał się sztuką elitarną. Dlaczego?

PP: To ciekawe spostrzeżenie, jednak myślę, że zawsze tak było. Teraz po prostu trochę trudniej zdobyć ciekawe zlecenie – czy związane z identyfikacją wizualną, z ilustracją prasową, czy jakimkolwiek działaniem opartym na sztukach wizualnych. Aktualnie konkurencja jest ogromna – jako nauczyciel i wykładowca obserwuję, ilu uczniów i studentów wybiera specjalizację grafiki. Możliwe, że dlatego możemy nazwać plakat elitarnym. Nie każdemu udaje się ta sztuka.



© PIOTR PIETRZAK (8)

Część rozprawy doktorskiej „Analogia wojny – seria podwójnych plakatów”, 2025 r.

MT: Czy polski plakat jest na rozdrożu? Jaka jest dziś jego rola? Czy powinien komentować rzeczywistość, żartować, prowokować?

PP: Myślę, że plakat miał i będzie się miał dobrze. Teraz projektowanie bardzo się zmieniło. Łatwy dostęp do narzędzi cyfrowych i oprogramowania sprawia, że plakat kusi. Kusi estetyką! Kiedy ja projektuję nowy plakat, staram się zachować konwencję myśli, jednak wprowadzam inne środki formalne. Stosuję różne metody dojścia do tej jednej, poprawnej formy graficznej. Czasem są to setki rysunków, w różnym formacie i kolorystyce. Nieraz wracam do pierwotnej formy, bardzo efemerycznej, stworzonej na samym początku.

Kiedy rozważamy, jaką rolę pełni dziś plakat, to z pewnością powinniśmy myśleć o funkcji społecznej, czyli komentowaniu, prowokowaniu, drażnieniu i skłanianiu do refleksji.

MT: Ważną formą wypowiedzi artystycznej jest dla pana także identyfikacja wizualna rozmaitych wydarzeń kulturalnych lub społecznych. Mam w pamięci wspomniały plakat z okazji Festiwalu Krzysztofa Pendereckiego, na potrzeby którego opracował pan indywidualną czcionkę. Czy to prawda, że inspiracją do tej pracy były partytury kompozytora?

PP: Tak, identyfikacja wizualna jest ostatnio jednym z moich głównych wyrazów stylistycznych. Pamiętam font, który powstał na potrzeby festiwalu. Był inspirowany drewnianą czcionką, ale co poniektóre glify musiałem dodać i zaprojektować. Bardzo miło wspominać współpracę z Krzysztofem Pendereckim. To była bardzo ciekawa realizacja projektowa, bo powstało wtedy dużo eklektycznych elementów całości oprawy graficznej. Uwielbiam projektować, kiedy zleceniodawca ma otwartą głowę na niekonwencjonalne rozwiązania. Przyznaję także, że część plakatu z typografią była inspirowana partyturami Krzysztofa Pendereckiego, które dla mnie są graficznymi obrazami.

Zrobiłem już kilkanaście opraw graficznych festiwali, ale nie potrafię wybrać mi najbliższego, z każdym nadal rezonuję i się identyfikuję.

MT: Na zakończenie pozostaje zapytać o najbliższe plany artystyczne.

PP: Z całą pewnością są związane z rozwijaniem moich pasji. W projektowaniu odnalazłem szczęście, którego szukałem. Praca w szkole i na uczelni daje mi dodatkowe bodźce do działania, więc aktualnie żyję w przekonaniu, że jestem tu, gdzie powinienem być, czego każdemu życzę.



Zawsze czuję się ambasadorem Polski

- Tenis jest sportem indywidualnym, za sukcesami kryją się upór, siła mentalna i pracowitość. Umiejętność wygrywania to połączenie talentu, smykałki, szybkich nóg i twardej głowy.
- Jesienią 1974 r. zaryzykowałem i wyjechałem z prywatnym paszportem w ręku na turnieje ATP w Madrycie, Barcelonie, Teheranie, Wiedniu, Sztokholmie i Oslo.
- Pasją kolekcjonerską zaraziłem się od mamy, która zbierała meble w stylu biedermeier i porcelanę, głównie miśnieńską.
- W moich domach w Paryżu i w Nowym Jorku gościło wiele znanych postaci show-biznesu i kultury, takich jak: Jean-Paul Belmondo, Hugh Grant, Eric Clapton, Carla Bruni czy Andy Warhol, ale również Zbigniew Brzeziński czy George Soros.
- Opowiadałem o filmach Wajdy, Skolimowskiego i Polańskiego, o literaturze Mrożka i Gombrowicza, o powstaniu warszawskim i tragedii narodu polskiego podczas II wojny światowej.

Z **Wojciechem Fibakiem** rozmawia Michał Lipiński.

Wojciech Fibak (ur. 1952 r. w Poznaniu) – najlepszy polski tenisista w historii, finalista Masters ATP Finals, 15-krotny zwycięzca turniejów singlowych oraz 52-krotny w grze podwójnej. W deblu dwukrotnie zdobył tytuł mistrza świata w WCT i zwyciężył w Australian Open. Biznesmen, kolekcjoner sztuki. Przez ponad 20 lat prowadził Galerię Kolekcji Fibak w Paryżu i w Warszawie. Entuzjasta i promotor polskiej kultury i sztuki na świecie. Do końca sierpnia 2025 r. trwa wystawa „Kolekcja Wojciecha Fibaka. Nowe pokolenie” w kultowym Mazowieckim Centrum Sztuki Współczesnej „Elektrownia” w Radomiu.

Michał Lipiński: Jak zaczęła się pana przygoda z tenisem? O ile można wyobrazić sobie drogę tenisisty w rozgrywkach krajowych, to zupełnie niewyobrażalny jest fakt, że polski tenisista w latach 70. zaczął grać w turniejach zagranicznych i odnosić w nich sukcesy.

Wojciech Fibak: Wszystko zaczęło się od mojego ojca, który zapisał mnie do sekcji tenisowej AZS w Poznaniu po jednym z meczów piłki nożnej na boisku przyszkolnym czy na podwórku. Grało się wtedy z różnymi chłopakami, czasem chuliganami, od których nieraz dostawałem w nos czy w kostkę, szczególnie po strzeleniu gola. Widząc, w jakim stanie wracam do domu, któregoś dnia ojciec zadecydował: „Koniec z piłką nożną. Zaprowadzę cię na korty, tam kulturalni ludzie grają w tenisa”. Ojciec sam należał do AZS, jako sprinter biegał dla akademickiej reprezentacji Polski, grał także w tenisa, ping-ponga i w siatkówkę, wioskował na Malcie w Poznaniu. Obydwaj zaczęliśmy odbijać piłkę – najpierw o ścianę, a później na korcie. Tak się zaczęła moja przygoda z tenisem, a dalsza historia potoczyła się szybko. W wieku 18 lat zdobyłem halowe mistrzostwo Polski seniorów. Otrzymałem propozycję stypendium Uniwersytetu Stanforda w Kalifornii, ale ten wyjazd został zablokowany przez Polski Związek Tenisowy. Transfer od sportu amatorskiego do zawodowstwa był skomplikowany, bo wiele razy zawieszano mnie lub dyskwalifikowano za próby uczestniczenia w turniejach na Zachodzie z najlepszymi zawodowcami. W ten sposób straciłem cztery lata. Na pierwszy turniej zawodowy w USA wyleciałem dopiero w styczniu 1975 r., czyli w wieku niespełna 23 lat, podczas gdy zachodni gracze mogli grać zawodowo już w wieku 18 lat. Czekając na sposobność wyjazdu, ukończyłem dwa lata prawa na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu i odbijałem piłkę o ścianę w halach w różnych szkołach podstawowych. Czasami odbywałem treningi wspólnie z piłkarzami ręcznymi lub koszykarzami, bo mieliśmy wtedy jedną halę, więc z kolegami zakładaliśmy siatkę na parkiecie i przebijaliśmy piłki. Raz na miesiąc jechałem do Warszawy, aby potrenować z najlepszymi w Polsce. Kiedy już dostałem się do zawodowego tenisa, to po kilku turniejach awansowałem do pierwszej setki rankingu. W następnym roku dostałem się do pierwszej pięćdziesiątki w singlu i dziesiątki w deblu, a w kolejnym roku byłem już w pierwszej dziesiątce.

ML: Czy Polski Związek Tenisowy był pomocny w rozwoju kariery zawodowej?

WF: Absolutnie nie. Zresztą nie oczekiwałem żadnej pomocy, pragnąłem tylko, żeby mi nie przeszkadzano. Związek organizował obozy tenisowe, zgrupowania w Egipcie czy na południu Francji, na których ścisła kadra trenowała przed Pucharem Davisa, ale to nie dawało nam prawa do startu w ważnych turniejach ATP. Od początku wiedziałem, że swoje starty na Zachodzie muszę finansować sam. Ojca – mimo że był profesorem i chirurgiem – nie było stać, aby opłacać moje podróże czy hotele podczas turniejów za granicą. Istniała wtedy przepaść między zarobkami w Polsce

a kosztami życia w Niemczech czy we Francji. Może i powodziło się nam dobrze, jak na polskie warunki, ale stać nas było jedynie na rodzinne wakacje w Jugosławii czy na Węgrzech.

Jesienią 1974 r. zaryzykowałem i wyjechałem z prywatnym paszportem w rękę na turniej ATP w Madrycie, Barcelonie, Teheranie, Wiedniu, Sztokholmie i Oslo. Moim marzeniem było zdobycie jak największej liczby punktów do rankingu ATP. Te starty oczywiście musiałem finansować sam.

ML: Które zwycięstwa są dla pana najcenniejsze?

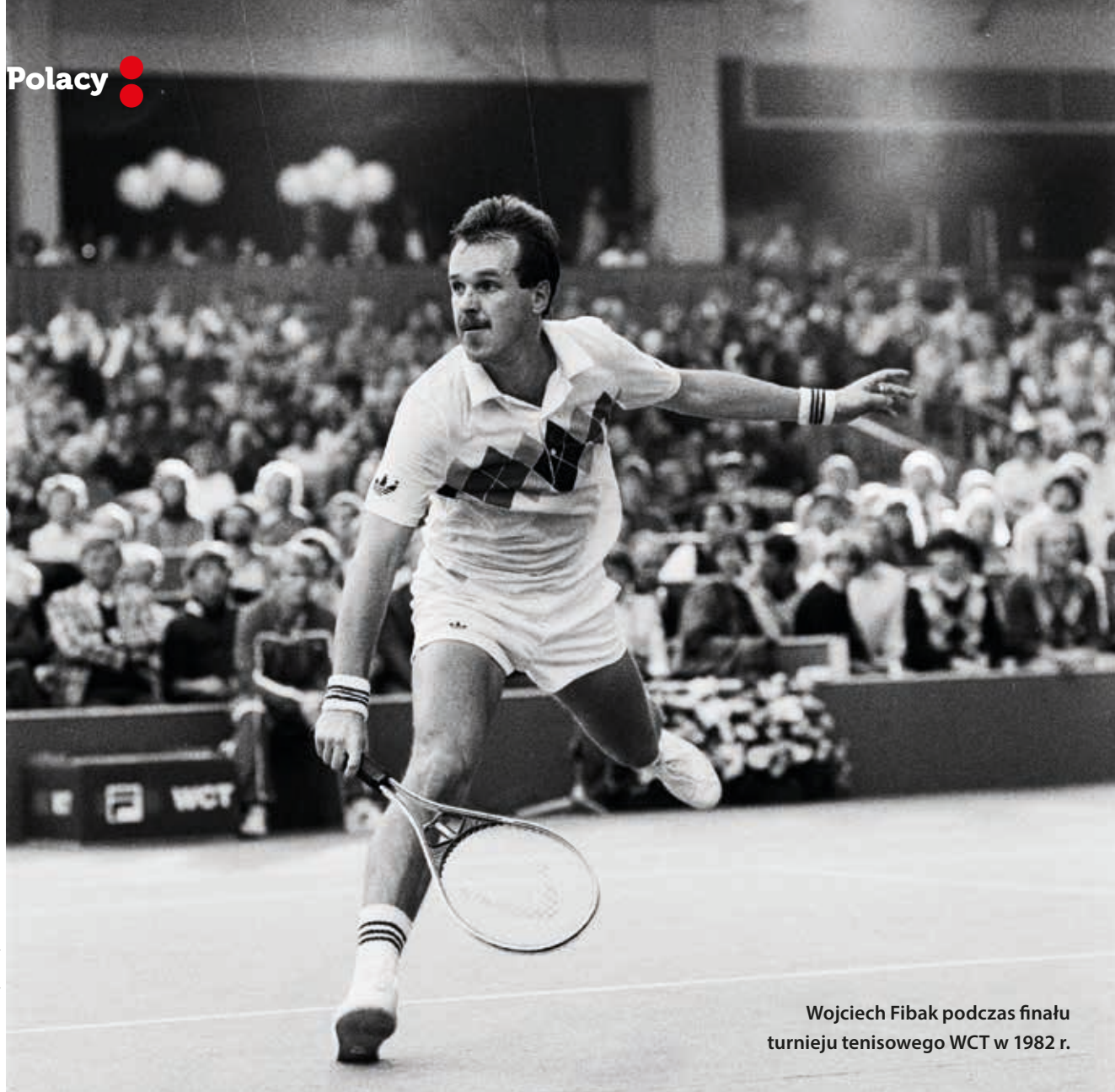
WF: Z pewnością są to finały w najważniejszych turniejach, zwanych dzisiaj Masters, bo one obrazują nie tylko moją historię, ale także historię polskiego tenisa. Mam na myśli mecz z Manuelem Orantesem w turnieju ATP Finals w Houston w 1976 r. czy finał w tym samym roku w Monte Carlo. Pamiętam finały w 1977 r. w Buenos Aires i Toronto oraz w 1978 r. w Hamburgu, w którym odbywał się wtedy jeden z największych turniejów. Ważny też był finał w Filadelfii, wieńczący największy turniej halowy na świecie. Cenię także finał mistrzostw USA na kortach ziemnych w Indianapolis.

ML: Jeśli mówimy o pana dokonaniach sportowych, musimy wspomnieć, że wygrywał pan ze wszystkimi największymi zawodnikami na świecie. Na swoim koncie ma pan zwycięstwa z takimi tuzami światowego tenisa, jak: John McEnroe, Mats Wilander, Stefan Edberg, Jimmy Connors, Björn Borg, Ilie Năstase, Stan Smith, Arthur Ashe, Vitas Gerulaitis, Manuel Orantes, Guillermo Vilas. Mógłbym tak wymieniać i wymieniać. Chcę przez to powiedzieć, że był pan w ścisłej czołówce i się w niej liczył. I to przez wiele długich lat. O pana pozycji świadczą też liczby: 33, 15 i 536. Uczestniczył pan w 33 finałach singlowych turniejów ATP. Dla porównania: Hubert Hurkacz ma na razie na swoim koncie 11 finałów, a Jerzy Janowicz i Łukasz Kubot mają po dwa. Pan odniósł zwycięstwo w 15 finałach singlowych, Hubert – w ośmiu.

WF: Jestem pewien, że Hubert miałby więcej wygranych, gdyby nie pechowa kontuzja kolana podczas zeszłorocznego turnieju w Wimbledonie. Wracając jeszcze do wspomnianych przez pana liczb: ta ostatnia to 536. Tyle wygrałem spotkań singlowych ATP, co stawia mnie wysoko na liście światowej. Co ciekawe, mam również tyle samo zwycięstw w grze deblowej w ATP. Tą liczbą zwycięstw pokonuję wielu słynnych graczy, takich jak Pat Cash czy Henri Leconte. Z grających współcześnie tenisistów dopiero ostatnio przebili mnie Andy Murray i Stan Wawrinka.

ML: Pana sukcesy przyczyniły się do wzrostu zainteresowania tenisem w Polsce. Jak ocenia pan obecny stan dyscypliny w naszym kraju?

WF: Tenis jest sportem indywidualnym, za sukcesami kryją się upór, siła mentalna i pracowitość. Umiejętność wygrywania to połączenie talentu, smykałki, szybkich nóg i twardej głowy. Te ce-



Wojciech Fibak podczas finału turnieju tenisowego WCT w 1982 r.

© MARCEL ANTONISSE/NEFO/WIKIPEDIA

chy posiadała Agnieszka Radwańska, a dzisiaj mają je Iga Świątek i Hubert Hurkacz. W ostatnich latach polski tenis odżył. Mogliśmy cieszyć się z sukcesów deblowych Łukasza Kubota i krótkiej euforii Jerzego Janowicza. Podziwialiśmy wspaniałą karierę Agnieszki Radwańskiej, która miała talent i wielką smykałkę do tego sportu. Teraz mamy dwoje czołowych tenisistów świata, czyli Iga i Huberta. Do tego mamy solidne tenisistki: Magdę Linette i Magdalenę Fręch. Ciągłe wierzę też w Kamila Majchrzaka. Uważam, że dobrze się dzieje w polskim tenisie i prognozy na przyszłość są bardzo optymistyczne. Raz jeszcze powtórzę, że Iga jest absolutnym fenomenem, ale Hubert też kandyduje do tego określenia. Mają wielki talent, co objawia się tym, jak potrafią się poruszać po korcie, jaką mają „miękką rękę”, jak potrafią raz za razem, po raz dziesiąty i setny trafiać w kort blisko linii bocznych. Z takimi zdolnościami trzeba się urodzić, nie wystarczy obóz przygotowawczy czy dodatkowe finansowanie.

ML: Teraz mamy sporą grupę polskich tenisistów, którzy startują w największych turniejach. W latach 70. i 80. pan był

jedynym Polakiem w międzynarodowych rozgrywkach i wykorzystywał każdą okazję, żeby opowiadać światu o Polsce.

WF: Zawsze czułem się ambasadorem Polski. Za moich tenisowych czasów było to znacznie trudniejsze i ważniejsze, gdyż Polska była za żelazną kurtyną i kojarzyła się na świecie z białymi niedźwiedziami na ulicach. Kiedy udzielałem wywiadów w Toronto, Vancouver, Edmonton, Buenos Aires, Perth, Sydney czy Tokio, to musiałem tłumaczyć, gdzie leży ta Polska, z której przyjechałem, i że jest u nas coś więcej niż ludowy zespół Mazowsze – z całym szacunkiem dla jego dorobku i znaczenia. Opowiadałem więc o filmach Wajdy, Skolimowskiego i Polańskiego, o literaturze Mrożka i Gombrowicza, o powstaniu warszawskim i tragedii narodu polskiego podczas II wojny światowej. W budowaniu rozpoznawalności Polski bardzo pomogli Karol Wojtyła, wybrany na papieża w 1978 r., i Lech Wałęsa, którego świat poznał w 1980 r. przy okazji strajków Solidarności. Oczywiście nie można zapomnieć o ówczesnych sukcesach polskich sportowców z innych dyscyplin, mam tu na myśli rekordy i medale m.in. Ireny Szewińskiej, Jacka Wszoły czy Władysława Kozakiewicza. Natomiast ja występo-

wałem regularnie przez cały rok, niemal co tydzień znajdowałem się w innym miejscu na świecie i każdą turniejową konferencję prasową wykorzystywałem do promowania naszego kraju.

Pomogły mi w tym wychowanie – z domu wyniosłem wiedzę o historii i kulturze – oraz znajomość języków obcych, gdyż dobrze znałem angielski, niemiecki, francuski i rosyjski. Nieźle radziłem sobie również w językach czeskim i włoskim.

ML: Kolejna pana pasja to sztuka i jej kolekcjonowanie. Skąd to zainteresowanie?

WF: Pasją kolekcjonerską zaraziłem się od mamy, która zbierała meble w stylu biedermeier i porcelanę, głównie miśnieńską. Często chodziłem z nią do antykwariatów czy do Desy, gdzie znali ją dobrze i odkładali dla niej co ciekawsze obiekty. Swój pierwszy obraz kupiłem w wieku 19 lat w galerii przy poznańskim rynku. Był to obraz współczesny poznańskiego artysty i tak duży, że nigdzie nie mieścił się w domu, więc trafił do garażu moich rodziców. Nabyłem go za pierwsze pieniądze zarobione na tenisie, które pozwoliły mi również na kupno 10-letniego volkswagena. Pod koniec lat 90. podarowałem ten obraz na aukcję charytatywną, która miała wesprzeć remont barokowej fary w Poznaniu. Uzyskał najwyższą cenę, gdyż był promowany jako pierwszy obraz z mojej kolekcji, która w tym czasie była już dość znana.

ML: Dzieli się pan chętnie swoją kolekcją z publicznością, organizując wiele wystaw malarstwa.

WF: Byłem pierwszym kolekcjonerem, który udostępnił publicznie swoje zbiory. Łącznie odbyło się w Polsce 20 wystaw mojej kolekcji w rozmaitych placówkach muzealnych oraz pięć wystaw za granicą.

Pierwszą ważną ekspozycją była wystawa malarstwa polskiego, która odbyła się w 1992 r. w Muzeach Narodowych w Warszawie, Poznaniu i Krakowie. Pokazałem wtedy ponad 200 prac polskich artystów związanych ze szkołą paryską. Obiekty przyleciały z Nowego Jorku i Paryża. Moje wystawy stały się wtedy inspiracją dla wielu kolekcjonerów, chociażby państwa Staraków czy państwa Roeflerów, którzy w Konstancinie założyli prywatne muzeum Villa la Fleur, specjalizujące się w pracach polskich artystów żydowskiego pochodzenia kojarzonych z École de Paris.

ML: Warto wspomnieć, że 28 marca 2025 r. z rąk Marka Roeflera odebrał pan nagrodę Le Prix de Fleur 2025 za całokształt działalności kulturalnej. To bez wątpienia nagroda w pełni zasłużona, bo przecież cały czas pełni pan rolę ambasadora polskiej sztuki.

WF: W moich domach w Paryżu i w Nowym Jorku gościło wiele znanych postaci show-biznesu i kultury, takich jak: Jean-Paul Belmondo, Hugh Grant, Eric Clapton, Carla Bruni czy Andy Warhol, ale również Zbigniew Brzeziński czy George Soros. Wielu z nich właśnie u mnie po raz pierwszy zetknęło się z obrazami Eugeniusza Zaka, Wojciecha Fangora czy Jana Lebensteina. Nie mogli

uwierzyć, że to jest polskie malarstwo. Andy Warhol uważał prace Jana Dobkowskiego za *pure New York pop-art*.

ML: Doceniając pana osobiste sukcesy sportowe oraz wkład w promocję Polski na świecie, Fundacja „Teraz Polska” miała zaszczyt przyznać panu tytuł Promotora Polski. Uroczystość wręczenia pamiątkowej statuetki odbyła się w marcu tego roku w Auli Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

WF: Bardzo cenię sobie to wyróżnienie, tym bardziej że po raz pierwszy moja wieloletnia działalność na rzecz promocji Polski została dostrzeżona i uznana. Jedyne wyróżnienia, jakie dotąd



Krzysztof Przybył i Wojciech Fibak podczas uroczystości wręczenia tytułów Promotora Polski w Poznaniu, 2025 r.

otrzymywałem, to były nagrody za sukcesy sportowe w czasach Polski Ludowej. Niestety, przeważnie nie mogłem odbierać ich osobiście, gdyż mieszkalem we Francji i Stanach Zjednoczonych. Ale pamiętam na przykład złoty zegarek radzieckiej produkcji od ministra spraw wewnętrznych z wygrawerowaną dedykacją: „Dla W.F. za reprezentowanie Polski w świecie”. Nagradzano mnie do czasu, kiedy opowiedziałem się przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce, udzielając wywiadu dla stacji NBC i dla „New York Timesa”. Wtedy od razu zawieszono mnie na trzy lata, co wiązało się z wykluczeniem ze startu w Pucharze Davisa, zakazem wyjazdu dla rodziców i mojego przyjazdu do kraju.

Historię swojego życia opisałem w książce „Gem, set, życie”, do której wstęp napisali Aleksander Kwaśniewski, Daniel Olbrychski i Toni Nadal (trener i wuj Rafy Nadala). Na ponad 500 stronach dzielę się swoimi refleksjami o świecie tenisa i życiu.



Inspirujemy rynek pracy

Aż 84% firm organizowało lub finansowało różne formy rozwoju kompetencji, a co trzecia ma budżet przeznaczony na ten cel*. Większość przedsiębiorstw inwestuje w umiejętności swoich pracowników, a to pozytywna wiadomość w świetle rewolucyjnych zmian na rynku pracy, których już teraz jesteśmy świadkami. Pracodawca Jutra to konkurs PARP, w którym wspieramy ten trend i razem z radami sektorowymi nagradzamy modelowe inicjatywy edukacyjne z zakresu współpracy biznesu z edukacją.

Jak wynika z raportu opracowanego przez PARP „[Rynek pracy, edukacja, kompetencje. Aktualne trendy i wyniki badań. Styczeń 2025](#)”, do 2030 r. ma powstać 170 mln nowych miejsc pracy, głównie w takich sektorach, jak energia, edukacja i medycyna. Jednocześnie zniknie ok. 92 mln stanowisk, przede wszystkim w obszarach produkcji i logistyki. Aż 85% firm zamierza inwestować w rozwój umiejętności swoich pracowników, przy czym 50% z nich planuje wdrożenie programów przekwalifikowania i przenoszenia pracowników na nowe stanowiska.

W dobie zmian technologicznych, automatyzacji i sztucznej inteligencji firmy muszą nie tylko za nimi nadążyć, lecz także je przewidywać. Pracodawca, który stawia na szkolenia i rozwój, staje się liderem zmian. Konkurs organizowany przez PARP

dowodzi, że inwestycja w człowieka jest równoznaczna z inwestycją w stabilny rozwój całej gospodarki.

– Konkurs Pracodawca Jutra to nie tylko sposób na wyróżnienie firm, które inwestują w rozwój kompetencji swoich pracowników, lecz przede wszystkim inspiracja dla całego rynku pracy. Pokazujemy, że nowoczesne przedsiębiorstwo to takie, które buduje swoją siłę na solidnych podstawach wiedzy, partnerstwa i odpowiedzialności wobec przyszłych pokoleń – mówi **Daniel Nowak, ekspert w Departamencie Rozwoju Kadr w Przedsiębiorstwach w PARP.**

**Trwa ósma edycja konkursu
Pracodawca Jutra!**

Celem konkursu jest promowanie i upowszechnianie dobrych praktyk w zakresie inwestowania w rozwój kompetencji pracowników, a także

* www.parp.gov.pl/component/publications/publication/rozwoj-innowacyjnosc-i-zarzadzanie-w-sektorze-uslug-rozwojowych



współpracy przedsiębiorstw z systemem edukacji – zarówno formalnej, jak i pozaformalnej. Sprzyja także wymianie dobrych praktyk w zakresie zarządzania ludźmi i innowacyjnych rozwiązań w organizacjach.

Z początkiem kwietnia PARP ogłosiła start ósmej edycji Pracodawcy Jutra. Mogą wziąć w niej udział przedsiębiorcy lub instytucje edukacyjne działające wspólnie z przedsiębiorcą, którzy realizowali inicjatywy edukacyjne skierowane do różnych grup odbiorców. Mogą to być uczniowie i studenci, absolwenci szkół wyższych, średnich lub branżowych, a także pracownicy – zarówno obecni, jak i nowo wchodzący na rynek pracy, w tym osoby bezrobotne i poszukujące zatrudnienia.

W tegorocznej edycji konkursu Pracodawca Jutra przewidziano **dwie główne kategorie: Kadry Przyszłości oraz Pionier Zmian.**

W każdej z nich nagrodzone zostaną inicjatywy realizowane zarówno przez mikro i małe firmy, jak i przez średnich oraz dużych przedsiębiorców. Zgłaszane działania w ramach pierwszej z wymienionych kategorii powinny koncentrować się na wspieraniu rozwoju kompetencji i kwalifikacji osób w różnym wieku i na różnych etapach kariery zawodowej. Z kolei Pionier Zmian ma dotyczyć działań, które przyczyniają się do pozytywnych zmian społecznych, środowiskowych lub organizacyjnych. Mogą one obejmować takie obszary jak ograniczanie negatywnego wpływu działalności firmy na środowisko czy integrację i aktywizację społeczności

lokalnych. Ważne, aby podejmowane działania miały realne, korzystne oddziaływanie na otoczenie i wspierały rozwój społecznej odpowiedzialności biznesu.

Zgarnij nagrody!

Kapituła Konkursu przyzna cztery nagrody główne. Dodatkowo Kapituły Sektorowe mogą zdecydować o przyznaniu nagród sektorowych oraz wyróżnień sektorowych.

Laureaci konkursu otrzymają prawo do nieograniczonego czasowo posługiwania się tytułem Pracodawca Jutra 2025 lub odpowiednio Pracodawca Jutra 2025 w sektorze. Zwycięzcy będą mogli również wykorzystywać logotyp konkursu w materiałach wizerunkowych. Każdy z nagrodzonych zyska możliwość promowania swojej inicjatywy w działaniach komunikacyjnych i promocyjnych realizowanych przez organizatora.

Zgłoszenia konkursowe należy przysyłać wyłącznie drogą elektroniczną za pośrednictwem formularza zgłoszenia znajdującego się na stronie internetowej do 30 czerwca 2025 r.

Zwycięzców konkursu poznamy podczas gali finałowej w październiku 2025 r.

Szczegółowe informacje, a także formularz do zgłoszeń konkursowych dostępne są na stronie PARP:

www.parp.gov.pl/pracodawca-jutra

Fundusze Europejskie

dla Rozwoju Społecznego



Narracja o wadach narodowych to narzędzie kolonialnej dominacji

- Wulgaryzacja języka publicznego przestała być postrzegana jako naganna.
- Przemoc językowa nie tylko niszczy kulturę debaty publicznej, ale także odbiera ludziom godność, co w skrajnych przypadkach może prowadzić do usprawiedliwiania przemocy fizycznej.
- Zjawisko nierównego traktowania agresji językowej – tolerowanej u jednych, a karanej u innych – rodzi poczucie niesprawiedliwości i podważa zaufanie do porządku społecznego.
- Polska była zarówno kolonizatorem na wschodzie, jak i ofiarą kolonializmu ze strony mocarstw zaborczych i Związku Radzieckiego.
- Swoisty rasizm w postaci ojkofopii, czyli niechęci do własnej społeczności, jest w mediach w Polsce, niestety, wciąż bardzo powszechny. Moim zdaniem to kompromitujące zarówno intelektualnie, jak i moralnie.

Z prof. **Markiem Kochanem** rozmawia Kamil Broszko.

Kamil Broszko: Czy nasz język jest coraz silniej nasycony przemocą?

Marek Kochan: Można powiedzieć, że język bywa coraz częściej używany w sposób nieżyczliwy.

KB: Czy ta tendencja dotyczy mediów społecznościowych, czy rozciąga się także na inne dziedziny życia, na codzienną komunikację twarzą w twarz?

MK: Media społecznościowe odgrywają kluczową rolę w tym zjawisku, ale nie można go ograniczyć wyłącznie do nich. Wydaje mi się, że pandemia COVID-19 miała na to duży wpływ. Był to czas ogromnej presji psychicznej, kiedy ludzie zostali zamknięci w domach, pozbawieni swobody funkcjonowania w przestrzeniach publicznych, co prowadziło do kumulacji agresji.

To zjawisko nie występuje tylko w Polsce – dotknęło wszystkie kraje, które w dużym stopniu doświadczyły pandemii. W efekcie tego nagromadzenia emocji standardy komunikacji publicznej uległy obniżeniu. Dawniej uważano za niestosowne publiczne okazywanie emocji, agresji. W czasie pandemii ta granica została przekroczona przez duże grupy ludzi, co doprowadziło do akceptacji takiego zachowania przez znaczną część społeczeństwa.



© ARCHIWUM MK

Marek Kochan – językoznawca, medioznawca, dr hab., prof. Uniwersytetu SWPS. Naukowo zajmuje się językiem komunikacji publicznej, wizerunkiem osób i instytucji, komunikacją kryzysową, językiem biznesu, przemocą językową, perswazją, retoryką i erystyką, narracjami, prowadzeniem debat, postkolonialnymi aspektami dyskursu publicznego i etyką komunikacji. Od ponad 30 lat zajmuje się doradztwem oraz szkoleniami z zakresu komunikacji (w tym komunikacji kryzysowej) i autoprezentacji dla przedsiębiorców, menedżerów, prezesów oraz członków zarządów największych firm i instytucji. Doradza w dziedzinie komunikacji firmom wchodzącym na giełdę, pracował przy ponad 75 IPO. Autor prozy, m.in. „Placu zabaw”, „Fakira z Ipi”, zbioru opowiadań sufickich „Turban mistrza Mansura”, a także 19 dramatów, prezentowanych i nagradzanych w Polsce i za granicą, realizowanych jako spektakle Teatru Telewizji i Teatru Polskiego Radia (10 słuchowisk). Na Uniwersytecie SWPS prowadzi zajęcia z retoryki i erystyki, kreowania wizerunku osób i instytucji, językowego wymiaru wizerunku, analizy wizerunku w mediach, komunikacji kryzysowej oraz narracji.

KB: W jaki sposób przejawia się ta zmiana?

MK: Przede wszystkim można zaobserwować większą obecność wulgaryzmów w przestrzeni publicznej. Co więcej, pojawiły się głosy usprawiedliwiające takie zachowania. Niektórzy, w tym ludzie ze środowiska akademickiego, argumentowali, że mają prawo do używania takiego języka. Nawet profesorowie językoznawstwa – na szczęście tylko niektórzy – zaczęli publicznie deklarować, że nie czują się zobowiązani do zachowania norm kultury języka, i manifestowali to, publicznie przeklinając. Dla mnie to było zjawisko szokujące – ci, którzy powinni stać na straży tych wartości, po prostu z nich zrezygnowali.

Ten proces doprowadził do legitymizacji używania wulgarnego języka w różnych kontekstach: na ulicach, w sklepach, na stacjach benzynowych, a także w mediach i parlamencie. Wcześniej użytkownicy języka też czasem tak robili, ale mieli poczucie, że przekraczają pewne granice i że ich zachowanie jest naganne. Dziś natomiast agresywna retoryka staje się negatywną normą.

KB: Czy możliwe jest zmierzenie wzrostu agresji językowej?

MK: W latach 2019 i 2024 przeprowadziłem badania, analizując zjawisko tzw. hejtu w Internecie. Wyniki były paradoksalne: odsetek osób deklarujących, że spotkały się z hejtem, spadł o 7 proc. Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że przemoc językowa maleje. Jednak interpretacja tych danych jest moim zdaniem inna: to raczej nasza wrażliwość na przemoc językową uległa stępieniu. To, co kiedyś uznawano za hejt, dziś jest akceptowane jako norma. Dopiero najbardziej skrajne przypadki przemocy językowej kwalifikują się do tej kategorii.

W raporcie z tych badań¹ postawiłem tezę, że doszło do normalizacji hejtu. Praktyki wcześniej uważane za naganne stały się akceptowalne. Jest to proces bardzo niepokojący, ponieważ obniżenie standardów języka publicznego obniża komfort życia wszystkich i wpływa destrukcyjnie na sposób, w jaki prowadzimy debaty i rozwiązujemy konflikty.

KB: Pozwoli pan, że zadam pytanie o fundamentalnym, filozoficznym, ale i praktycznym charakterze: czy język konstruuje świat? Innymi słowy, w nawiązaniu do naszego wątku: czy nasza rzeczywistość wypełni się większą ilością przemocy będącej konsekwencją coraz bardziej agresywnego języka?

MK: Nie ma tu jednoznacznej odpowiedzi. Można to interpretować dwojako. Po pierwsze, zgodnie z pana sugestią: im więcej przemocy językowej, tym większe ryzyko przemocy fizycznej. Istnieje bowiem poważne zagrożenie, że procesy eskalowania agresji zaczynają się od słów, by później przerodzić się w działania. Takie mechanizmy występowały w językach totalitarnych. Przykładem mogą być niemieckie obozy koncentracyjne, w których wyzwi-

ska stanowiły pierwszy krok w odbieraniu ludziom godności, co torowało drogę do przemocy fizycznej i eksterminacji. Podobny mechanizm występuje w subkulturach więziennych, gdzie używanie obelg obniża status ofiary, odbiera jej człowieczeństwo, traktowanie na równych prawach i w ten sposób usprawiedliwia agresję wobec niej.

Druga interpretacja jest taka, że przemocowy język może w pewnym sensie kanalizować agresję – pozwala ludziom rozładować napięcie. To jednak również budzi wątpliwości, zwłaszcza w kontekście społecznego dyskomfortu, który taki język wywołuje u innych.

Proszę zauważyć, że w polskim systemie prawnym znieważenie fizyczne i werbalne są traktowane równorzędnie. Zarówno uderzenie kogoś, jak i obelga podlegają takim samym sankcjom. To dowodzi, że przemoc językowa ma realne konsekwencje. Dla niektórych osób słowa mogą być bardziej bolesne niż ciosy. Siniaki znikają, ale stygmatyzacja językowa pozostaje na długo, jeśli nie na zawsze. Z tego powodu zjawisko przemocy językowej, a przede wszystkim aprobaty dla niej, obserwuję z wielkim niepokojem.

Przemoc językowa nie jest zjawiskiem nowym. W Polsce zetknęliśmy się z nią nie tylko w kontekście języków totalitarnych – niemieckiego nazistowskiego czy rosyjskiego sowieckiego – ale także w okresie propagandy komunistycznej. Wyrazistym przykładem stosowania tej retoryki była antysemicka kampania z 1968 r., podczas której osoby na najwyższych stanowiskach publicznie wyzywały obywateli. Pamiętam słynne przemówienie Władysława Gomułki, pełne obelg skierowanych pod adresem Janusza Szpotańskiego, autora opery „Cisi i gęgacze”.

Różnica polega na tym, że do niedawna takie zachowania były uważane za naganne. Tych, którzy łamali normy językowe, spotykało publiczne napiętnowanie. Dziś natomiast obserwujemy akceptację takich praktyk przez część społeczeństwa. Co więcej, przemoc językowa bywa usprawiedliwiana, jeśli służy tzw. słusznej sprawie, czyli kierowana jest przeciw tym, których ktoś nie lubi.

Szczególnie niepokojące, że reguły potępienia agresywnego języka nie są stosowane równo wobec wszystkich uczestników debaty, choć taki język występuje powszechnie, na przykład wśród polityków niemal wszystkich partii. Widać czasem wyraźne przyzwolenie na przemoc językową dla określonych grup czy osób, podczas gdy inne za podobne zachowania zostają napiętnowane. Przykładem może być sprawa Jerzego Owsiaka, który używał wulgaryzmów ze sceny, a więc w publicznej sytuacji, ale sąd potraktował to zachowanie łagodnie; uznał, że mieści się to w granicach „swobody wypowiedzi artystycznej”. Owsiak, będący działaczem społecznym, a nie artystą, używał słów niecenzuralnych, które nie miały nic wspólnego z twórczością. Podobnym przykładem jest aktorka Barbara Kurdej-Szatan, która w swoim wpisie znieważała funkcjonariuszy Straży Granicznej wykonujących swoje obowiązki, lecz została uniewinniona. Jestem pewien, że gdyby ktoś użył wobec wydających te wyroki sędziów takich słów, jak Jerzy Owsiak lub Barbara Kurdej-Szatan, zostałby surowo ukarany.

¹ https://www.researchgate.net/publication/363947022_Legitymizacja_wulgarnosci_w_mediach_w_okresie_pandemii_Marek_Kochan

Nierówne traktowanie tego rodzaju zachowań, karanie jednych i uniewinnianie innych, prowadzi do narastającego poczucia niesprawiedliwości. Ludzie odrzucają porządek społeczny, w którym nie traktuje się wszystkich występków równo, nie mierzy ich tą samą miarą. To bardzo niebezpieczne zjawisko.

KB: Niektórzy wyrażają pogląd, że Polska jest krajem bardzo podzielonym – politycznie, ideologicznie, światopoglądowo. Czy pogłębianie się tych różnic wiąże się z brutalizacją języka?

MK: Rzeczywiście, różnice światopoglądowe bywają pogłębiane przez agresywny język, jednak dostrzegam tu pewien paradoks. Polska, w przeciwieństwie do wielu innych krajów, nigdy nie doświadczyła wewnętrznego konfliktu o skali prowadzącej do masowej eksterminacji.

W innych państwach traumatyczne wydarzenia, takie jak wojny religijne w Europie czy wojna secesyjna w Stanach Zjednoczonych, nauczyły społeczeństwa, że konflikty trzeba kanalizować i rozwiązywać w mniej brutalny sposób, wyłączać pewne sfery z politycznych sporów. W Polsce, choć były konflikty, nigdy nie miały one charakteru wewnętrznej wojny na taką skalę. Wręcz przeciwnie – byliśmy państwem znanym z tolerancji. A wojna domowa w latach 40. ubiegłego stulecia była jednak wojną z okupantem i jego lokalnymi pomocnikami, w opór i represje była zaangażowana tylko część społeczeństwa. Podobnie późniejsze konflikty w czasie PRL – miały mimo wszystko łagodny charakter, nawet jeśli chwilami dochodziło do walk i przemocy, jak w 1956 r. czy w 1970 r. Jednak ich skala była nieporównywalna na przykład do wojny trzydziestoletniej czy wojny secesyjnej, gdzie w jednej tylko bitwie pod Gettysburgiem zginęło i zostało rannych blisko 50 tys. ludzi.

W Polsce zabory, wojny i sowiecka okupacja wygaszały konflikty wewnętrzne, jednocyliśmy się przeciw zewnętrznym wrogom. To, co dziś obserwujemy, to w dużej mierze wyartykułowanie naturalnych, a częściowo uśpionych wcześniej różnic: klasowych, światopoglądowych, tożsamościowych. Problem polega na tym, w jaki sposób i jakim językiem są one wyrażane. Niszczenie kultury debaty publicznej jest zjawiskiem bardzo niepokojącym. Różnice są naturalne, ale ich ujawnianie powinno odbywać się w sposób, który nie rujnuje przestrzeni wspólnej. Możemy się przecież różnić pięknie.

KB: Jak budować program naprawy języka w użyciu, skoro sam pan wspominał, że nawet językoznawcy zawodzą?

MK: Niektórzy – to ważne; chcę podkreślić, że moje uwagi nie mają charakteru generalizującego. Jest wielu językoznawców, którzy otwarcie krytykują niewłaściwe praktyki językowe. Niemniej jednak w trudnych momentach, takich jak protesty przeciwko orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego, wielu z nich nie miało odwagi, by zabrać głos.

Jednym z nielicznych poważanych językoznawców, którzy publicznie wyrazili swoje zdanie, krytyczne wobec wulgaryzacji języka publicznego, był prof. Jerzy Bralczyk. Powiedział wówczas, że choć może zgadzać się z niektórymi postulatami protestujących, uważa, że ich język nie musi być wulgarny. Jego głos był wtedy osamotniony. Pisałem o tym w artykule, którego tematem była legitymizacja wulgarności w mediach w okresie pandemii².

KB: I pewnie też za to jest dziś przez wielu ludzi określany mianem „dziadersa” i innymi, mało pochlebnymi epitetami.

MK: To prawda, płaci za swoje opinie pewną cenę, ale uważam, że miał rację. Rola autorytetu polega na tym, by nie poddawać się presji opinii publicznej i mówić to, co naprawdę się myśli, nawet jeśli nie wszystkim się to spodoba. Prof. Bralczyk okazał się wierny swoim przekonaniom, niezależnie od presji społecznej. To cecha prawdziwego autorytetu: odwaga wyrażania własnego zdania, nawet jeśli oznacza to pójście pod prąd i narażenie się na krytykę. Myślę zresztą, że wyraził opinię wielu osób, oburzonych skalą wulgaryzacji języka publicznego. Mamy prawo wyrażać swoje zdanie, protestować, ale nie musi się to objawiać w radykalnej językowo formie.

KB: Prof. Bralczyk jest słyszany, ale to wciąż za mało. Ma pan profesor jakiś pomysł na taką

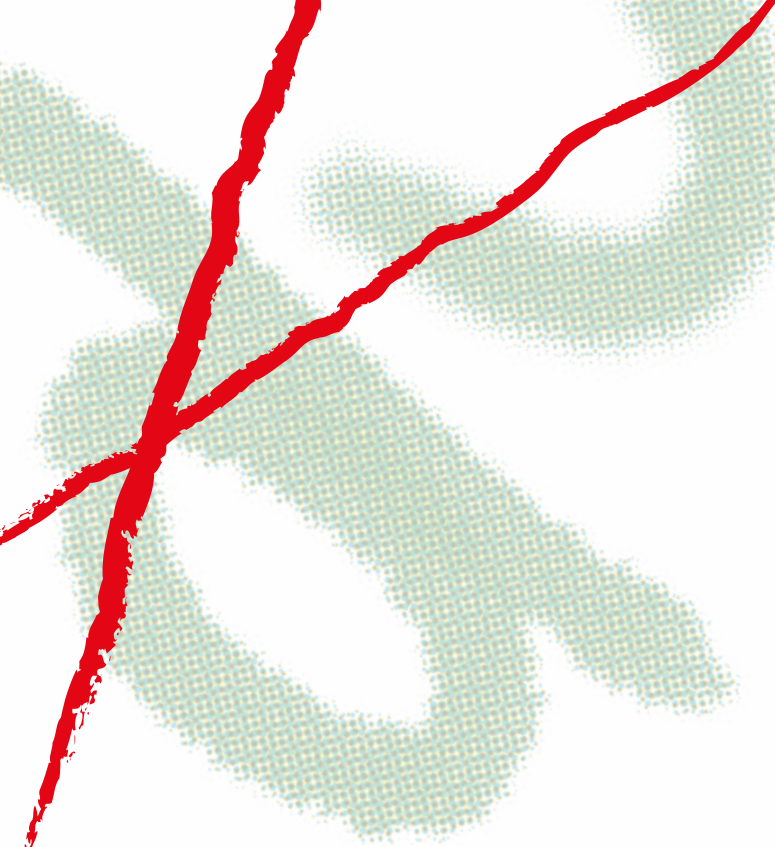
ogólnonarodową „pedagogikę języka”?

MK: Przede wszystkim potrzebujemy działań dwutorowych. Z jednej strony należy piętnować niepożądane zachowania językowe i traktować poważnie oskarżenia o naruszanie zasad kultury języka. Z drugiej – kluczowe jest promowanie dobrych praktyk.

Ludzi, którzy dbają o język, trzeba nagradzać i chwalić. Powinniśmy zachęcać do pięknego, barwnego wystawiania się, organizując na przykład konkursy krasomówcze. Tymczasem obecnie częściej piętnuje się błędy – organizuje dyktanda, które utrwalają przekonanie, że poprawna polszczyzna to jedynie brak pomyłek gramatycznych. A przecież język to coś więcej – to piękno opowieści, możliwość wyrażania emocji i myśli w sposób wyrafinowany.

² https://www.researchgate.net/publication/379022251_Krytyczny_autostereotyp_Polakow_w_memach_o_nosaczu_sundajskim

Niemcy czy Francuzi
nigdy nie pozwoliliby,
by ich rynek medialny
został zdominowany
przez zagraniczne
korporacje.



To ważne, bo wulgaryzacja języka wpływa negatywnie na nasz dobrostan. Żyjemy w świecie, w którym wulgaryzmy obecne są na przystankach, w tramwajach czy na ulicy. To nas przytłacza, otępia, a w konsekwencji – powoduje silny, nie zawsze uświadomiony stres. Użycie wulgaryzmów przez niektóre osoby, wyrażające publicznie swoje emocje, może sprawić, że wszyscy będziemy żyli krócej.

KB: Nasz system prawny przewiduje sankcje za stosowanie złego języka.

MK: Tak, za użycie niecenzuralnych słów w przestrzeni publicznej grozi kara grzywny do 1,4 tys. złotych. Jest jednak problem z egzekwowaniem przepisów. Społeczeństwo musi zrozumieć, że życie w świecie wulgaryzmów jest po prostu nieprzyjemne. Jeśli wyborcy zaczęliby karać polityków za wulgarny język, nie głosując na nich, problem szybko by zniknął. Niestety, wiele osób wytyka agresję językową „innym”, a akceptuje ją, jeśli pochodzi od „swoich” i kierowana jest wobec tych „innych”. To błędne koło, które musimy przerwać.

Oto co Słowacki wyraził piękną strofą z „Beniowskiego”: „Chodzi mi o to, by język giętki wyraził wszystko, co pomyśli głowa, a czasem był jako piorun szybki, prędko, a czasem smutny jako pieśń stepowa”.

Kolejnym krokiem powinno być tworzenie przestrzeni, które staną się strefami kultury języka. Na przykład na wyższych uczelniach, które powinny być miejscami wolnymi od przemocy językowej i wulgaryzmów. Zauważyłem, że czasem studenci – w rozmowach prywatnych, na przykład na korytarzu – używają wulgaryzmów, co uważam za niegodne zarówno ich, jak i pracowników naukowych.

Takie strefy mogłyby funkcjonować jako kluby czy miejsca, w których obowiązywałyby wyższe standardy językowe. Powinno być jasne, że osoby łamiące te zasady nie są tam mile widziane, podobnie jak nietrzeźwi w miejscach publicznych. Ja sam nie znajduję przyjemności w słuchaniu wulgaryzmów, których czasem zmuszony jestem słuchać w miejscach publicznych, szczególnie w restauracji, kawiarni czy w tramwaju.

KB: Czy takie działania miałyby szansę wpłynąć na szeroką opinię publiczną?

MK: To wymagałoby masowej promocji reguł i wzorców zachowań językowych. Możemy skorzystać z dorobku wybitnych polskich językoznawców, choćby zmarłej niedawno prof. Jadwigi Puzyniny, która była prekursorką aksjolingwistyki, dziedziny zajmującej się kształtowaniem norm językowych. Warto odwołać się do prac Zenona Klemensiewicza, który w 1965 r. napisał esej „Higiena językowego obcowania”. Porównał w nim dbałość o język do higieny osobistej – tak jak myjemy ręce, by unikać chorób, powinniśmy dbać o czystość języka, powstrzymując się od agresji i wulgarności.

KB: Zajmuje się pan profesor narracjami postkolonialnymi w języku. W świecie anglosaskim takich badań robi się sporo, ale są one naznaczone perspektywą krytyczną i czynione z pozycji kolonizatora. W Polsce badania w tym nurcie powinny być chyba prowadzone z perspektywy kolonizowanego?

MK: To niezwykle interesujące zagadnienie. Polska zajmuje wyjątkowe miejsce w literaturze postkolonialnej, o czym pisała między innymi Clare Cavanagh w swoim esej „Postkolonialna Polska”. Nasz kraj ma specyficzną historię: w dawnych wiekach był kolonizatorem na wschodzie, na terenach dzisiejszej Ukrainy i Białorusi, natomiast w nowożytności sam doświadczył utraty niepodległości, rozbiorów i obcej dominacji.

Ta podwójna perspektywa – zarówno kolonizatora, jak i kolonizowanego – jest unikalna. Możemy to dostrzec na przykład w twórczości Josepha Conrada. W „Jądrze ciemności” jest scena, w której narrator, biały mężczyzna, patrzy z empatią na cierpienie zniewolonych Afrykanów. Conrad, pochodzący z Polski, kraju naznaczonego doświadczeniem utraty suwerenności, wnosi do światowej literatury tę specyficzną wrażliwość.

Oczywiście nasza historia silnie rezonuje z doświadczeniem bycia skolonizowanym. Dlatego polska perspektywa w badaniach postkolonialnych różni się od zachodniej. Co więcej, w zachodniej teorii kolonializmu często pomija się fakt, że Rosja także była kolonizatorem. Zwykle utożsamiano kolonializm z potęgami zamorskimi, jak Anglia czy Francja, podczas gdy mało mówi się o tym, że Rosja kolonizowała ogromne obszary Europy Wschodniej i Azji.

KB: Czy pana interpretacja jest powszechna w krajowych badaniach postkolonialnych, czy raczej dostrzega

pan wśród innych badaczy naśladownictwo zachodnich wzorców?

MK: W części badań można zauważyć kopiowanie anglosaskiej perspektywy, co nie zawsze pasuje do naszej specyfiki geopolitycznej. Co ciekawe, w ukraińskich i białoruskich badaniach postkolonialnych Polska zwykle nie jest postrzegana jako kolonizator. Wręcz przeciwnie – związki z Polską często legitymizują ich aspiracje dołączenia do zachodniego świata.

Dla badaczy z Ukrainy i Białorusi głównym kolonizatorem jest Rosja, podczas gdy przynależność do Rzeczypospolitej jawi się jako symbol kulturowej i cywilizacyjnej przynależności do Europy. Tymczasem w Polsce część badaczy przyjmuje narracje krytyczne wobec własnej historii, co w mojej ocenie jest jałowym kopiowaniem zachodnich wzorców. Owszem, możemy się biczować za kolonie na Madagaskarze, których nigdy nie mieliśmy, ale co to wnosi do rozumienia polskiej współczesności?

KB: Owe narracje autokrytyczne miałyby być naszym postkolonialnym dziedzictwem?

MK: Nasza tożsamość zbiorowa wciąż jest naznaczona wpływem kolonizatorów. Ponieważ jednak sowiecka Rosja stała niżej cywilizacyjnie i kulturowo, pojawił się tzw. hege-mon zastępczy, czyli zgeneralizowany, idealizowany „Zachód”. Po 1989 r. odzyskailiśmy formalną wolność, ale mentalność wielu osób nadal odzwierciedla kolonialne schematy. Widać to w dominacji elit, które ukształtowała sowiecka rzeczywistość. Ludzie ci narzucili części społeczeństwa pogardliwy obraz własnej wspólnoty, przekonanie, że jesteśmy gorsi od mitycznego Zachodu i powinniśmy bezrefleksyjnie go naśladować.

Szczególnie w ostatniej dekadzie zaczynamy jednak odrzucać tę negatywną narrację. Dostrzegamy, że Polska w wielu aspektach radzi sobie lepiej niż wiele krajów zachodnich. Wojna na Ukrainie była przełomem – pokazała, że to Polska miała rację, widząc w Rosji zagrożenie, podczas gdy zachodnie elity zbyt długo ignorowały imperialne ambicje Kremla, pozwalając Rosji zbliżyć się do agresji na Ukrainę.

KB: A co powoduje odrzucanie negatywnych narracji? Jakież obiektywne sukcesy Polski?

MK: Oczywiście. Polska gospodarka rozwija się dynamicznie, a w kwestii migracji mamy tradycje, które warto podkreślać. Pierwsza Rzeczpospolita była przykładem dość harmonijnego współistnienia wielu grup etnicznych – Tatarzy, Żydzi, Romowie i inne grupy znajdowały tu swoje miejsce, nawet jeśli w pewnych momentach

dochodziło do konfliktów. Szesnastowieczna Rzeczpospolita Obojga Narodów mogłaby być inspiracją dla Unii Europejskiej, wzorem partnerstwa i harmonijnego współżycia różnych narodów. Tymczasem Zachód nie poradził sobie z asymilacją imigrantów, co widzimy choćby na przykładzie Francji, Niemiec czy Belgii.

Widać więc, że nie jesteśmy „gorsi”, przeciwnie – mamy powody do dumy. Mimo to wciąż funkcjonują negatywne stereotypy, których emanacją jest na przykład postać nosacza sundajskiego, symbolizującego rzekomo typowego, przasnego Polaka. Te memy również utrwalają postkolonialne schematy. Badałem tę sprawę szczegółowo³.

W dużej mierze to kwestia kompleksów i niepewności niektórych naszych rodaków. Osoby, które same z jakichś powodów czują się gorsze, często przenoszą własne poczucie niższości na zbiorowość, żeby samemu poczuć się lepiej. Z kolei przedstawiciele elit społecznych powiązani z komunistycznym reżimem często mają interes w kreowaniu negatywnego obrazu Polski i Polaków – wówczas ich własne moralne kompromisy stają się mniej widoczne.

Polacy, którzy odnieśli sukces, jak Ignacy Jan Paderewski, udowodniali, że można odnosić wielkie sukcesy w świecie, być świadomym swojej wartości i jednocześnie lojalnym wobec własnej wspólnoty, być dumnym z bycia Polakiem. Takie podejście warto propagować, odrzucając destrukcyjne narracje.

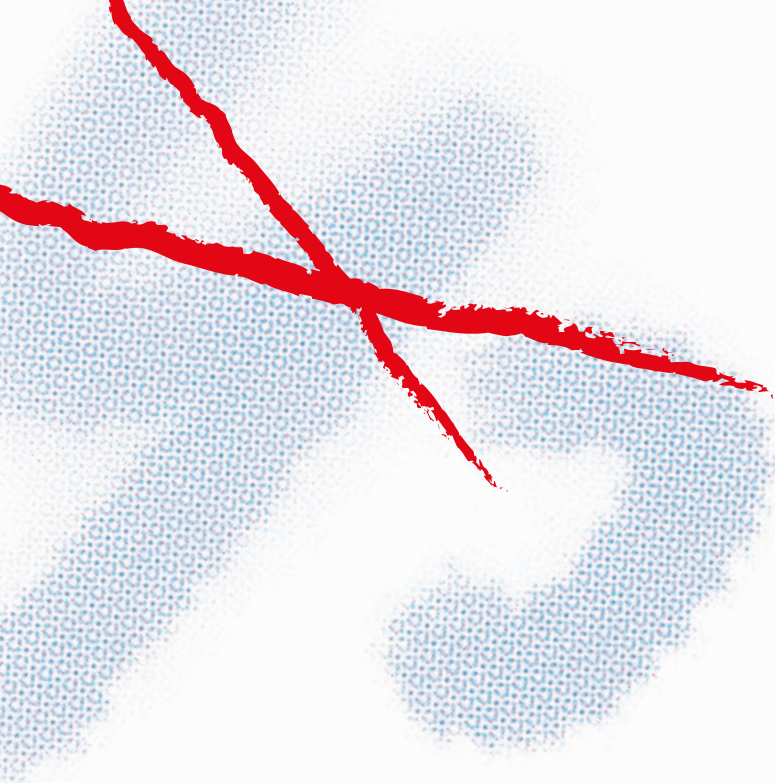
KB: Czy w takim razie możemy w ogóle mówić o istnieniu wad narodowych? Czy istnieją przywary społeczeństw albo grup etnicznych?

MK: A zna pan jakieś typowe wady Amerykanów? A może Francuzów? Niech pan zapyta Francuza o ich przywary narodowe. Albo Japończyka. Nie sądzę, by ktoś normalny skupiał się na negatywnych cechach własnej zbiorowości i uważał je za kluczowe dla wspólnoty. Silne narody nie postrzegają swoich zbiorowości przez pryzmat cech negatywnych. Budują kolektywną tożsamość na tym, co dobre i co może być powodem do dumy.

Wady to zachowania jednostkowe, a przypisywanie ich bez uzasadnienia całym grupom to na ogół nic innego jak rasizm. A gdy te grupy same sobie wady przypisują, trzeba się zastanowić nad przyczynami takiego stanu rzeczy. Nawet te nacje, które naprawdę mają coś poważnego na sumieniu, unikają przypisywania sobie zbiorowych win. Na przykład Belgowie, którzy pod wodzą króla

Przypisanie całemu
narodowi przede
wszystkim wad
to relik z okresu
braku niepodległości,
konstrukcja kolonialna
i postkolonialna.

³ https://www.researchgate.net/publication/357661913_Obraz_Polakow_w_publicacjach_portali_internetowychThe_image_of_Poles_in_the_publications_of_internet_portals



Leopolda wzbogacili się na eksploatacji Konga i wymordowali 10 mln Kongijczyków, połowę populacji tego kraju (o czym można przeczytać w znakomitej książce Adama Hochschilda „Duch króla Leopolda”), nie uważają się za naród złodziei, rabusiów czy morderców, pewnie raczej myślą o sobie jako o dobrych Europejczykach. Nawet Niemcy, którzy nie tak dawno masowo poparli Hitlera, wojnę i eksterminację wielu milionów ludzi, nie myślą, że są narodem morderców, choć przecież mieliby powody. Gdyby ich zapytać, może powiedzieliby, że jako Niemcy są gospodarni, solidni, uczciwi. Aby chronić obraz wspólnoty, wymyślili sobie mitycznych, pozbawionych narodowości „nazistów”, którzy rozpętali wojnę i masowo mordowali inne narody. A kim są owi „naziści”? Może to „polscy naziści”, jak powiedziała obecna minister edukacji, której nazwisko przemilczę. Gdyby coś równie niemądrego powiedział minister edukacji w Izraelu czy we Francji, tego samego dnia straciłby stanowisko. A u nas tak się nie stało. Uznano, że to lapsus językowy, i pani minister zachowała stanowisko. To zdarzenie pokazało skalę demoralizacji ludzi, którzy czasem sprawują funkcje publiczne w Polsce.

My, Polacy, w trudnych okolicznościach, w chwilach próby, pod presją jako naród w przeważającej większości zachowywaliśmy się właściwie, a teraz mamy sobie przypisywać jakieś „wady narodowe”? To nieporozumienie.

Czy powinniśmy mówić o wadach Afrykanów albo o wadach innych grup etnicznych? To niemądre. Takie myślenie jest rasistowskie. To, co możemy i powinniśmy oceniać, to zachowania poszczególnych osób. Silne grupy etniczne budują swoją tożsamość wokół pozytywnych cech. Dyskurs o wadach narodowych jest moim zdaniem jednym z elementów postkolonialnej narracji. To właśnie opisał Edward Said w swojej sławnej książce „Orientalizm.”

W okresie upadku Rzeczypospolitej krytycy analizujący jego przyczyny starali się wskazać pewne negatywne zachowania zbiorowe, które mogłyby za to odpowiadać. W tamtym czasie piętnowano jednak konkretne zachowania, które rzeczywiście

były dysfunkcyjne. Ale nikt nie mówił, że wszyscy Polacy są tacy, że cała zbiorowość ma wyłącznie lub przede wszystkim negatywne cechy. Obok zachowań negatywnych wskazywano też pozytywne, bilansowano obraz zbiorowości. Przypisanie całemu narodowi przede wszystkim wad to relik z okresu braku niepodległości, konstrukcja kolonialna i postkolonialna.

KB: Może pan to rozwinąć?

MK: Kolonizatorzy zdobywają i utrzymują władzę nie tylko środkami militarnymi. Muszą również zapanować nad świadomością podbitych narodów. Weźmy na przykład Brytyjczyków w krajach arabskich czy Francuzów w ich koloniach w północnej Afryce. Ich siła militarna była niewystarczająca, aby utrzymać kolonie – mieli zbyt mało żołnierzy, by stale zapanować na rozległych terytoriach i licznymi mieszkańcami podbitych krajów. Kluczowe było przekonanie podbitych ludów, że są gorsze, mniej inteligentne, a podporządkowanie się kolonizatorom to dla nich najlepsze wyjście. Aby podbici myśleli: „Lepiej żeby ktoś nami rządził, bo nie umiemy rządzić się sami”. Takie narracje rzeczywiście zaczęły być przyjmowane, a co gorsza, utrzymywały się również po odzyskaniu niepodległości. To właśnie teoria postkolonialna wyjaśnia, jak wmówiono Polakom, że są gorsi, głupszy, kłótlivi. To był sposób zaborców, głównie Rosjan, na utrzymanie władzy. Tymczasem jako Polacy jesteśmy geniuszami samoorganizacji, czego przykładem jest największa armia podziemna w Europie podczas II wojny światowej, licząca 350 tys. ludzi, czy dziesięciomilionowa Solidarność, budowana oddolnie, poza strukturami państwa. Ta zdolność zagrażała okupantom, więc starali się wmówić nam, że jej nie posiadamy.

Jeśli ludzie są przekonani o swojej niższości, mniej boli ich fakt, że ktoś nimi rządzi. Zaś naród dumny ze swojej historii i tradycji bardziej się buntuje, odrzuca władzę kolonizatora. Dlatego właśnie mówienie o „wadach narodowych” jest narzędziem dominacji. Silne narody robią o sobie takie filmy jak „Rydwany ognia”, a nie takie jak „Pokłosie”, zafałszowane na poziomie realiów i konkluzji.

KB: Panie profesorze, ale co z kulturą? Co z literaturą powojenną, ale też przedwojenną? Co z wadzeniem się z polskością?

MK: Po 1945 r., jeśli dotyczyło to twórców mieszkających w Polsce, publikujących w oficjalnym obiegu, trudno odbierać wadzenie się z polskością inaczej niż jako formę służalczości wobec komunistów i Związku Sowieckiego. To wpisywało się w komunistyczną propagandę, służyło uzasadnianiu kolonialnej zależności od sowieckiej Rosji. Oczywiście niektórzy z krytykujących mogli mieć pewne ambicje i talent, ale działali w określonych warunkach społecznych.

Wcześniej, w wiekach potęgi Rzeczypospolitej, obecna w kulturze analiza stereotypów narodowych zakładała równowagę – wskazywano zarówno cechy i zachowania pozytywne, jak i ne-

gatywne, przy czym te pierwsze dominowały. Potem te proporcje stopniowo ulegały zmianie, po zaborach krytyka dominowała już nad afirmacją. Obecnie jednak, paradoksalnie w okresie prosperity, imponującego wzrostu gospodarczego ostatnich dekad, dominują dyskursy postkolonialne, narzucające narrację przede wszystkim czy niemal wyłącznie negatywną. W czasach PRL, gdyby ktoś pisał, że Polacy mają piękne cechy jako naród, a Rosjanie to barbarzyńcy i okupanci, nie mógłby publikować ani robić kariery naukowej. Pewnie skończyłby w więzieniu.

Niestety, podobny mechanizm działa także po 1989 r. Gdy ktoś podkreśla narodową dumę czy chce celebrować osiągnięcia, spotyka się często z krytyką czy nawet ostracyzmem, zaś wskazywanie rzekomych wad narodowych czy publiczne szydzenie z cech zbiorowości przynosi granty, popularność i uznanie. Mówienie o heroizmie czy bohaterstwie jako zachowaniach ikonicznych dla zbiorowości często napotyka opór, choć powoli zaczyna się to zmieniać.

Spójrzmy na przykład muzeum w Markowej, poświęconego rodzinie Ulmów. Dlaczego przez pierwsze 25 lat transformacji nie powstało podobne miejsce? Dlaczego polski dyskurs był zdominowany przez narrację o „wadach narodowych”, a nie gloryfikowano setek tysięcy przykładów heroizmu? To właśnie jest efekt postkolonialnego myślenia. Wstyd ma dominować nad poczuciem dumy z przynależności do polskiej wspólnoty.

KB: Ocenia pan sytuację z pozycji katedr i dyskursu *stricte* intelektualnego. To nie jest dla każdego, nawet ludzie światli nie chcą wnikać aż tak głęboko w różne tematy.

MK: Ale czytają gazety, zaglądają na portale internetowe, prawda?

KB: Właśnie do tego chciałem nawiązać.

MK: Otóż w mediach często sączona jest antypolska propaganda. Buduje się wizerunek Polaków jako ludzi gorszych, mniej wartościowych, zachowujących się niewłaściwie. Weźmy choćby przykład doniesień o incydentach za granicą: „Polacy źle się zachowali”. Kto? Czterech rodaków, którzy dopuścili się jakiegoś niewłaściwego czynu. Czy ich zachowanie definiuje Polaków jako takich? Nie. To były działania jednostek, ludzi niekulturalnych, a nie zachowania wynikające z narodowości. W każdej zbiorowości trafiają się jednostki zachowujące się niewłaściwie, nie ma sensu robić z tego cechy całej zbiorowości.

Przeprowadziłem badania na temat języka używanego w mediach i jego roli w utrwalaniu negatywnego stereotypu Polaka. Kluczowym mechanizmem jest coś, co można nazwać „etniczającą patologią”. Nie mówi się o konkretnej osobie, powiedzmy panu X

z miejscowości Y, ale o Polaku jako przedstawicielu całej grupy narodowej. Polskość zostaje sprowadzona do kontekstu patologii.

W mediach, które przeanalizowałem, często widnieją tytuły w rodzaju: „Polacy nie wiedzą”, „Polacy popełniają błędy”, „Polacy się trują”, „Polacy źle się odżywiają”. Rzecz jasna, mowa tu o jakiejś części społeczeństwa, jednak to negatywne uogólnienie staje się dominującym przekazem. Czy w niemieckich mediach zdarzają się nagłówki typu „Niemcy nie myją zębów”? Nie sędzę. Tymczasem w analizowanych przeze mnie w innym badaniu publikacjach – choćby w tygodniku „Newsweek” – według tego schematu zatytułowano artykuł o rzekomym braku higieny Polaków. U nas takie tytuły są uważane za coś normalnego.

Nie brakuje też generalizujących tekstów o nadmiernym spożyciu alkoholu. W rzeczywistości jednak statystyki wskazywały, że większe spożycie na przykład piwa odnotowuje się w Niemczech, Austrii czy Czechach. A mimo to tematem artykułu był „polski alkoholizm”. Nadużywanie alkoholu to oczywiście problem społeczny, natomiast utożsamianie polskości z negatywnymi zjawiskami to osobna sprawa.

Przyjrzałem się publikacjom krajowych portali i prasy ukazującym się przez rok czasu, analizującym sposób, w jaki przedstawiana jest polskość. Wyniki były alarmujące. Krótko mówiąc: dawni zborcy i okupanci robią nam wodę z mózgu swoimi mediami o ogromnych zasięgach, gdzie tworzą negatywne wyobrażenie wspólnoty. Niemcy czy Francuzi nigdy nie pozwoliliby, by ich rynek medialny został zdominowany przez zagraniczne korporacje.

Przykłady? Niemiecki koncern jeszcze parę lat temu kontrolował około 80 proc. rynku gazet lokalnych w Polsce. Czy Polak mógłby mieć takie udziały w niemieckim rynku prasy? Nigdy. Niem-

cy, Francuzi czy inne kraje doskonale wiedzą, że media to władza. Tymczasem my pozwoliliśmy na to, by zagraniczne korporacje przejęły znaczną część polskiego rynku medialnego, kształtując tym samym nasz wizerunek i narzucając nam dyskurs wyszydzający i piętnujący Polskę i Polaków.

To jest nie tylko kwestia ekonomiczna, ale przede wszystkim społeczna. Kiedy negatywny obraz Polaków jest konsekwentnie promowany, rezultatem będzie społeczeństwo, które w siebie nie wierzy, które postrzega siebie jako gorsze, mniej kreatywne. I w imię tego zgodzi się na obcą dominację, wyzysk ekonomiczny, podporządkowanie instytucjonalne, rezygnację z egzekwowania własnych interesów. Będzie skłonne do kopiowania cudzych, niekoniecznie dobrych pomysłów czy rozwiązań zamiast rozwijania swoich innowacji. To poważny problem i forma współczesnego kolonializmu. Wystarczy popatrzeć, jakie stanowisko zajmowały

Dziwi mnie, że ludzie potrafią bezrefleksyjnie czytać artykuły, które ich obrażają albo zniechęcają do tego, co dla nich korzystne.

media, których właścicielem są Niemcy, wobec takich tematów jak na przykład budowa CPK, reparacje, udrożnienie żeglugi na Odrze albo rozbudowa portu w Świnoujściu. Zniechęcanie Polaków do tego, co dla Polski korzystne, jest w interesie właścicieli tych mediów. Bo „po co nam CPK, skoro mamy lotnisko w Berlinie”? Pytanie, jakich polityków lansują owe media, a jakich przedstawiają niemal wyłącznie w negatywnym świetle; kampania prezydencka jest tego dobrym przykładem. Dzięki masowym zasięgom media te wpływają na to, że wyborcy głosują na polityków, którzy w moim odczuciu nie kierują się interesem Polski, tylko Niemiec albo innych krajów. Zakłócają więc procesy demokratyczne w Polsce. To forma agresji, porównywalna z agresją militarną, choć mniej zauważalna.

KB: Redakcje koncernów medialnych generują setki artykułów dziennie. Chyba nie sugeruje pan, że na ich szczycie mamy medialnych demiurgów, którzy pilnują, aby każdy przekaz miał antypolski charakter?

MK: W mediach pracują ludzie reprodukcją postkolonialny, antypolski sposób myślenia. Według mnie są tak głęboko zdemoralizowani, że nawet sami nie wiedzą, jak bardzo. Ich działalność nie wynika wyłącznie z faktu, że dostają odgórne polecenia – oni tak po prostu myślą. Są produktem postkolonialnych elit, które od lat reprodukcją pewne schematy. Ludzie ci byli dobierani według określonych wzorców, dziedziczyli je, a potem wpasowywali się w istniejące struktury.

Gdyby zapytać redaktora lub redaktorkę, którzy piszą antypolski artykuł, odpowiedzieliby, że tak przecież jest, że to słuszne, dobre. Oni w to wierzą, bo tak właśnie zostali wychowani. Nie myślą kategoriami interesu narodowego, dobra własnej wspólnoty. Kształtował ich system, w którym zdobywali awanse, byli zatrudniani, powierzano im stanowiska. Ten mechanizm autore-

produkcji postkolonialnych elit wciąż działa w wielu instytucjach medialnych. Szefowie dobierają tam sobie podwładnych, którzy wpisują się w ich przekonania. Ktoś, kto chciałby pisać inaczej, najpewniej nie zrobiłby kariery – nie zostałby przyjęty, jego teksty zostałyby odrzucone, nie mógłby awansować.

Ten proces trwa od kilkudziesięciu lat, a jego skala jest ogromna. Duża część dzisiejszego pokolenia dorosłych przyswoiła te schematy z lektury mediów, które od lat dominują w przestrzeni publicznej. Są jednak tacy, coraz liczniejsi, którzy zaczynają to odrzucać, nie chcą tego więcej czytać. A jednak ktoś kupuje przykładowego „Newsweeka”, ktoś nadal pochłania te toksyczne treści. Mnie to szokuje. Dziwi mnie, że ludzie potrafią bezrefleksyjnie czytać artykuły, które ich obrażają albo zniechęcają do tego, co dla nich korzystne.

Przypomina mi się dokument o westernach, w którym pewien przedstawiciel rdzennych mieszkańców Ameryki wspominał, jak całe dzieciństwo oglądał filmy o białych kowbojach strzelających do „głupich, wyjących dzikusów”. Bawiło go to, aż pewnego dnia zrozumiał, że te „dzikusy” to jego przodkowie. Uświadomił sobie, że nie powinien się z tego śmiać, bo to on i jego lud są w tych filmach wyszydzeni, a prawda jest zupełnie inna. Jego przodkowie zostali bezwzględnie wymordowani, a ich ziemie zostały zagrabione. Westernowy wizerunek poniżający Indian służył uzasadnieniu eksterminacji i podboju.

Kolonizacja Ameryki, pozbawianie praw rdzennych mieszkańców i ich bezwzględna eksterminacja, a potem uzasadnienie tego w tekstach kultury to bardzo inspirujące doświadczenie. Kiedy współcześni potomkowie tych ludów oglądają westerny, zaczynają rozumieć, że te filmy nie opowiadają ich historii, tylko przedstawiają negatywną wizję, na którą nie powinni się godzić. Podobnie moim zdaniem powinni zareagować Polacy. Powinni odrzucić media, które narzucają im negatywny obraz siebie, sączony do mózgów codziennie jak trucizna, kropla po kropli.

Proszę otworzyć dowolny duży portal internetowy. Co tam znajdziemy? W bardzo wielu przypadkach negatywny przekaz na temat Polaków jako zbiorowości. Polacy jedzą za dużo czegoś, Polacy cierpią na coś, Polacy coś robią źle. Którzy Polacy? Wszyscy czy niektórzy? To, że jednostki czy nawet pewna część społeczeństwa może coś robić w określony sposób, nie znaczy, że wszyscy tak robią. W generalizacji zawsze tkwi problem. Zwłaszcza w negatywnej generalizacji.

Mówienie, że Polacy są jacyś, jest tak samo wartościowe po-znawczo, jak mówienie, że Afrykanie są jacyś. Tak, jakaś część Afrykanów popełnia błędy, ale nie chcemy przecież być rasistami i przypisywać całej grupie odpowiedzialności za patologiczne zachowania jednostek. A ten swoisty rasizm w postaci ojko-fobii, czyli niechęci do własnej społeczności, jest w mediach w Polsce, niestety, wciąż bardzo powszechny. Moim zdaniem to kompromitujące zarówno intelektualnie, jak i moralnie. Nie możemy tego dłużej tolerować. Zmiana jest konieczna.

Polska szkoła w kryzysie

Dlaczego reformy nie działają

- W krajach skandynawskich obowiązuje zasada „mniej znaczy lepiej”. Mniej rozbudowane podstawy programowe, mniej formalnego oceniania, a więcej skupienia na indywidualnym rozwoju ucznia.
- Barbara Nowacka próbuje nas cofnąć w wymiarze programowym do lat 70. i 80. XX w.
- Badania pokazują, że połowa osób, które rozpoczynają pracę w szkole, rezygnuje w ciągu pierwszych pięciu lat.
- Reforma w 2026 r. nie będzie ostatnią – za kilka lat kolejny minister ogłosi nową reformę, a nauczyciele znów będą musieli dostosowywać się do nowej sytuacji.
- „Stomatologizacja edukacji”, rosnące nierówności społeczne, problem funkcjonalnego analfabetyzmu – to wszystko skłania do pesymizmu.

Z prof. **Romanem Leppertem** rozmawia Anna Siedlińska.

Anna Siedlińska: Ostatni raport OECD jest dla Polski miazdzący. Aż 39 proc. dorosłych Polaków ma najniższy poziom biegłości czytania ze zrozumieniem (średnia dla krajów OECD to 26 proc.), 38 proc. ma najniższe kompetencje w obszarze liczenia (średnia OECD to 25 proc.), a w zakresie adaptacyjnego rozwiązywania problemów 48 proc. Polaków plasuje się w najniższym przedziale biegłości (średnia to 30 proc.). Wygląda na to, że polska szkoła nie działa. Jesteśmy krajem funkcjonalnych analfabetów?

Roman Leppert: Ten wynik nie zaskakuje. Już w latach 70. XX w. prof. Zbigniew Kwieciński badał poziom umiejętności czytania ze zrozumieniem wśród absolwentów szkół podstawowych. Wówczas okazało się, że co piąty uczeń był funkcjonalnym analfabetą. Dziś, mimo wprowadzenia egzaminów zewnętrznych, sytuacja nie uległa poprawie. Wskaźnik funkcjonalnego analfabetyzmu wśród kończących szkołę podstawową sięga nawet 25 proc. To pokazuje, że problem jest systemowy i trwa od dziesięcioleci.

Dwadzieścia lat temu przeprowadziłem badanie umiejętności czytania

Roman Leppert

– profesor nauk społecznych, pedagog Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy, redaktor naczelny „Przeglądu Pedagogicznego”, twórca „Akademickiego Zaczisa” i pomysłodawca Wirtualnego Uniwersytetu Pedagogicznego. Od lat inspirował nauczycieli i edukatorów do zmiany polskiej edukacji na lepsze.



© ARCHIWUM RL

ze zrozumieniem wśród studentów rozpoczynających studia pedagogiczne. Był to czas, gdy o miejsce na studiach wciąż się rywalizowało – kandydatów było więcej niż miejsc. Do tych samych studentów wróciłem po pięciu latach, by zbadać, jak ich umiejętności czytania ze zrozumieniem wyglądają na końcu studiów.

AS: I jakie były wyniki?

RL: Na początku studiów były bardzo dobre. Praktycznie wszyscy studenci osiągnęli wysokie wyniki. To mnie nie dziwiło, w końcu byli to absolwenci szkół średnich, którzy przeszli przez selekcyjny system rekrutacji. Jednak po pięciu latach studiów, mimo intensywnego treningu edukacyjnego, wyniki były... niższe. Studenci kończący studia uzyskiwali gorsze rezultaty niż pięć lat wcześniej. To pokazuje, że nawet wśród najlepszych, wyselekcjonowanych uczniów umiejętność czytania ze zrozumieniem może ulec regresowi.

AS: Co to oznacza dla systemu edukacji?

RL: Jeśli rejestrujemy regres umiejętności czytania ze zrozumieniem wśród studentów, to tym bardziej możemy spodziewać się podobnego zjawiska wśród tych, którzy wybrali szkoły branżowe lub średnie i od razu po ich ukończeniu weszli na rynek pracy. Zastanawiające jest to, że mimo iż od dziesięcioleci wiemy o tym problemie, podejmujemy różne działania, przeprowadzamy reformy, zmieniamy podstawy programowe – wskaźnik funkcjonalnego analfabetyzmu wciąż nie spada.

AS: Lepsze wyniki mają kraje skandynawskie.

Jak to się dzieje?

RL: W krajach skandynawskich obowiązuje zasada „mniej znaczy lepiej”. Mniej rozbudowane podstawy programowe, mniej formalnego oceniania, a więcej skupienia na indywidualnym rozwoju ucznia. W Finlandii, która jest często stawiana za wzór, oceny pojawiają się dopiero w ósmej klasie. Wcześniej uczniowie otrzymują informację zwrotną, która pomaga im zrozumieć, co robią dobrze, a nad czym muszą jeszcze popracować. To zupełnie inne podejście niż w Polsce, gdzie oceny często stają się celem samym w sobie. Ważnym elementem systemu skandynawskiego jest też praca zespołowa. Młodzież uczy się przede wszystkim współpracować, dzielić wiedzę i wspólnie rozwiązywać problemy.

AS: A jak wygląda kwestia rozwijania umiejętności manualnych? W Polsce takie zajęcia są traktowane po macoszemu.

RL: Można wręcz odnieść wrażenie, że wypadły one z głównego nurtu edukacji. Tymczasem, jak pokazuje koncepcja poznania ucieleśnionego, myślenie to nie tylko proces zachodzący w mózgu. Człowiek myśli również poprzez relacje społeczne, ruch, gesty czy pracę z przedmiotami. Kiedy uczniowie angażują się

w działania manualne, rozwijają zdolności praktyczne, ale także umiejętności analityczne i kreatywne.

AS: Polska szkoła nie nadąża za światem?

RL: Utknęliśmy w koncepcji szkoły skoncentrowanej na czynnościach, których efekty zależą głównie od możliwości intelektualnych ucznia. Tymczasem ludzie są różni – różnią się nie tylko kolorem oczu, ale także umiejętnościami, predyspozycjami i zainteresowaniami. Jednym z rozwiązań mogłoby być zróżnicowanie systemu edukacyjnego nie tylko w wymiarze strukturalnym, ale także programowym. Wciąż zakładamy, że wszyscy uczniowie muszą nauczyć się tego samego. Tymczasem w krajach takich jak Anglia czy USA istnieje możliwość wyboru poziomu zaawansowania w poszczególnych przedmiotach. W Polsce wciąż brakuje takiej elastyczności.

AS: Nasi politycy mają skłonność do przeprowadzania kolejnych „liftingów” systemu oświaty. Likwidacja obowiązkowych zadań domowych czy zmniejszenie liczby godzin religii to zmiany kosmetyczne. Czy reforma zapowiadana na 2026 r. przyniesie poważniejsze zmiany?

RL: Reforma Anny Zalewskiej z 2017 r. nie dokonała żadnej zasadniczej zmiany w wymiarze programowym, a strukturalnie cofnęła nas do lat 60. XX w. Teraz Barbara Nowacka próbuje nas cofnąć w wymiarze programowym do lat 70. i 80. XX w. Reforma ta rozpoczęła się od opracowania „profilu absolwenta”, czyli wyobrażenia sobie, jak ma wyglądać „produkt” na końcu edukacji. To metaforyczne rozpoczynanie budowy domu od dymu z komina.

AS: Czyli zapowiada się kolejny „lifting”?

RL: Niestety na to wygląda. Państwo próbuje określić, jacy mają być obywatele, zamiast stworzyć warunki do ich rozwoju. Edukacja to nie produkcja, a szkoła to nie fabryka. Rolą państwa jest stworzyć warunki, w których każdy uczeń może rozwijać swoje talenty i zainteresowania. Jak trafnie zauważyła Zofia Grudzińska, nauczycielka języka angielskiego zaangażowana w ruchy edukacyjne, istotą sprawy jest wybór między „profilem absolwenta” a „profilem szkoły”. Problemem nie jest to, jaki ma być absolwent na wyjściu, ale jaką szkołę chcemy stworzyć. Tymczasem zapowiadana reforma sprowadza się do zasady: jeszcze więcej tego samego, tylko nieco inaczej. To nie wystarczy, by naprawić polską edukację.

AS: Na swoim profilu na Facebooku pisał pan o „ukrytym programie reformy edukacji”.

RL: Objawia się on na wiele sposobów. Po pierwsze, mamy do czynienia z całym systemem niepublicznych ośrodków doskonalenia nauczycieli, które mają tendencję do tworzenia modnych kategorii edukacyjnych. Kilka lat temu taką kategorią były „kompetencje

kluczowe". W ramach najnowszej reformy w „profilu absolwenta” pojawiła się kategoria „sprawczość”. I co się dzieje? Niepubliczne ośrodki doskonalenia nauczycieli już organizują szkolenia na ten temat. Za chwilę „sprawczość” stanie się najpopularniejszym hasłem w edukacji. Na czele zespołu, który opracował podstawę programową przedmiotu edukacja obywatelska, stoi dr Jędrzej Witkowski, prezes Fundacji Centrum Edukacji Obywatelskiej. Zanim pani minister podpisała rozporządzenie wprowadzające podstawę programową, Fundacja już zaproponowała nauczycielom płatne kursy. Ta praktyka budzi poważne wątpliwości etyczne.

AS: I pokazuje, jak łatwo stworzyć iluzję zmian.

RL: To nie wszystko. Najbardziej niepokojącym przejawem ukrytego programu jest stopniowe ograniczanie autonomii nauczycieli. Dr Tomasz Gajderowicz, zastępca dyrektora Instytutu Badań Edukacyjnych, mówi o jej redefinicji. Brzmi to niewinnie, ale w praktyce oznacza, że nauczyciele stracą autonomię metodyczną. Dziś narzuca im się, czego mają uczyć, po najnowszej reformie stracą wpływ na to, jak mają to robić. Staną się wykonawcami odgórnie narzuconych procedur. A to już jest poważne zagrożenie dla jakości edukacji.

AS: Czyli reforma nie tylko nie rozwiąże problemów, ale może je pogłębić?

RL: Niestety tak. Ukryty program reformy edukacji to nie tylko biznesowe interesy czy modne hasła. To także stopniowe odbieranie nauczycielom autonomii i wolności w kształtowaniu procesu edukacyjnego. Jeśli nauczyciele stracą możliwość decydowania o tym, jak uczą, stracimy coś bardzo ważnego: kreatywność, zaangażowanie i pasję, które są kluczowe dla skutecznej edukacji. Reforma, która miała naprawić system, może go jeszcze bardziej zbiurokratyzować i pozbawić elastyczności.

AS: Wydaje się, że zauważają to rodzice i coraz częściej posyłają dzieci do prywatnych szkół.

RL: Proces ten nasilił się podczas pandemii. W 2013 r. do szkół niepublicznych uczęszczało zaledwie 3,5 proc. uczniów, a w 2022 r. – już 6,3 proc. Co ciekawe, ani poprzedni, ani obecny rząd nie podjął skutecznych działań, aby ten trend zatrzymać. Jeden z użytkowników Facebooka trafnie nazwał to zjawisko „stomatologizacją edukacji”. Edukacja staje się coraz bardziej prywatna, a dostęp do niej zależy od zasobności portfela.

AS: Edukacja staje się dobrem luksusowym?

RL: W pewnym sensie tak. Sama możliwość wyboru typu szkoły nie powinna niepokoić, pod warunkiem że podejmowana przez nas decyzja nie zależy głównie od statusu socjo-ekonomicznego rodziny. Niestety, w Polsce tak właśnie jest. Szkoły niepubliczne funkcjonują głównie w dużych miastach, gdzie chesne sięga kilku tysięcy złotych miesięcznie. Kto może sobie na to pozwolić? Z pewnością nie sprzątaczką, kasjerką czy nawet nauczycielką. Dla większości rodzin szkoła publiczna pozostaje jedyną opcją.

AS: To gotowy przepis na pogłębienie nierówności społecznych.

RL: I kolejny przejaw ukrytego programu polityki oświatowej, który państwo de facto realizuje. Z jednej strony mamy szkoły niepubliczne, które oferują wysoki standard edukacji, ale są dostępne tylko dla nielicznych. Z drugiej strony – szkoły publiczne, które często borykają się z niedofinansowaniem, przepełnionymi klasami i brakiem kadry.

Ani poprzedni,
ani obecny rząd
nie podjął skutecznych
działań, aby powstrzymać
trend „stomatologizacji
edukacji”.

AS: Wygląda na to, że państwo nie wywiązuje się ze swojego obowiązku i outsourcuje edukację...

RL: Dokładnie. Edukacja powinna być jednym z filarów polityki społecznej państwa, której celem jest zmniejszanie nierówności, a nie ich pogłębianie. Tymczasem obserwujemy tendencję do – użyję pani określenia – outsourcowania edukacji. Jeśli ten trend się utrzyma, możemy doprowadzić do sytuacji, w której szkoła publiczna stanie się szkołą drugiej kategorii, a dostęp do dobrej edukacji będzie przywilejem nielicznych. To nie jest przyszłość, którą powinniśmy akceptować.

AS: Ponad połowa nauczycieli w naszym kraju to osoby po 50. roku życia. To oznacza, że w ciągu najbliższych 10 lat wielu z nich przejdzie na emeryturę. Kto ich zastąpi?

RL: Zainteresowanie studiami nauczycielskimi jest niewielkie, a to ma swoje źródło m.in. w braku finansowej atrakcyjności tego zawodu. Nauczyciel rozpoczynający pracę w szkole zarabia na poziomie minimalnej płacy krajowej. To nie jest wynagrodzenie, które przyciągnie młodych, ambitnych ludzi.

AS: A co z tymi, którzy jednak decydują się na pracę w szkole?

RL: Badania pokazują, że połowa osób, które rozpoczynają pracę w szkole, rezygnuje w ciągu pierwszych pięciu lat. Rozmawiałem ostatnio z dyrektorką jednej z dużych bydgoskich szkół. Proszę sobie wyobrazić, że od pięciu lat nie udało jej się zatrudnić nowego nauczyciela. Nie dlatego, że nie chce, ale dlatego, że po prostu nie ma chętnych. To pokazuje skalę problemu.

AS: Co wobec tego przyniesie przyszłość?

RL: Po pierwsze, dotychczasowi nauczyciele będą pracować coraz dłużej, zachęceni dodatkowymi benefitami, takimi jak nagrody za długoletnią pracę. Po ich otrzymaniu wielu z nich i tak odejdzie na emeryturę, co tylko pogłębi problem. Po drugie, spójrzmy na demografię. W 2024 r. urodziło się tylko 250 tys. dzieci. Gdy tak nieliczne roczniki rozpoczną edukację, zapotrzebowanie na nauczycieli naturalnie się zmniejszy.

AS: I problem kadrowy rozwiąże się sam.

RL: Ale nie poprawi to jakości edukacji. Nawet jeśli liczba nauczycieli będzie wystarczająca, to bez systemowych zmian, takich jak podwyżki wynagrodzeń czy poprawa warunków pracy, trudno będzie przyciągnąć do tego zawodu młodych, ambitnych ludzi.

AS: Kto dziś decyduje się na pracę w szkole?

RL: Można wyróżnić dwie grupy studentów wybierających studia nauczycielskie. Pierwsza to osoby, które od początku wiedzą, że chcą uczyć. To często pasjonaci, którzy mają jasno określony cel. Druga grupa to ci, którzy traktują przygotowanie pedagogiczne jako plan awaryjny. Wybierają ten kierunek, bo nie dostali się na inne studia lub nie mają pomysłu na swoją przyszłość zawodową.

AS: W latach 2023–2024 z systemu edukacji zniknęło 13 tys. nauczycieli poniżej 26. roku życia oraz kolejne 13 tys. w przedziale wiekowym 26–30. Młodzi zdolni nauczyciele odchodzą z zawodu. Jak zatrzymać w systemie tych, którzy mogą wnieść powiew świeżości?

RL: Zacznę żartobliwie. Papieża Jana Pawła II zapytano kiedyś, ile osób pracuje w Watykanie. Po chwili namysłu papież odpowiedział, że mniej więcej połowa. I ze szkołą jest podobnie. Ważne jest, czy w danej szkole tych, którym się chce, jest więcej niż połowa czy mniej. A to zależy od wielu czynników, ale w największym

stopniu od dyrektorów. Jeśli wynagrodzenie nie zachęca, a praca wśród ludzi ceniących *status quo* nie pomaga, to dyrektor musi stać się liderem, który ukształtuje atmosferę i sposób funkcjonowania grona pedagogicznego. Liderem, który potrafi inspirować, motywować i budować zespół.

AS: Kluczem jest więc dobre zarządzanie szkołą?

RL: Tak, ale nie tylko. Dyrektorzy i nauczyciele, których goszczę w moim „Akademickim Zaciszu”, twierdzą, że jedynym sposobem na zatrzymanie młodych nauczycieli jest „ucieczka do przodu”. Chodzi o organizowanie pracy w taki sposób, aby zamiast koncentrować się na problemach, wspólnie szukać rozwiązań. Należy budować atmosferę współpracy, w której młodzi nauczyciele poczuć, że ich głos ma znaczenie, ich pomysły są doceniane, że mogą realnie wpływać na to, co dzieje się w szkole. Jeśli dyrektor potrafi zbudować zespół, w którym nauczyciele wspólnie rozwiązują problemy, dzielą się doświadczeniami i uczą od siebie nawzajem, to młodzi ludzie chętniej zostaną w zawodzie.

AS: Według badania PIRLS 2021 pod względem ogólnej satysfakcji zawodowej nauczycieli Polska znalazła się na ostatnim, 53. miejscu. Dlaczego jest tak źle?

RL: Po pierwsze, im dłużej nauczyciel pracuje, tym większe jest ryzyko wypalenia zawodowego. To naturalne, że po latach pracy w trudnych warunkach motywacja spada. Po drugie, nauczyciele są zmęczeni ciągłymi zmianami. Reforma w 2026 r. nie będzie ostatnią – za kilka lat

kolejny minister ogłosi nową reformę, a nauczyciele znów będą musieli dostosowywać się do nowej sytuacji. Po trzecie, nauczyciele czują się społecznie niedocenieni. Nie chodzi tylko o niskie wynagrodzenia, ale także o brak prestiżu tego zawodu. Nie doceniamy ich roli w kształtowaniu przyszłych pokoleń.

AS: Dlaczego o szkole mówi się tak źle? Narzekają zarówno nauczyciele, rodzice, jak i uczniowie.

RL: To złożony problem. Z jednej strony, jak zauważył prof. Wojciszke, mamy w Polsce kulturę narzekania. Z drugiej strony, szkoła i zawód nauczyciela są przedmiotem gorących debat publicznych.

AS: Debaty te często dotyczą wynagrodzeń, 18-godzinnego etatu, długich wakacji czy dorabiania na korepetycjach. Mam jednak wrażenie, że problem jest głębszy...

Nauczyciele nie tylko przekazują wiedzę, ale także uczą krytycznego myślenia, rozwiązywania problemów, współpracy i odpowiedzialności.

RL: Oczywiście. Mamy do czynienia z głęboką zmianą kulturową. Tradycyjnie praca nauczyciela była kojarzona z przekazywaniem wiedzy, z „oświecaniem” – stąd zresztą termin „oświata”. Jednak dziś nauczyciele nie są już głównym źródłem wiedzy. W dobie Internetu i sztucznej inteligencji ich rola się zmieniła. Niestety, społeczeństwo nie docenia jeszcze tego, co jest równie ważne w pracy nauczyciela, mianowicie kształtowania umiejętności. Nauczyciele nie tylko przekazują wiedzę, ale także uczą krytycznego myślenia, rozwiązywania problemów, współpracy i odpowiedzialności. To są umiejętności kluczowe w dzisiejszym świecie, ale często pozostają niezauważone przez opinię publiczną.

AS: Niedocenienie nauczycieli, nie tylko finansowe, jest więc kolejnym kluczowym problemem polskiej szkoły.

RL: Dokładnie. Zapominamy, że ta praca wymaga ogromnego zaangażowania, kreatywności i cierpliwości. Potrzebujemy nie tylko reformy systemu, ale także zmiany w sposobie, w jaki mówimy o szkole i nauczycielach. To jest równie ważne jak podwyżki wynagrodzeń czy poprawa warunków pracy.

AS: Co zrobić, żeby odbudować prestiż zawodu nauczyciela?

RL: Po pierwsze, konieczne jest wprowadzenie stałego mechanizmu podnoszenia wynagrodzeń nauczycieli. Nie może on zależeć od widzimisię polityków czy aktualnej sytuacji budżetowej. Powinien to być automatyczny system, który zapewni wzrost wynagrodzenia nauczycieli proporcjonalnie do wzrostu płac w innych sektorach.

AS: Pieniądze są ważne, ale to przecież nie wszystko...

RL: Kolejnym krokiem powinna być samoorganizacja nauczycieli. To jedna z nielicznych grup zawodowych, które nie mają silnego samorządu zawodowego. Związki zawodowe reprezentują tylko część grupy. Nauczyciele muszą nauczyć się skutecznie reprezentować swoje interesy. To dałoby im większą siłę negocjacyjną i wpłynęłoby na poprawę ich statusu społecznego.

AS: A co z rozwojem zawodowym?

RL: I tu dochodzimy do trzeciego elementu, mianowicie odnawiania kwalifikacji nauczycielskich. Nie chodzi jednak o przypadkowe szkolenia, które często są jedynie formalnością. Proponuję wprowadzenie systemu, w którym nauczyciele po 10 latach pracy mogliby skorzystać z rocznego urlopu na odnowienie kwalifikacji. Nie byłby to urlop wypoczynkowy, ale czas na zdobycie nowej

wiedzy i poznanie najnowszych trendów w edukacji. Nauczyciel wróciłby do szkoły z nowymi pomysłami i energią, co wpłynęłoby pozytywnie na jakość nauczania.

AS: Obecnie nauczyciele mają prawo do rocznego urlopu zdrowotnego.

RL: Tak, jednak efekty takiego urlopu mają charakter jedynie jednostkowy. Potrzebujemy zmian, które będą miały realny wpływ na całą grupę zawodową, a nie tylko na pojedyncze osoby. Jedynie w ten sposób możemy odbudować prestiż zawodu nauczyciela i zatrzymać w nim najlepszych.

AS: Te trzy kroki są w stanie zmienić sytuację nauczycieli, ale nie są w stanie zmienić sytuacji oświaty w ogóle. Jaka jest pana zdaniem najważniejsza zmiana, którą powinniśmy wprowadzić?

RL: Najważniejszą zmianą, o której wspominałem już wcześniej, jest wprowadzenie zróżnicowania programowego. Obecnie mamy zróżnicowanie strukturalne: szkoły publiczne, niepubliczne, edukację domową, ale wciąż zakładamy, że wszyscy uczniowie muszą nauczyć się tego samego. To błąd. Powinniśmy stworzyć system pozwalający każdemu rozwijać się w obszarach, w których czuje się silny. Niestety, reforma planowana na 2026 r. tego nie przewiduje.

AS: Jak pan patrzy na przyszłość polskiej szkoły: z optymizmem czy niepokojem?

RL: Zdecydowanie z niepokojem.

„Stomatologizacja edukacji”, rosnące nierówności społeczne, problem funkcjonalnego analfabetyzmu – to wszystko skłania do pesymizmu. Kiedy patrzymy na wyniki egzaminów zewnętrznych, widzimy dwie grupy uczniów: bardzo słabych i bardzo dobrych. Brakuje nam tego „środka”, czyli uczniów o przeciętnych, ale stabilnych wynikach. To pokazuje, że system nie radzi sobie z zapewnieniem równych szans wszystkim uczniom.

AS: Czyli nie ma nadziei?

RL: Nadzieja jest, ale tylko na poziomie jednostkowym. Rodzice mogą posyłać dzieci do szkół niepublicznych, wybierać edukację domową lub szukać lepszej szkoły publicznej. Jednak na poziomie systemowym jej nie widać. Ci, którzy projektują reformę 2026 r., przekonują nas, że wszystkie problemy polskiej szkoły zostaną rozwiązane. Ale nie bądźmy naiwni.

Nadzieja jest,
ale tylko na poziomie
jednostkowym. Rodzice
mogą posyłać dzieci do
szkół niepublicznych,
wybierać edukację
domową lub szukać
lepszej szkoły publicznej.

Grupa dziennikarzy ze Szwecji
zwiedza nowo zbudowany
gmach rozgłośni.
4 września 1937 r.



Opinie o zmierzchu radiofonii są zdecydowanie przedwcześnie

- W Polskim Radiu są bezcenne przedwojenne płyty szelakowe i płyty decelitowe. To najstarsze nośniki ścieżek dźwiękowych, na których nagrywano muzykę, ale także audycje i głosy wielkich postaci: Piłsudskiego, Paderewskiego, Żeromskiego, Skłodowskiej-Curie.
- Radio przeżywa renesans dzięki wykorzystaniu nowych technologii i nowych kanałów dystrybucji treści.
- „Podcasty robimy od stu lat” – to nasze hasło na ten rok. I jest to prawda: każde nasze nagranie, także sprzed dziesięcioleci, to przecież element radiowej bazy podcastowej.
- W czasach zagrożeń, fake newsów, zalewu treści generowanych przez AI, kiedy dziennikarzy zastępują mediaworkerzy, mamy ambicję dać obywatelom poczucie bezpieczeństwa informacyjnego. Pierwszym zadaniem jest odbudowanie wiarygodności.

Z **Andrzejem Mietkowskim** rozmawia Kamil Broszko.

Andrzej Mietkowski (ur. 1956 r.)

– dziennikarz, tłumacz i publicysta, działacz opozycji w okresie PRL. Dyrektor Archiwum Polskiego Radia. Kieruje projektami specjalnymi w Bibliotece Narodowej. W latach 2008–2016 kierował portalem PolskieRadio.pl. Autor telewizyjnego cyklu dokumentalnego „Archiwum Zimnej Wojny”. Od 1981 r. do końca lat 80. przebywał na emigracji w Paryżu. Pracował w BBC, Deutsche Welle, Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa. Publikował m.in. w paryskiej „Kulturze”, „Pulsie”, „Zeszytach Literackich”. Tłumacz wielu książek z języka rosyjskiego i francuskiego.



© KAKA MEDIA



Wóz transmisyjny – samochód ciężarowy Chevrolet 1938 T-series przy wiejskiej zagrodzie. 1938 r.

Kamil Broszko: Jest pan dyrektorem Archiwum Polskiego Radia – miejsca fascynującego, dla postronnych niemal romantycznego, ale jak ono wygląda naprawdę? Czy są to hale pełne regałów ze starymi taśmami? A może to tylko przestrzeń informatyczna, bo wszystko zostało już zdigitalizowane?

Andrzej Mietkowski: To jedno i drugie. Przy czym największe wrażenie robią analogowe magazyny dźwięków, w których przechowujemy nośniki historyczne – taśmy i płyty. Na setkach regałów zgromadzona jest kolekcja naszych historycznych nagrań: audycji słownych i muzycznych.

Pierwsze są niemal w całości zdigitalizowane, blisko 90 proc. ich zawartości wprowadzono do naszej Multimedialnej Radiowej Bazy Danych (MRBD) – centralnego systemu, z którego korzystają archiwiści i radiowi dziennikarze wyszukujący nagrania do bieżącej pracy.

Nagrania muzyczne, których przygotowanie do digitalizacji jest bardziej złożone, również konsekwentnie wprowadzane są do świata cyfrowego. Skąd te różnice? Z prostej przyczyny – w audycjach słownych łatwiej ustalić oryginalne nagranie. Muzyka była na potrzeby antenowe kopiowana. Istnieje kilkanaście wersji tego samego utworu. Ustalenie, co jest oryginałem, to nie-rzadko praca detektywistyczna, wymagająca wiedzy o akustyce, ale również o historii.

Nasza praca to nie tylko opisywanie zbiorów, ale przede wszystkim zapewnienie im opieki. Radiowe archiwa to taśmy, ale również kolekcja płyt. Nasza liczy około 75 tys. egzemplarzy. W Polskim Radiu są bezcenne przedwojenne płyty szelakowe i płyty decelitowe. To najstarsze nośniki ścieżek dźwiękowych, na których nagrywano muzykę, ale także audycje i głosy wielkich postaci: Piłsudskiego, Paderewskiego, Żeromskiego, Skłodowskiej-Curie... Radiowe

szelaki i decelity wymagają opieki konserwatorskiej. Podjęliśmy decyzję o nadaniu płytotece najwyższego priorytetu i tworzymy dla niej nowoczesną przestrzeń. Po latach płyty, czekające na opisy i digitalizację, zostaną wydobyte z piwnic.

I jeszcze słowo o dokumentacji papierowej. To jest kronika działalności Polskiego Radia: scenariusze audycji, słuchowisk, skrypty wiadomości, akta osobowe i korporacyjne. Miliony stron gromadzonych od wczesnych lat 50. Projekt ich digitalizacji, niestety, został zarzucony dekadę temu, mimo pozyskanego na ten cel grantu w wysokości kilkunastu milionów złotych. I tak papiery nadal pozostają w tekturowych teczkach.

KB: Cały zbiór to niewątpliwie ogromna wartość kulturowa, ale w tak wielkich kolekcjach zdarzają się prawdziwe perły – fragmenty, które z różnych powodów są szczególnie wyjątkowe. Czy w państwa archiwum istnieje taka klasyfikacja? Czy można wskazać te najcenniejsze materiały?

AM: Kryterium wyjątkowości bywa płynne. Czasem coś, co jeszcze wczoraj wydawało się nieznaczące, dziś nabiera niezwykłego wymiaru. Poza jakimikolwiek kryteriami są głosy ojców założycieli II Rzeczypospolitej i tych, którzy współtworzyli fundamenty polskiej nowoczesności. Skarbami są przedwojenne audycje Polskiego Radia z Wilna i Lwowa, relacje z pierwszych dni wojny, w tym słynny komunikat: „A więc wojna!” z 1 września 1939 r. Tak też myślimy o unikatowych nagraniach muzycznych, m.in. Rubinsteina, Paderewskiego, Szpilmana, Bacewicz, Zimmermana czy Komedy.

W tym roku świętujemy stulecie istnienia Polskiego Radia. Nasza kolekcja obejmuje nagrania ostatnich stu lat, więc skarbów w niej wiele.



© NAC (2)



Nadawanie efektów dźwiękowych. Imitator dźwięku podczas realizacji nagrania. Z lewej: laureat konkursu z nagrodą – radioodbiornikiem Telefunken Lz777 „De Luxe”.

ochotę, wybieram je z naszej platformy podcastowej. Nie muszę włączać „Sygnałów Dnia” o świcie, mogę ich wysłuchać o trzynastej.

„Podcasty robimy od stu lat” – to nasze hasło na ten rok. I jest to prawda: każde nasze nagranie, także sprzed dziesięcioleci, to przecież element radiowej bazy podcastowej.

W nowej ofercie nie tylko audycjom antenowym nadajemy formę podcastów, ale mamy też specjalne podcastowe produkcje: „Strefę Wpływów” Renaty Grochal, Jacka Czarneckiego i Rocha Kowalskiego, podcasty autorstwa Karoliny Korwin-Piotrowskiej czy negocjatora policyjnego Krzysztofa Balcera, także nowy radiowy audioserial braci Zygmunta i Wojtka Miłoszewskich. Do prezentacji w nowoczesnej formule, o czym wspominałem, nadaje się też wiele formatów antenowych, choćby „Rzeczypospolite” prof. Antoniego Dudka czy „Ślady pamięci” prowadzone przeze mnie wspólnie z prof. Rafałem Habielskim. Audycje zyskują nowe życie. Jest to ledwie wycinek oferty. Tak oto Polskie Radio wykracza poza tradycyjne fale FM. Dociera do użytkowników Spotify czy YouTube’a.

KB: Jak dziś w Polskim Radiu definiuje się misję w kontekście współczesnych wyzwań? Mam na myśli erę nadmiaru informacji, utraty ich wiarygodności oraz coraz powszechniejsze zjawisko fake newsów.

AM: W czasach zagrożeń, fake newsów, zalewu treści generowanych przez AI, kiedy dziennikarzy zastępują mediaworkerzy, mamy ambicję dać obywatelom poczucie bezpieczeństwa informacyjnego. Pierwszym zadaniem jest odbudowanie wiarygodności. Kilkanaście lat temu radio publiczne było w ścisłej czołówce zaufania, natomiast w 2023 r. zaufanie do mediów publicznych deklarował zaledwie co trzeci badany.

Archiwum Polskiego Radia przechowuje również nagrania stacji zagranicznych: Sekcji Polskiej BBC, Radia Wolna Europa, Głosu Ameryki czy Radio France Internationale. Wśród tego bogactwa znajdziemy głosy wielkich twórców: Zbigniewa Herberta, Sławomira Mrożka, Witolda Gombrowicza czy Marka Hłaski.

Mamy nagrania cudem ocalone z przeszłości, na przykład audycje powstańczej radiostacji Błyskawica czy zapis transmisji z pogrzebu generała Sikorskiego. W stuletniej historii są też ponure karty. Radiowe mikrofony rejestrowały przecież stalinowskie procesy – ludzi skazujących i skazywanych na najwyższy wymiar kary.

KB: Wspomniał pan o setnym jubileuszu Radia. Jakie plany na świętowanie?

AM: Zamierzamy pokazać, że opinie o zmierzchu radiofonii są zdecydowanie przedwczesne. Radio przeżywa renesans dzięki wykorzystaniu nowych technologii i nowych kanałów dystrybucji treści. Ulubionych audycji mogą słuchać wtedy, kiedy mam na to

© NAC/SITKOWSKI ANTONI

Polskie Radio jest najważniejszym graczem na wielu polach. Koncerty Dwójki czy Trójki to wartość unikatowa. Radiowy teatr, reportaże, audycje historyczne i literackie zasługują na więcej niż jednorazowa emisja FM. Teraz mogą trafić do odbiorców w wybranym przez nich czasie i miejscu. To przyszłość, w której Polskie Radio odegra ważną rolę. Stacje komercyjne nie mają ani takiej oferty, ani takich archiwów.

System finansowania mediów publicznych, niestety, wciąż jest nieuregulowany, co tworzy pole do trudnych kompromisów. Przed laty słyszeliśmy brutalne stwierdzenie: „Tyle misji, ile abonamentu”. Problem polegał na łączeniu różnych źródeł finansowania, publicznych i komercyjnych. Obecnie Polskie Radio funkcjonuje dzięki dotacjom przyznawanym przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, w mniejszym stopniu – dzięki przychodom z reklam. Nowe regulacje prawne uporządkują system finansowania, co pozwoli Radiu skupić się na realizacji misji.

KB: Czy radio publiczne jest dziś jedynym miejscem, które dba o upowszechnianie kultury wysokiej?

AM: Kultura rzadko odnajduje właściwe miejsce w realiach podporządkowanych rynkowi. Pamiętam doskonałą kampanię promocyjną BBC sprzed wielu lat. Jej przekaz był prosty, ale wymowny. Londyński pub, przy barze Brytyjczyk, grany przez Johna Cleese’a z Monty Pythona. Zamawia kielicha i z irytacją narzeka: „Znow muszę płacić abonament BBC. Co ja z tego mam?”. Wokół niego zaczynają przypadkiem pojawiać się ikony brytyjskiej kultury, gwiazdy sportu, wybitni dziennikarze i komentatorzy, sączący swoje drinki w tym pubie. Każdy rzuca z własnego podwórka, co mianowicie oferują media publiczne. „Znakomity teatr” – mówi jeden. „Filmy przyrodnicze” – dodaje drugi. „Wiadomości”. „Krykiet, golf, wyścigi konne”. „Snooker”. „Programy radiowe – 1, 2, 3, 4”. „Filmy”. „Programy przyrodnicze”. „I dokumentalne”. „Studia wyborcze”. Każdy przykład trafia w punkt. Reklama obrazuje, czym naprawdę jest misja mediów publicznych. To wszystko, co nie generuje zysków, ale jest niezbędne, aby społeczeństwo mogło funkcjonować, zwłaszcza w trudnych czasach.

Od powstania tamtej reklamy zmieniło się wiele. Media internetowe zajęły ogromną przestrzeń, a ich siła oddziaływania jest nieporównywalna z dawnymi modelami. I dlatego tym bardziej potrzebujemy takich kotwic, jak radio publiczne.

KB: Co można powiedzieć o radiu w tak kluczowym dzisiaj kontekście bezpieczeństwa?

AM: W czasach zagrożeń – informacyjnych i tych realnych, związanych choćby z wojną – nie zapominajmy, że Polskie Radio jest częścią infrastruktury strategicznej. W sytuacjach kryzysowych, w stanach najwyższej konieczności, radio publiczne będzie kluczowym medium. Internet to pierwsze, co przestanie działać. Wtedy pozostaną nam odbiorniki radiowe zasilane baterią. Powinny być dzisiaj częścią niezbędnika w każdym gospodarstwie domo-

wym. Podobnie jak latarka, kilka zapieczętowanych butelek wody, suchy prowiant. Radio z zapasem baterii pozwoli nam odnaleźć się nawzajem i usłyszeć, co dalej. W tym sensie radio publiczne to nie tylko medium – to narzędzie przetrwania, które da nam poczucie bezpieczeństwa w najbardziej nieprzewidywalnych okolicznościach.

KB: Ma pan obszerną kartę opozycyjną i bogate doświadczenie pracy w Radiu Wolna Europa, również za granicą. Jak przyjął pan niedawną informację, że owa rozgłośnia i Głos Ameryki mają zostać zamknięte?

AM: Może pan zapisać: długa chwila milczenia. Dla mnie te decyzje są kompletnie niezrozumiałe. Wywracają mój sposób patrzenia na świat. Mówimy przecież o posunięciach państwa, które miałem za własny punkt odniesienia, za bastion wolności, międzynarodowej filantropii, gotowości do niesienia pomocy tym, którzy jej potrzebują. Mamy więc najpierw dekret nakazujący organowi nadzorującemu międzynarodowe radiofonie – Głos Ameryki, Wolną Europę, Wolną Azję – wstrzymanie ich finansowania. Sąd w odpowiedzi wydaje nakaz przywrócenia funduszy przyznanych przez Kongres. A kilka dni później pracownicy Wolnej Europy przychodzą do redakcji i odkrywają, że emisja na Rosję została przerwana – wyłączono satelitę.

Brzmi jak scenariusz z filmu *political fiction* z czasów zimnej wojny, w którym sowiecka agentura infiltruje Waszyngton i stopniowo przejmuje władzę. W tym kontekście jeden z byłych dyrektorów Wolnej Europy, Robert Gillette, napisał: *If it talks like a Russian asset and acts like a Russian asset, it probably is a Russian asset* („Jeśli mówi jak rosyjska agentura, jeśli działa jak rosyjska agentura, to zapewne jest rosyjska agentura”). Brutalne, ale trudno znaleźć lepszy opis sytuacji.

Nie znajduję racjonalnego wytłumaczenia tych działań – ani z perspektywy amerykańskiej, ani światowej. Wolna Europa, Głos Ameryki to fundamenty amerykańskiej *soft power*; narzędzia, które przez dekady budowały obecność i globalne znaczenie Stanów Zjednoczonych.

KB: Czy widzi pan jakieś szanse na zmianę sytuacji?

AM: Eksperci uspokajają, że mechanizmy amerykańskiej demokracji mają wbudowane liczne bezpieczniki. Może nie działają natychmiast, ale stopniowo reagują. Amerykańskie sądownictwo stawia opór. Nie zapadł korzystny wyrok w sprawie zablokowania USAID, podobnie jak w sprawie Wolnej Europy. Słyszymy sprzeciwy wśród kongresmenów. Na ulicach amerykańskich miast dziesiątki tysięcy ludzi protestowały przeciw polityce władzy wykonawczej.

Nie wyobrażam sobie, by bez gwałtownego oporu można było rozmontować mechanizmy amerykańskiej demokracji, stworzone przez 250 lat. Ameryka nieraz udowodniała, że potrafi obronić przed szaleństwem. Chcę wierzyć, że bezpieczniki zadziałają.



„Unia lubelska”,
Jan Matejko.

„Bolesław I Chrobry”,
Jan Matejko.



Pierwsza Rzeczpospolita czeka na swoją opowieść

Tysiąclecie pierwszej królewskiej koronacji w Polsce, przypadające na kwiecień br., zostało przez państwo zignorowane niemal całkowicie. Na sztandar tę rocznicę wzięła prawica, ale również bardziej w formie wytknięcia bierności obecnej władzy niż w formie czynnej. Wolimy pamiętać o rocznicach związanych z Drugą Rzeczpospolitą czy Polskim Państwem Podziemnym niż o Polsce sprzed rozbiorów. Być może dlatego, że pierwszych osiem wieków państwa polskiego wymaga przepracowania w społecznej (i narodowej) świadomości.

Zignorowane milenium

Wydawałoby się, że rocznica koronacji Bolesława Chrobrego może być jubileuszem, który połączy ponad podziałami i politycznymi poglądami. Z jednej strony mamy – 60 lat po chrzcie Mieszka I – królewską koronację słowiańskiego władcy. Władcy państwa silnego, które wcześniej sukcesywnie powiększało swoje terytorium. Z drugiej strony ta koronacja to symboliczne wejście Polski do grona państw ówczesnej Europy. Czwierć wieku wcześniej, gdy Otton III wkładał na skronie Chrobrego swój cesarski diadem, mogłaby się odbyć z niemieckim poparciem i życzliwością. W 1025 r. odbyła się pomimo jasno skonkretyzowanej polityki niemieckiej, której celem była wasalizacja słowiańskiego państwa.

Dlaczego zatem tak małe zainteresowanie jubileuszem, który można było wykorzystać jako okazję do przypomnienia długiej i niezwykle ciekawej historii polskiej państwowości na tle Europy?



Marcin Rosołowski

– wiceprezes Fundacji im. XBW Ignacego Krasickiego, współautor m.in. „Świata polskiej szlachty” i „Siedmiu wieków Warszawy”.

Na zignorowanie tej rocznicy – potencjalnie świetnej do międzynarodowej promocji Polski – zwrócili uwagę nie tylko prawicowi publicyści, ale też na przykład Estera Flieger z „Rzeczpospolitej”. Na ironię zakrawa fakt, że Muzeum Historii Polski ze świeżo powołanym przez obecną władzę dyrektorem także nie wykazało tu aktywności. Honor władzy uratował jedynie marszałek Szymon Hołownia, który w rocznicę zwołał w Gnieźnie specjalne zgromadzenie posłów i senatorów. Niemniej gest polityczny nie zastąpi działań promocyjnych.

Nie wychodzimy poza rok 1918

Rok 1918 – data, która w 20-leciu międzywojennym miała mniejszą siłę rażenia niż obecnie – jest bardzo promowany. Niestety, często w sposób na tyle niezręczny, że odbiorca niezający polskiej historii może odnieść wrażenie, że Polska jako byt państwowy powstała niewiele ponad sto lat temu. Im bardziej w głąb naszej historii, tym mniejsze oficjalne, państwowe zainteresowanie znaczącymi rocznicami. Jeszcze, a i to bardziej regionalnie, przypomina się o zwycięskim powstaniu wielkopolskim, o wcześniejszych zrywach w zasadzie tylko przy okazji okrągłych rocznic. Choć 120. rocznica rewolucji 1905 r., mającej wielkie znaczenie dla kształtowania się w szerokich masach tej świadomości, która 13 lat później doprowadziła do odbudowy Polski, przeminęła praktycznie bez echa – jeśli nie liczyć kilkunastu publikacji prasowych i znakomitej książki prof. Tomasza Nałęcza.

Dwudziesty wiek mamy w miarę przepracowany. Czy zgodnie z faktami – to już inna sprawa. Ujmując rzecz najprościej, przeciętny Polak uważa, że po okresie nicości nagle zdarzył się rok 1918, kiedy to Piłsudski przyniósł Polsce niepodległość. Druga Rzeczpospolita to kraina punktualnych pociągów, rzetelnych urzędników, patriotycznych polityków, COP-u i portu w Gdyni, słowem: istny eden, zniszczony przez spisek niemiecko-sowiecki przy złośliwej bierności Francji i Wielkiej Brytanii. Dalej mamy pięć lat polskiej ofiarności i nieustających zdrad aliantów. Potem bardziej zawiła historia PRL – w zależności od politycznych poglądów: albo 45 lat sowietyzacji, albo 12 lat „błędów i wypaczeń”, a potem kontrowersyjne, ale jednak własne i niepodległe państwo.

O wizje polityczne Polski w czasie rozbiorów spiera się już tylko wąski krąg historyków i pasjonatów, a dzieje sprzed roku 1795 budzą emocje w jeszcze mniejszym kręgu. No, może poza rocznicą uchwalenia Konstytucji 3 maja, która na stałe widnieje w naszym narodowym kalendarzu. O micie Konstytucji majowej powiemy więcej dalej.

Dlaczego nie chcemy albo nie potrafimy sięgać w głąb naszej historii?

Najłatwiej zwinąć winę na coraz gorsze wykształcenie młodszych pokoleń w zakresie wiedzy historycznej. Trzeba jednak

zwrócić uwagę, że te same pokolenia – choć nie wiedzą wiele o Chrobrym, Żółkiewskim czy Janie Sobieskim – świetnie przyswoiły sobie historię Powstania Warszawskiego. Stało się tak, bo jego data weszła do kalendarza ważnych rocznic historycznych, a samo wydarzenie stało się elementem popkultury.

Półserio można spytać, czy ta niechęć wynika z tego, że wiele wydarzeń sprzed kilku stuleci nie przechodzi testu politycznej poprawności. Nawet taka unia lubelska – niby z jednej strony stworzyła wieloetniczne państwo, ale z drugiej strony przyłą-

czyła do Korony ruskiej województwa i litewskie Podlasie. Wyprawa moskiewska? Obecnie zdobycie Kremla jest politycznie poprawne i na lewicy, i na prawicy, ale z drugiej strony mamy fatalną politykę Wazów, która zaprzepaściła szanse na podporządkowanie Moskwy Rzeczpospolitej. Potop szwedzki? Tu jeszcze więcej problemów. Bo najpierw nie miała część szlachty poparła najeźdźców, od których jednak odwróciła się, zrażona bezwzględnością i rabunkową polityką Szwedów. A sam główny zdrajca, Hieronim Radziejowski, koniec końców wrócił do królewskich łask.

O ile udało się w sferze publicznej skutecznie zmitologizować Drugą Rzeczpospolitą i lata okupacji, a nawet erę zaborów, o tyle z zawiłymi dziejami państwa Piastów i Jagiellonów, a później Pierwszej Rzeczpospolitej tak łatwo by nie poszło. Tym bardziej warto, by je promować. Po pierwsze po to, by uczulić, że historia zwykła się powtarzać, a po drugie, aby obalać pewne mity, które na kanwie dziejów tego okresu są już budowane.

Pierwsza Rzeczpospolita państwem kolonialnym?

Można odnieść wrażenie, że Polska przedrozbiorowa jest obecnie bardziej w literaturze popularnej niż w popularyzatorskich, eseistycznych książkach. Na powieściach o dynastii Piastów zbudowała swoją renomę i wielkie nakłady Elżbieta Cherezińska. Popularnością cieszą się powieści o naszych XVII-wiecznych dziejach pióra Jacka Komudy. Komuda, z wykształcenia historyk, zajmuje się Rzeczpospolitą szlachecką nie tylko jako powieściopisarz. Ma na swoim koncie „Warchołów i pijanice”, książkę znakomicie portretującą wysoko urodzonych łotrzyków i sobiepanów, a ostatnio wydał bestsellerowy „Upadek”. To solidna porcja wiedzy o dawnej Polsce, jej obyczajach i systemie rządów, a przede wszystkim o czynnikach, które doprowadziły finalnie do upadku państwa.

Jeśli wspomniane utwory literackie i eseistykę uznać za publikacje nie tyle gloryfikujące, co przedstawiające polską przeszłość jako powód do dumy, to na drugim biegunie znajdują się książki przesyczone lewicową ideologią. Czternaście lat temu ukazało się „Fantomowe ciało króla” Jana Sowy, proponujące całkowicie odmienną, dla wielu szokującą interpretację dziejów Rzeczpospolitej Obojga Narodów. Upraszczając tezy autora: polsko-



„Konstytucja 3 maja 1791 roku”, Jan Matejko.



„Potęga Rzeczypospolitej u zenitu. Złota wolność.
Elekcja R.P. 1573”, Jan Matejko.

-litewskie państwo elekcyjne stopniowo przeistaczało się w federację państw magnackich. To zaś blokowało wszelkie próby unowocześnienia, doprowadzając do rozbiorów w wykonaniu unowocześniających się sąsiadów. Pomijając fakt, że Rosję z ery Katarzyny Wielkiej trudno uznać za nowoczesną, to tego rodzaju „neostańczyzm” jest dla autora przede wszystkim punktem

wyjścia do ataku na grupę, *de facto* i *de iure*, obywateli owej Rzeczypospolitej – na szlachtę.

Trzeba zaznaczyć, że roli magnaterii i mas szlacheckich w destrukcji własnego państwa nie kwestionują autorzy, który zachęcają czytelnika do dumy z tradycji Pierwszej Rzeczypospolitej. Sowa jako pionier, a za nim i inni lewicowi publicyści próbują przeciwstawiać „ciemną” polską szlachtę i cyniczną magnaterię rzekomo postępowym zmianom, jakie miały miejsce na zachodzie Europy. Wedle nich w obawie przed postępowymi wpływami z Zachodu w XVIII w. dzieciom szlacheckim zakazywano podróży za granicę. Tymczasem liczba pamiętników i relacji z podróży i pobytów młodych arystokratów i ziemian w państwach zachodniej Europy z tego okresu nie jest bynajmniej mała, podobnie jak ich korespondencja. Nie jest to zresztą jedyna półprawda w pracy Jana Sowy.

Jak owa modernizacja zachodnich państw miała się naprawdę, pokazać może przykład Francji. W Polsce posiadająca prawa obywatelskie szlachta stanowiła, wedle różnych obliczeń, od kilku do kilkunastu procent ludności. We Francji – około jednego procenta. Dola formalnie wolnych, ale zdanych na łaskę dzierżawców chłopów w wielu regionach Francji była koszmarna. W Polsce – zależnie od regionu. Jeśli Polska była państwem głupców i wyzyskiwaczy, to dlaczego w postępowej Francji wybuchła rewolucja przeciwko staremu porządkowi?

I Sowa, i inni lewicowi publicyści próbują na siłę dołączyć Polskę do państw kolonialnych. Co prawda – argumentują – Rzeczpospolita nie miała plantacji i niewolników w Ameryce Południowej czy na Antylach, ale polscy panowie niczym niewolników traktowali ukraińskich chłopów. Stosowanie do realiów XVII w. współczesnych etykiet narodowościowych: Polak, Litwin, Ukrainiec – jest anachronizmem. Jeśli iść za tą (anty)logiką, to Ukraińców wyzykali Ukraińcy: Ostrogscy, Wiśniowieccy, magnateria kresowa, do których znacznie później dołączyli magnaci z innych części Korony. Stawianie znaku równości między poddaństwem chłopów a niewolnictwem jest tak samo zasadne, jak zrównywanie sowieckich łagrów i pracy w angielskich fabrykach w erze Dickensa.

Lewicowa wizja „pańskiej Polski” – kraju idiotów, sadystów i wyzyskiwaczy – ma wiele wspólnego z gloryfikacją ustroju tego państwa. Jest po prostu nieprawdziwym uproszczeniem, które ma wywołać w Polakach poczucie winy i wstydu. To tak, jak obarczanie odpowiedzialnością za upadek państwa przede wszystkim czynników zewnętrznych ma zdjąć z nas przykry obowiązek refleksji nad obywatelską odpowiedzialnością.

Wokół historycznych klisz

Na szczęście żadna historia nie jest czarno-biała. I różne odwołanie historii przedrozbiorowej Polski są jej atutem. Budzą emocje i inspirują do dyskusji, która pozwala wyciągać wnioski na przyszłość.

Za przykład mogą posłużyć historyczne klisze, chętnie powielane w publicystyce. Ot, choćby rzekomy cud wieloetnicznej Rzeczpospolitej, w której żyli obok siebie Polacy, Litwini, Niemcy, Ukraińcy. Nie mówiąc o Żydach i Ormianach. Postrzeganie tego w kategoriach globalnej osobliwości wynika z przykładania nowoczesnych miar do dawnych czasów, w szczególności zaś pojęcia narodowości rozumianej jako wspólnota krwi, kultury i języka. Tym, co definiowało podziały wśród ludzi XVI i XVII w., była, po pierwsze, religia, a po drugie – przynależność stanowa. Kresowcy magnat, posługujący się na co dzień językiem ruskim, miał nieskończenie więcej wspólnego z polskim właścicielem ziemskim z Wielkopolski niż z ruskim mieszczańinem, o chłopie nie wspominając. Katolicki szlachcic mógłby zaś zareagować bardzo brutalnie na wrzucenie go do jednego worka z herbowym arianinem. Podobnie jak litewski ziemianin na sugestię, że ze żmudzkiem chłopem tworzy jeden naród. Co zaś mówić o Polsce – wystarczy znowu przywołać przykład Francji, gdzie dopiero rewolucja zapoczątkowała faktyczną unifikację społeczeństwa pod hasłem jednego narodu. I bynajmniej jej nie sfinalizowała.

Idźmy dalej: złota wolność szlachecka, w przypadku której pamięć mamy często wybiórczą. Jeśli chodzi o polski parlamentaryzm, artykuły henrykowskie – tym lubimy się chwalić. Ale już wolną elekcję nie za bardzo. Tymczasem proces deformacji ustroju

Polski i paraliżu państwa przypominał zjazd na rowerze ze stromej góry. Na początku wszystko wygląda pięknie, budzi euforię, ale jeśli w porę nie naciśnie się hamulca, to musi skończyć się katastrofą. Osłabianie władzy królewskiej przy braku możliwości stworzenia innego sprawnego i silnego ośrodka władzy musiało skończyć się tragedią. Na tym tle pierwsze *liberum veto* posła Sicińskiego nie jest żadnym wypadkiem przy pracy, ale konsekwencją rozkładu państwa. Parlamentaryzm angielski poszedł wszak inną drogą, ale też towarzyszyła temu inna droga rozwoju angielskiego społeczeństwa. Warto więc patrzeć na cały proces i z całego procesu wyciągać wnioski, a nie wybierać sobie tylko to, co wydaje się godne podziwu.

Zahaczmy o czasy saskie, przedstawiane (słusznie) jako dziesięciolecie politycznego upadku i (niesłusznie) jako okres ciemnoty, z którego wydobyła nas w końcu opiekuńcza dłoń oświeconego króla Stanisława Augusta. Biblioteka Załuskich, Collegium Nobilium, wielkie prace historyczne i źródłowe, jak na przykład zbiór praw i konstytucji sejmowych „*Volumina Legum*” czy do dziś cenny herbarz Kaspra Niesieckiego – to wszystko inicjatywy jeszcze czasów saskich. Nawet wyszydzany tradycyjnie ksiądz Benedykt Chmielowski i jego encyklopedia „*Nowe Ateny*” nie są żadnym pomnikiem sarmackiej ignorancji, ale pracowicie ułożoną syntezą ówczesnych prac naukowych. Nie do księdza Chmielowskiego należy mieć pretensję o taki, a nie inny stopień rozwoju nauki połowy XVIII w. Mówimy o czasach, gdy „oświecone” dzieła zachodnie z całą powagą traktowały teorie o alchemicznym przemianowaniu metali w złoto.

I na koniec kilka słów o narodowym micie Konstytucji 3 maja – przedsięwzięcia mądrych, chcących reformy ojczyzny patriotów, któremu kres położyła rosyjska interwencja. Nie dodaje się jednak tak chętnie, że plan patriotów przypominał dom stawiany na piasku. Założenie, że uwalniając się spod rosyjskiej kurateli, słaba Rzeczpospolita zawiąże sojusz z innym rozbiorowym mocarstwem, Prusami, które to Prusy będą wspierały sąsiada w odbudowie stabilności i uporządkowaniu wewnętrznych spraw, słusznie wydaje się absurdalne. Jaki cel miałyby Prusy, które dwie dekady wcześniej okroili Polskę, a cały czas miały chrapkę na Gdańsk, we wspieraniu polsko-litewskiego państwa? Skończyło się, jak skończyć musiało: skuteczną interwencją rosyjską, której kibicowały Prusy. Być może, tak czy inaczej, w ciągu kilku lub kilkunastu lat Polska zniknęłaby z mapy Europy, jednak to nie rozgrzesza naiwności stronnictwa propruskiego.

Jak widać na tych kilku przykładach, jest nad czym dywagować i o co się spierać. Dlatego warto, by polityka historyczna – odwołująca się do rozumu, a nie oparta na kliszach – sięgała dalej niż tylko w wiek XX. Pierwsza Rzeczpospolita może i powinna być dla współczesnych ciekawą lekcją, a także źródłem nowego opowiadania świata o Polsce.

Jak wyglądały transformacje nowoczesności III Rzeczypospolitej

Podsumowanie wystawy w Muzeum Narodowym w Krakowie



© KAKA MEDIA

Andrzej Szczerski – historyk sztuki, profesor nauk humanistycznych, wykładowca w Instytucie Historii Sztuki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Od stycznia 2020 r. dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie. W latach 2009–2017 prezes Sekcji Polskiej Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków Sztuki AICA. Wiceprzewodniczący Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa. Kurator wystaw w Polsce i za granicą, m.in. „The Power of Fantasy. Modern and Contemporary Art from Poland” w Bozar w Brukseli (2011), „#dziedzictwo” w Muzeum Narodowym w Krakowie (2017), „Young Poland. An Arts and Crafts Movement” w William Morris Gallery w Londynie (2021), „Stanisław Wyspiański: Portraits” w National Portrait Gallery w Londynie (2025). Pomysłodawca i współautor wystaw z serii „4 x nowoczesność” w Muzeum Narodowym w Krakowie (2021–2024). Autor licznych publikacji poświęconych sztuce współczesnej oraz sztuce XX i XXI w. Stypendysta polskich i zagranicznych organizacji i instytucji badawczych. W 2018 r. uhonorowany Nagrodą Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w kategorii „Ochrona dziedzictwa kulturowego”. Odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (2023). W październiku 2022 r. otrzymał tytuł Promotora Polski, przyznawany przez Fundację Polskiego Godła Promocyjnego.

- Cykl „4 x nowoczesność” miał posłużyć jako swego rodzaju test i analiza problemu, na ile polska kultura potrafiła zmierzyć się z hasłem „nowoczesność” w trzech obszarach: sztuce, designie i architekturze.
- Dzisiaj nie jest problemem znalezienie nadawców, ale odbiorców dla coraz większej ilości informacji.
- Celem pierwszej części wystawy, odnoszącej się do postmodernizmu, było podkreślenie dynamiki kreatywnej wolności początku lat 90. i zwrócenie uwagi na zakwestionowanie pryncypiów, zwłaszcza charakterystycznych dla awangardy.
- Musimy stawiać wyraziste tezy, stąd pomysł na wykorzystanie pojęcia neomodernizmu, które opisuje prace powstałe po roku 2000, kiedy następuje powrót do myślenia o pragmatyce, funkcjonalności, racjonalizacji i ekonomizacji.
- Solidarność i wspólnota są nam dzisiaj jeszcze bardziej potrzebne niż wtedy, gdy zaczynała się transformacja.

Z prof. **Andrzejem Szczerskim** rozmawia Anna Karahan.



Dokumentacja fotograficzna tzw. wydarzeń studenckich w Krakowie w latach 1988–1989, Tomasz Łojewski.

Anna Karahan: Wystawa „Transformacje. Nowoczesność w III RP”, zamykająca cykl „4 x nowoczesność” kontynuowany przez Muzeum Narodowe w Krakowie od 2021 r., zachęca do podróży przez artystyczne interpretacje nowoczesności i jej transformacji po 1989 r.

Andrzej Szczerski: Cykl „4 x nowoczesność” miał nam posłużyć jako swego rodzaju test i analiza problemu, na ile polska kultura potrafiła zmierzyć się z hasłem „nowoczesność” w trzech obszarach: sztuce, designie i architekturze. Wieńcząc go wystawa dotyczyła czasów po roku 1989, czyli najnowszego doświadczenia związanego z transformacją postkomunistyczną w wymiarze ekonomicznym, technologicznym, społecznym i kulturowym.

Istotne było dla nas zwrócenie uwagi na trzy sposoby myślenia o nowoczesności: postmodernizm z zaproponowaną wtedy reinterpretacją nowoczesności; neomodernizm, czyli powrót do myślenia modernistycznego po roku 2000; i wielogłos – charakterystykę naszych czasów, równoległości poszukiwań tego, co to znaczy być nowoczesnym oraz w jaki sposób dzisiaj możemy to hasło rozumieć.

AK: W holu Muzeum, tuż przed wejściem do sal ekspozycyjnych, ustawiono dzieło Konrada Smoleńskiego „The End of Radio”, będące metaforą dzisiejszych czasów. Dwieście mikrofonów ułożonych w formie wznoszącej się fali działa jak nadajniki emitujące szum i niezidentyfikowane dźwięki zebrane w trakcie sondy ulicznej, nie pełniąc tym samym funkcji, do jakiej są przeznaczone.

AS: Tytułowy koniec radia można rozumieć jako odwrócenie hierarchii komunikacji, jaką dzisiaj obserwujemy. Koniec dawnej funkcji mediów jako źródła autorytatywnej informacji, mediów, które najpierw zbierają dane, a następnie poddają je weryfikacji i selekcji, tworząc ustalony komunikat do przyjęcia przez odbiorców. Dzisiaj jest odwrotnie: za sprawą mediów społecznościowych i innych sposobów komunikacji mamy dużo więcej nadawców niż kiedykolwiek wcześniej. Nastąpiło rozproszenie źródeł informacji, nie ma już wyraźnej hierarchii, jednej narracji, która dominuje i powinniśmy ją zaakceptować; słychać coraz więcej głosów. Paradoksalnie taka komunikacja jest z jednej strony oznaką wolności i demokracji, pozwalając wybrzmieć wielu bardzo różnym osobom i treściom, które wcześniej mogłyby się nie przedostać przez przyjęte przez nadawcę kryteria selekcyjne, ale jednocześnie konsekwencją takiej sytuacji są szum, brak czytelności, rozproszenie, kakofonia dźwięków, które emituje instalacja Konrada Smoleńskiego. Dwie strony tego samego medalu charakteryzującego nasze czasy. Jak podkreśla artysta, dzisiaj nie jest problemem znalezienie nadawców, ale odbiorców dla coraz większej ilości informacji. Wpływa to na sposób, w jaki się komunikujemy, w jaki powstaje współczesna sztuka, architektura czy design.

Wystawę otwierają zdjęcia z demonstracji organizowanych przez podziemne organizacje studenckie w latach 1988–1989. Były one znakiem tego, co nazywano surrealizmem socjalistycznym na koniec upadku systemu, kiedy dochodziło do przekształcenia dawnej rzeczywistości. Widzimy zatem pewien rodzaj karnawału wolności w wykonaniu studentów kpiących z realiów życia w PRL. Ta właśnie transformacja, będąca przykładem końca, a jednocze-

Wystawa „Transformacje. Nowoczesność w III RP” zamknęła projekt „4 x nowoczesność” i razem z wiedzą i doświadczeniem zebranych podczas poprzednich wystaw: „Polskie style narodowe 1890–1918” (2021), „Nowy początek. Modernizm w II RP (2022) i „Nowoczesność reglamentowana. Modernizm w PRL” (2023) zostanie wykorzystana do opracowania scenariuszy stałych ekspozycji w gmachu dawnego hotelu Cracovia, który po adaptacji przez Biuro Projektów Lewicki Łatak stanie się nowym oddziałem Muzeum Narodowego w Krakowie, poświęconym polskiej architekturze i designowi XX i XXI w.



Godło „Teraz Polska”, Henryk Chyliński, 1992 r.



„Habitat”, Katarzyna Józefowicz, 1993–1996.

śnie wybuchu pewnej kreacji, kreatywności myślenia o tym, co nas będzie czekać, stała się znakiem rozpoznawczym tej wystawy.

AK: Postmodernizm negował dotychczasowe doktryny, łamał konwencje i manifestował się w niepohamowanej różnorodności form. Eksperymentowano z nowymi ideami, przekraczaniem tabu, kulturą popularną, a nawet kiczem.

AS: Celem pierwszej części wystawy, odnoszącej się do postmodernizmu, było zestawienie w maksymalnie różnorodny sposób obiektów, które zwykle na wystawach pokazywane są oddzielnie: architektury, designu i sztuki. Została ona oparta na dwóch odmiennych, ale komplementarnych założeniach, czyli podkreśleniu dynamiki kreatywnej wolności początku lat 90. i zwróceniu uwagi na zakwestionowanie pryncypiów, zwłaszcza charakterystycznych dla awangardy i przez postmodernistów uważanych za przestarzałe, jak wiara w postęp i racjonalistyczne projektowanie przyszłości.

Przykładem może tu być zestawienie dwóch plakatów: „W samo południe” Tomasza Sarneckiego – znaku rozpoznawczego pierwszych częściowo wolnych wyborów w 1989 r., będącego nowatorską trawestacją ikonicznej postaci z głośnego tytułowego westernu, którą zamieniono w symbol wolności, oraz plakatu utrzymanego w estetyce tzw. typó polski, który projektant Jakub Stępień stworzył na podstawie szyldów wykonywanych przez nieprofesjonalnych grafików dla powstających wtedy prywatnych sklepów i punktów usługowych. Te robione ręcznie projekty przy wykorzystaniu najprostszych technik i materiałów były znakiem rodzącego się na nowo polskiego kapitalizmu, ale i przykładem odrzucenia jakichkolwiek reguł projektowych, przede wszystkim tych wywodzących się z tradycji awangardowej.

W tej części ekspozycji znalazły się również przykłady ubrań z kolekcji uznanego projektanta Mody Polskiej Jerzego Antkowiaka czy debiutującego w latach 90. Arkadiusza Weremczuka (Arkadiusa). Utrzymane są one w klimacie charakterystycznych dla tego okresu hybrydyzacji, żartu, zabawy, ironii. Ten sposób myślenia widać też w designie, po części również w architekturze.

Z kolei kompleks Droga Czterech Bram (projekt Dariusza Kozłowskiego z zespołem), należący do Wyższego Seminarium Duchownego Polskiej Prowincji Zgromadzenia Zmartwychwstańców, to jedyna w Polsce, na taką skalę, budowla sakralna wpisująca się w inny postmodernistyczny fenomen, czyli powroty do narracyjności architektury. W tamtych czasach krakowski kompleks budynków był prawdziwym przełomem w architekturze polskiej. Pokazujemy także późniejsze projekty architektoniczne – będące grą z historią, co widzimy na przykładzie odbudowy Elbląga czy siedziby BRE Banku w Bydgoszczy, albo łączące architekturę i naturę, jak ogrody na dachu Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie.

Natomiast monumentalny fotomontaż Zofii Kulik „Wszystkie pociski są jednym pociskiem”, zestawiający różne elementy kojarzące się z totalitaryzmami, porusza jeszcze inną bardzo ważną kwestię. Odnosi się on do przekonania, że czasy komunizmu pozostawiły w nas nieusuwalny ślad za sprawą perswazyjnej wizualizacji przemocy służącej podporządkowaniu tego, co nazywano ludzką masą. Ta trauma z przeszłości nie pozwala o sobie zapomnieć i tkwi w naszej podświadomości. Interpretowana w kontekście postmodernizmu, praca Zofii Kulik pokazuje, że nasza pamięć nie jest uporządkowana w czytelny sposób, wiele wspomnień układa się w swego rodzaju ornament, gdzie dramat występuje obok

groteski, to, co wzniosłe, obok tego, co paradoksalne lub całkiem zwyczajne. Tak też pamiętamy dziś czasy totalitaryzmów.

Emblemat z klocków Lego „Królowa Midas szuka Bugsa” (grupa Marka Kijewskiego), krzesła niesłużące do siedzenia, instalacje i rzeczy wykonane bez sensu i celu (Piotr Jaros) czy też performanse i projekcje na ważnych obiektach odwracające ich znaczenie (Krzysztof Wodiczko) stają się artystycznym komentarzem tamtego okresu prowokującym pytania: co zastąpi dotychczasowe hierarchie i czy totalny konsumpcjonizm zastąpi miniony totalitaryzm?

AK: Kolejna część wystawy wyraźnie pokazała, że dekadę później scenę artystyczną zdominował odczytany na nowo modernizm. Zyskały praktyczność, prostota form, minimalizm i oszczędność.

AS: Kiedy projektujemy takie wystawy, musimy stawiać wyraziste tezy, stąd pomysł na wykorzystanie pojęcia neomodernizmu, które nie zostało jeszcze powszechnie zaakceptowane do opisu zmian, jakie nastąpiły na przełomie wieków. Prace, które tu zobaczyliśmy, powstały po roku 2000, kiedy następuje powrót do myślenia o pragmatyce, funkcjonalności, racjonalizacji i ekonomizacji. Na nowo odkrywa się dziedzictwo architektury modernistycznej, sięgając do lat 20. i 30. XX w., ale i czasów PRL. Architektura świetnie się wpisuje w światowe trendy nowoczesności, ale i odpowiada na lokalną specyfikę konkretnych projektów, jak domy prywatne, budynki publiczne czy biurowce studia JEMS Architektki, Roberta Koniecznego czy Tomasza Koniora.

Polski design także potrafi stopniowo podejmować konkurencję na rynku globalnym. I jak się okazuje, w takim momencie myślenie modernistyczne łączące nowoczesne technologie i materiały z potrzebami współczesnych użytkowników jest najlepsze. Powstają wtedy funkcjonalne meble, ubrania sportowe i wojskowe, urządzenia pomagające w rehabilitacji, ładowarki elektryczne do samochodów, skanery 3D, zaawansowana optyka, technologia Blik, ale i zabawki dla dzieci, nowe kroje pisma czy nowatorska identyfikacja wizualna.

Wraz z transformacją gospodarki i otwarciem granic pojawia się też potrzeba stworzenia znaku promocyjnego polskich produktów i usług. I tak powstało logo „Teraz Polska” (1992 r., prof. Henryk Chyliński), a potem logo dla Polski Wally’ego Olinsa (2014 r.). Oba odnoszą się do myślenia modernistycznego, systemu opartego na geometrii i czytelności. Logotyp Olinsa wzbudził jednak mnóstwo bardzo skrajnych emocji i nie jest dzisiaj tak popularny i rozpoznawalny, jak logotyp „Teraz Polska”.

W sztuce natomiast na nowo odkryto tradycję awangardową, kierując się zarówno ku abstrakcji i surrealizmowi, jak i ku działaniom o wymiarze społecznym. Dobrym przykładem są tu projekty Joanny Rajkowskiej, m.in. Pasaż Róży w Łodzi, wykonany z fragmentów rozbitych lusterek, odnoszący się do widzenia jako fenomenu kształtowanego nie tylko przez biologię, ale też procesy intelektualne i kulturowe, nawiązujący w ten sposób do „Teorii widzenia” Władysława Strzemińskiego.



© ANNA KARAHAN (3)

W tle: „Jaskinia Darwina”, Jakub Julian Ziółkowski, 2016 r.
Na pierwszym planie: „Wazony z serii Barwa”, Magda Jurek, 2023 r.; „Wazony ceramiczne”, Malwina Konopacka, 2022 r.

AK: Ostatnia część wystawy, nosząca tytuł „Wielogłos”, pobudza do refleksji nad szansami i zagrożeniami, jakie przyniosła nam transformacja. Jest komentarzem wobec historii modernizmu i problemów naszej współczesności: cyfryzacji, zmian w sposobie życia, kształtowania przestrzeni prywatnej i publicznej, emancypacji. Jest także dialogiem z naturą w kontekście zrównoważonego rozwoju.

AS: Mówimy zarówno o dialogu, jak i otwartej debacie, w której uwzględniać powinniśmy pluralizm i odmienne perspektywy patrzenia na powyższe kwestie, traktując taki wielogłos jako bogactwo współczesności. Nie pokazujemy już nawet niedawnej historii, ale tendencje, które nas dzisiaj kształtują. Dla nowoczesności bardzo ważna była zawsze wolność jednostki, emancypacja osobista, która obecnie przekształca się w kulturę indywidualizmu i aż do przesady traktuje potrzebę wyróżniania się, często za cenę relacji z innymi ludźmi. Mówi o tym wiele prac, m.in. Oskara Dawickiego, który jeździł po Polsce i Europie i zbierał swoje portrety tworzone przez ulicznych rysowników (każdy z nich jest inny), czy rzeźba Olafa Brzeskiego „Upadek człowieka, którego nie lubię”, czyli historia narcystycznego człowieka, który mierzy się ze swoimi problemami wewnętrznymi, szukając winy na zewnątrz i życząc śmierci nie lubianemu sąsiadowi, którego obarcza odpowiedzialnością za swoje niepowodzenia. Potrzeba wyróżniania się przejawia się też w formie indywidualnych projektów architektonicznych domów prywatnych oraz w projektowaniu produktów podkreślających swoją unikalność, na przykład naczyń ceramicznych z odbitymi na nich liniami papilarnymi ich twórców lub sukienek z elementami origami, które użytkownicy mogą indywidualnie układać.

AK: Kolejnym elementem wielogłosu jest dialog z historią, gdyż dzisiejsi twórcy lubią patrzeć w przeszłość, by szukać tam inspiracji.



Krzesło Eke, Nikodem Szpunar, 2020 r.;
Krzesło Peel, Anna Vonhausen, 2022 r.;
Fotel Palo, Piotr Kuchciński, 2023 r.

AS: W swoich pracach artyści odnoszą się do różnych przestrzeni architektonicznych z czasów PRL (rzeźby Moniki Sosnowskiej) czy ówczesnych mieszkań (rzeźba Katarzyny Józefowicz), które miały być piękne i służyć człowiekowi, a często zostały przekształcone w niefunkcjonalne, karykaturalne i opresyjne wnętrza. W ironiczny sposób artyści dekonstruuja mity nowoczesności, czego przykładem jest praca „Ojcowie awangardy” Grzegorza Sztwiertni ukazująca łóżeczko dziecięce, dekorowane na wzór twórczości Pieta Mondriana, które pomaga uczyć najmłodszych, jak być nowoczesnym od kołyski. Z kolei Elżbieta Jabłońska pokazuje, że fikcyjny mit supermana zamienić należy na mit supermatki.

W tej części poznajemy też historie alternatywne, jako sposób na ucieczkę od toczących się nieustannie historycznych sporów i debat na temat prawdziwej przeszłości; Robert Kuśmirowski stworzył komputer przenoszący ludzi w czasie, a Jakub Woynarowski opracował identyfikację wizualną dla państwo polsko-słowackiego.

Niezwykle ważne są też projekty i pomniki dotyczące pamięci o II wojnie światowej, na przykład Dom Kereta w Warszawie (Jakub Szczesny), akcja polegająca na przewiezieniu z Brzezinki i posadzeniu w Berlinie kilkuset drzew (Łukasz Surowiec) czy żonkile dla Muzeum Polin upamiętniające wybuch powstania w getcie (Helena Czernek).

AK: Kolejnym odkryciem tego współczesnego wielogłosu jest lokalność. Moderniści też zwracali uwagę na projektowanie organiczne, zwłaszcza na zakorzenienie danego projektu w środowisku, w którym powstawał.

AS: Dzisiaj chętniej mówimy o lokalnych tożsamościach i to bardzo inspiruje twórców. W ten sposób powstały: krój pisma stworzony na podstawie liternictwa stosowanego w Nowej Hucie, diamenty z węgla wykonane przez bezrobotnych górników w Bytomiu jako forma projektu społecznego i poszukiwania dla nich dodatkowego źródła dochodu, wyszywane obrusy na wzór tych tradycyjnych z Podlasia.



Bez tytułu (Solidarność), Piotr Uklański, 2007 r.

W swoich pracach artyści nawiązują też do relacji człowiek – przyroda, wykorzystując zarówno naturalne materiały czy techniki, jak i inspiracje przyrodą przy projektowaniu obiektów i elementów konstrukcji architektonicznych (Krzysztof Ingarden, Jarosław Koza-kiewicz), ale też tworząc prace, w których natura odzyskuje dla życia produkowane przez cywilizację odpady czy tereny przemysłowe.

Współczesne przekonanie o równości ludzi powinno łączyć się z potwierdzeniem konieczności współpracy, budowania solidarności, także przez instytucje czy inicjatywy społeczne. O tym mowa w ostatniej części wystawy, gdzie podkreślamy również wartość otwartości i uniwersalnej dostępności w projektowaniu i architekturze. Przykładami mogą być: dom pomocy społecznej siostry Chmielewskiej, tyflografika z Ogrodu Botanicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego przekazująca wiedzę o roślinach osobom niewidomym czy alfabet dla osób z afazją.

Wystawa opowiada o pozytywnych efektach transformacji, o doświadczeniu rozwoju, emancypacji, awansu materialnego Polski na skalę, której w 1989 r. nikt się nie spodziewał, ale kończy się obrazem Marcina Maciejewskiego odnoszącym się do wojny w Ukrainie i masakry ludności cywilnej przez armię rosyjską w Buczy. Pod abstrakcyjnym czarnym prostokątem, wyrażającym doskonale piękno nowoczesnej abstrakcji, kryją się ciągle demony wojny, a naszym oczom ukazuje się fragment obrazu „Guernica”. Natomiast praca Piotra Uklańskiego – dwie fotografie znaku graficznego NSZZ Solidarność ułożonego z ludzi – zostawia nas z pytaniem, co zrobiliśmy dzisiaj z dziedzictwem Solidarności i wolnością odzyskaną dzięki niej w 1989 r. Jak moderować współczesny wielogłos, aby budować nie antagonizmy, lecz przestrzeń wspólną, wspierając zbiorową i jednostkową emancypację tak, aby ich nie przeciwstawiać, a łączyć? Solidarność i wspólnota są nam dzisiaj jeszcze bardziej potrzebne niż wtedy, gdy zaczynała się transformacja.

Ekspozycję przygotował zespół kuratorski w składzie:

prof. dr hab. Czesława Frejlich, Alicja Kilijańska, Joanna Regina Kowalska, Agata Małodobry, prof. dr hab. Andrzej Szczerski, dr Katarzyna Uchowicz.



Promotorzy Polski ze Śląska, czyli o

Fundacja Polskiego Godła Promocyjnego przyznała tytuł Promotora Polski ze Śląska. W Międzynarodowym Centrum Kongresowym podczas Europejskiego Kongresu Gospodarczego 2025 uhonorowano trzy wybitne postacie, których dokonania wykraczają daleko poza granice Śląska, a jednak zawsze prowadzą z powrotem do tego regionu.

Dr Magdalena Piekorz, prof. Edward Wylęgała i Ryszard Bosek dołączyli do elitarnego grona laureatów tytułu Promotora Polski. Ta nagroda to nie tylko wyróżnienie za osiągnięcia, ale także uznanie dla roli laureatów w decentralizacji kultury, nauki, sztuki, biznesu i sportu oraz w budowaniu Polski, która rozwija się dzięki swoim fantastycznym i silnym regionom.

Magdalena Piekorz i siła opowieści

Dr Magdalena Piekorz, reżyserka i scenarzystka, laureatka Złotych Lwów, od lat udowadnia, że wielka sztuka filmowa może powstawać poza Warszawą. Jej filmy, pełne emocjonalnej głębi i uniwersalnych prawd, często czerpią ze śląskiej tożsamości, ale przemawiają do widzów w całej Polsce i poza jej granicami. Piekorz nie tylko tworzy, ale także edukuje, współpracując z lokalnymi ośrodkami kultury. Jak zauważył podczas gali Michał Lipiński, dy-

rektor Konkursu „Teraz Polska” i prowadzący uroczystość: „Laureatów łączy coś więcej niż sukces, łączy ich odpowiedzialność za sposób, w jaki reprezentują Polskę”. W przypadku Piekorz oznacza to pokazywanie świata, w którym prowincja nie jest peryferiami, lecz źródłem autentycznych opowieści.

Prof. Edward Wylęgała i rewolucja w okulistyce

Gdy mówimy o innowacjach w polskiej nauce, nie sposób pominąć nazwiska prof. Edwarda Wylęgały, prorektora Śląskiego Uniwersytetu Medycznego. Jego pionierskie prace w dziedzinie chirurgii rogówki i diagnostyki okulistycznej nie tylko przywracają wzrok pacjentom, ale także stawiają Polskę w czołówce światowej medycyny. „Śląsk takimi talentami stoi” – podkreślił Krzysztof Przybył, prezes Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego. Wylęgała to przykład naukowca, który wybrał rozwój ma-



Uroczystość przyznania tytułu Promotora Polski ze Śląska.
Na sąsiedniej stronie, od lewej:
Wojciech Kuśpik, Edward Wylęgała,
Magdalena Piekorz, Ryszard Bosek, Krzysztof Przybył.

© KAKA MEDIA (2)

wadze decentralizacji idei i wartości

cierzystej uczelni, udowadniając, że najnowocześniejsze technologie mogą powstawać także poza największymi ośrodkami akademickimi.

Ryszard Bosek i sport jako narzędzie promocji

Ryszard Bosek, legenda siatkówki, mistrz olimpijski z Montrealu, od dekad promuje nie tylko sport, ale także wartości, które z niego płyną: dyscyplinę, pracę zespołową i regionalną dumę. Jako komentator i trener nieustannie przypomina, że Śląsk od zawsze był kuźnią sportowych talentów. Podczas gali prezes PTWP Wojciech Kuśpik zwrócił uwagę, że Europejski Kongres Gospodarczy to miejsce, gdzie spotykają się gospodarka, kultura i sport – dziedziny, które pozytywnie na siebie wpływają. Przykład Ryszarda Boska wskazuje, że sukcesy na parkiecie przekładają się na społeczny i ekonomiczny prestiż regionu.

Dlaczego to ważne?

Decentralizacja idei i siła regionów

Tegoroczni laureaci tytułu Promotora Polski ze Śląska to więcej niż wybitni profesjonalści – to ambasadorowie zmian, którzy udowadniają, że prawdziwy rozwój Polski polega na umiejętnym

łączeniu przywiązania do swojego regionu z ambicjami i talentem na światowym poziomie.

Na osobny akapit w kontekście rozmowy o regionach, w szczególności o Śląsku, zasługuje Europejski Kongres Gospodarczy, marka, której może nam pozazdrościć świat. Wydarzenie skupia wybitnych przedstawicieli sfery gospodarki, finansów, biznesu, administracji publicznej, polityki oraz tysiące ambitnych słuchaczy, którzy potrzebują najbardziej aktualnej wiedzy o kluczowych procesach wpływających na Polskę, Europę, świat. Kongres to unikalna wiedza o współczesności, a także – jak zauważa Kuśpik – „przestrzeń twórczego fermentu”, zaś nagroda Promotora Polski pokazuje, że nie ogranicza się on do gospodarki. Europejski Kongres Gospodarczy jest laureatem Godła „Teraz Polska”.

Gdy wielkie idee przestają być zmonopolizowane przez centrum, gdy Śląsk i Europejski Kongres Gospodarczy stają się sceną dla kluczowych współczesnych projektów, wtedy Polska naprawdę zyskuje. A laureaci Promotora Polski ze Śląska, jak powiedział Lipiński: „inspirują, edukują i niosą wartości”. I właśnie dlatego ich głosy są dziś tak potrzebne.

Kamil Broszko



Partnerzy i Patroni Konkursu „TERAZ POLSKA”

PARTNERZY GŁÓWNI KONKURSU „TERAZ POLSKA”



PARTNERZY POLSKIEGO PROGRAMU PROMOCYJNEGO



PARTNER GALI



PATRONI I PARTNERZY MEDIALNI



35 GALA
TERAZ
POLSKA



TERAZ POLSKA



© KAMIL BROSZKO

Wielce Szanowni Laureaci,

Witam Państwa w rodzinie „Teraz Polska”. W dynamicznie zmieniającym się świecie gospodarki rola firm-liderów staje się kluczowa w kształtowaniu zarówno krajowego, jak i globalnego krajobrazu ekonomicznego. W Polsce wiodące przedsiębiorstwa, na czele których można wymienić laureatów Godła „Teraz Polska”, inspirują swoją innowacyjnością, a także stają się motorem napędowym dla całej gospodarki, wyznaczając standardy i kierunki rozwoju.

Laureaci Godła „Teraz Polska” pełnią rolę katalizatora zmian. Ich sukcesy nie ograniczają się wyłącznie do spektakularnych wyników finansowych. Wprowadzając przełomowe technologie, udowadniają, że i polska innowacyjność nie ustępuje tym z bardziej rozwiniętych gospodarek. To właśnie takie przedsiębiorstwa wytyczają ścieżki, które inspirują inne firmy do sięgania po ambitniejsze cele. Ich odwaga w inwestowaniu w badania i rozwój, w kreowaniu nowych rozwiązań i wprowadzaniu na rynek produktów, które zdobywają międzynarodowe uznanie, jest dowodem na to, że Polska może aspirować do bycia globalnym liderem w wielu sektorach.

Promowanie takich przedsiębiorstw nie jest jedynie kwestią docenienia ich wysiłków – to strategiczny krok, który buduje kulturę sukcesu. Gdy głośno mówimy o Laureatach Godła „Teraz Polska” i stawiamy ich za wzór, budujemy przekonanie, że sukces jest możliwy dla każdego, kto odważy się mierzyć wysoko i ciężko pracować. Promocja takich firm ma również bezpośredni wpływ na przyciąganie inwestorów, którzy dostrzegają w Polsce dynamiczny rynek, pełen ogromnych możliwości.

W kontekście przyszłości gospodarczej Laureaci Godła „Teraz Polska” są jak latarnia, która wskazuje drogę w czasach niepewności. Polska, mająca wyjątkowe zasoby przedsiębiorczości, może dzięki nim nie tylko sprostać globalnym wyzwaniom, ale także wyznaczać nowe kierunki rozwoju. Potencjał polskiej gospodarki jest nieograniczony, a jej sukces na arenie międzynarodowej jest po prostu wynikiem świadomego działania, ciężkiej pracy i wiary w innowacyjność. Dlatego wspieranie i promowanie Państwa firm będzie dla nas wielką przyjemnością. Jeszcze raz serdecznie gratuluję.

Krzysztof Przybył
Prezes Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego

Szanowni Państwo,



© KAMIL BROZKO

Polska gospodarka, będąca jednym z motorów napędowych Europy Środkowo-Wschodniej, stanowi wyjątkowy przykład synergii przedsiębiorczości i adaptacyjności w zmieniających się warunkach globalnych. Współczesne trendy i historyczne uwarunkowania uczyniły Polskę liderem w regionie, co jest w dużej mierze zasługą wybitnych polskich przedsiębiorców – w szczególności Laureatów Godła „Teraz Polska” – którzy potrafią wyjątkowo skutecznie przekształcić wyzwania w szanse.

Gospodarka Polski wyróżnia się swoją odpornością na globalne zawirowania. Pomimo wyzwań związanych z pandemią COVID-19 czy napięciami geopolitycznymi polskie firmy wykazały zdolność do szybkiego reagowania i przystosowywania swoich strategii. Takie zwinne podejście, wzbogacone o głęboko zakorzenione wartości współpracy i przedsiębiorczości, stawia Polskę w korzystnej pozycji na arenie międzynarodowej. W kontekście europejskim Polska jest postrzegana jako przykład państwa, które potrafi skutecznie łączyć tradycyjne sektory gospodarki z wymogami dynamicznego rozwoju.

Kreatywność wielu polskich przedsiębiorców jest nie tylko inspiracją dla regionu, ale także źródłem optymizmu na przyszłość. Przykłady znakomitych Laureatów Godła „Teraz Polska” pokazują wielki potencjał, a często już utrwaloną pozycję na arenie międzynarodowej dzięki nowatorskim rozwiązaniom technologicznym, zaawansowanemu know-how i doskonałej jakości produktów. Jednocześnie wiele naszych firm dzięki silnym tradycjom w sektorach takich jak rolnictwo, przemysł maszynowy czy energetyka korzysta na znajdowaniu doskonałego balansu między tradycją a nowoczesnością.

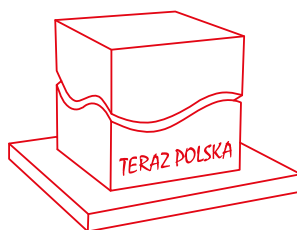
Unikalną cechą polskiej gospodarki jest jej zdolność do generowania kapitału ludzkiego o wysokim potencjale intelektualnym. Młode pokolenie przedsiębiorców i pracowników, które wychowało się w środowisku dynamicznych zmian i globalizacji, charakteryzuje się otwartością na współpracę międzynarodową i kreatywnością. Polska wyróżnia się też dynamicznym rozwojem edukacji wyższej, która potrafi wspierać innowacje i przedsiębiorczość, stając się jednym z filarów sukcesu gospodarczego.

Serdecznie gratuluję Państwu zdobycia Godła „Teraz Polska”, które potwierdza, że jesteście najlepsi w swojej dyscyplinie.

Prof. Michał Kleiber
Przewodniczący Kapituły Godła „Teraz Polska”

LAUREACI GODŁA „TERAZ POLSKA” W KATEGORII PRODUKTY

Przetwórstwo Mięsne „Płatek” Sp. j.	▶ seria wędlin
Spółdzielnia Mleczarska Udziałowców	▶ jogurt śmietankowy ze Strzałkowa bez laktozy z miliardem żywych kultur bakterii BB-12
Gospodarstwo Pasieczne Łysoń Sp. z o.o.	▶ seria batonów Miodowy Kłós
Currenda Sp. z o.o.	▶ AIMON – nowoczesny, zaawansowany system informacji prawnej, wykorzystujący rozwiązania sztucznej inteligencji
PPHU Polimat Sp. z o.o.	▶ wanny wolnostojące (Abi, Amona New, Kivi, Mango, Murena, Risa, Shila, Sola przyścienna, Sola narożna, Uzo, Zoe)
EkoTeak Sp. z o.o.	▶ systemy tarasowe z kompozytu drewna EkoTeak
Inmed SA	▶ kolumna sufitowa LISSAclassic
Meblik Sp. z o.o.	▶ meble dziecięce i młodzieżowe
Stolarstwo Tomasz Wróbel	▶ pomocnik kuchenny – Kitchen Helper
Przedsiębiorstwo Usługowo-Produkcyjne i Wdrażania Postępu Technicznego Uniwersal Sp. z o.o.	▶ wentylator dachowy ORA 160
PPHU Polmar Tomasz Matejczuk	▶ stabilizator ciągu kominowego / filtr dymowo-spalinowy Smartflow
Elko-Bis Systemy Odgromowe Sp. z o.o.	▶ modułowe maszty odgromowe
Canpack SA	▶ aluminiowa puszka do napojów 500 ml
Adamed Pharma SA	▶ Luteina dopochwowa 50 mg, 100 mg, 200 mg i Luteina podjęzykowa 50 mg
K&M Grupa Sp. z o.o.	▶ worki do odkurzaczy oraz pochłaniacz wilgoci



LAUREACI GODŁA „TERAZ POLSKA” W KATEGORII USŁUGI

Respect Energy SA	▶ sprzedaż 100% zielonej energii dla firm
Mikulewicz Ostaszewski Kancelaria Adwokacka SKA	▶ postępowanie restrukturyzacyjne dla przedsiębiorstw
CreoConcept Sp. z o.o. Sp. k.	▶ projektowanie i montaż rozwiązań aluminiowo-szklanych w przestrzeniach biurowych
Trasko Invest Sp. z o.o.	▶ usługi budowlane
Polski Standard Płatności SA	▶ BLIK – polski system płatności mobilnych
TUZ Towarzystwo Ubezpieczeń Wzajemnych	▶ Auto Casco All Risks
DLF Invest Sp. z o.o.	▶ Bałtów Kompleks Turystyczny

LAUREACI GODŁA „TERAZ POLSKA” W KATEGORII INNOWACJE

SARUAV Sp. z o.o.	▶ system SARUAV do detekcji ludzi na zdjęciach lotniczych jako narzędzie wspierające poszukiwanie osób zaginionych
Netrix SA	▶ hybrydowy tomograf do badania stanu budynków

WYRÓŻNIENIA

Soforek Sp. z o.o. Sp. k.	▶ wafle do lodów – kubek Amerykan i stożek słodki Genua
Transformo Sp. z o.o.	▶ oprogramowanie S4F do zarządzania instalacjami PV i magazynami energii wraz z oprogramowaniem do predykcji uszkodzeń



Stołeczna Estrada

Stołeczna Estrada to największa instytucja kultury miasta stołecznego Warszawy, która tworzy scenę kulturalną i rozrywkową stolicy, organizując festiwale, koncerty, widowiska, ważne rocznice i wystawy.

Od momentu powstania w 1955 r. Stołeczna Estrada niezmiennie angażuje, ciekawi i przyciąga swoją różnorodną ofertą artystyczną. W organizowanych przez instytucję eventach biorą udział dziesiątki tysięcy osób, zarówno mieszkańców miasta, jak i turystów z Polski i zagranicy.

Do najbardziej znanych wydarzeń organizowanych przez Stołeczną Estradę należą Koncerty Chopinowskie w Łazienkach Królewskich – muzyczna uczta z 66-letnią tradycją i stały punkt na kulturalnej mapie Warszawy. Przy pomniku Fryderyka Chopina wystąpili najbardziej znani polscy i zagraniczni pianiści – laureaci międzynarodowych konkursów, profesorowie i promotorzy muzyki polskiego kompozytora na całym świecie.

Atrakcją, która niezmiennie przyciąga mieszkańców i turystów, są również pokazy w Multimedialnym Parku Fontann. Od maja do września po zmroku na tafli wody rozgrywa się jedyne w swoim rodzaju świetlno-dźwiękowe widowisko. Projekcje wyświetlane na ekranie wodnym wzbogacone są o efekty laserowe, taniec kolorowych fontann oraz dodatkowe obrazy wyświetlane na ekranie diodowym. Każdy z pokazów ma swój motyw przewodni, powiązany z Warszawą, jej historią, legendami lub istotnymi dla miasta wydarzeniami.

Innym kultowym wydarzeniem, które już od prawie 30 lat angażuje warszawiaków i nie tylko, są odbywające się na Podzamczu Wianki nad Wisłą. Świątowanie początku lata rozpoczyna się od inspirowanego tradycją nocy kupały pikniku świętojańskiego, który przyciąga różnorodnymi warsztatami, występami ludowymi czy wspólnym wodowaniem ogromnego wianka. Wydarzenie wieńczy koncert polskich i zagranicznych gwiazd. Do tej pory na scenie wystąpili m.in. Hey, Budka Suflera, Brodka, Vito Bambino, Zalewski, Kwiat Jabłoni, Kayah, Myslovitz, Maryla Rodowicz, L.U.C., Europe, Katie Melua, Kosheen czy Lou Bega.

Uwagę przyciąga także organizowany od ponad 20 lat Festiwal Skrzyżowanie Kultur. To prezentacja najciekawszych zjawisk z zakresu muzyki i kultury świata, a zarazem jedno z największych wydarzeń tego rodzaju w Polsce. Był on wielokrotnie uznawany przez brytyjski „Songlines Magazine” za jeden z 25 najlepszych festiwali muzyki świata. Na scenie Teatru Dramatycznego spotykają się reprezentanci różnych kontynentów, kultur, pochodzeń etnicznych i stylów muzycznych. Oprócz koncertów w ramach festiwalu odbywają się warsztaty i panele dyskusyjne przybliżające ich uczestnikom inne kultury.

Stołeczna Estrada w 2025 r. obchodzi 70-lecie swojej działalności. Warto zaznaczyć, że na ten rok przypada również 80. rocznica odbudowy Warszawy, co oznacza, że już 10 lat po tym wydarzeniu Stołeczna Estrada rozpoczęła swoją misję w zakresie budowania kulturalnej i rozrywkowej sceny miasta. Misję tę z powodzeniem realizuje do dziś.



Naczelna Rada Zrzeszeń Handlu i Usług

Naczelna Rada Zrzeszeń Handlu i Usług od 1925 r. jest jedynym reprezentantem środowiska mikro- i małych przedsiębiorców działających w sektorze handlu i usług. Jako ogólnopolska organizacja przedsiębiorców reprezentuje interesy wielu grup zawodowych, w tym m.in. kupców, hotelarzy, gastronomików i restauratorów.

Członkami NRZHiU są zrzeszenia i stowarzyszenia (ogółem 29 organizacji terenowych, skupiających ok. 3 tys. członków), które wspierają rozwój mikro- i małych przedsiębiorców w sektorze handlu i usług w swoich regionach.

Zarówno NRZHiU, jak i jej organizacje członkowskie w ramach działalności statutowej prowadzą działalność naukową i oświatową. Założyły kilka szkół kupieckich (w Gdańsku, Poznaniu, Karpaczu), organizują Młodzieżowe Mistrzostwa Kucharzy i Barmanów, prowadzą Wyższą Szkołę Handlu i Usług w Poznaniu, działają na rzecz samorządu i społeczności lokalnych wspierających rozwój gospodarczy (obywatelski projekt zmian w Kodeksie pracy dotyczący ograniczenia czasu pracy, inicjatywa „Nie dla kradzieży od 1000 zł”, inicjatywa „Wolna niedziela”, kupieckie domy towarowe, Jarmarki Produktów Świeżych we Wrocławiu, Sopocie, Gdańsku, Władysławowie), a także na rzecz rozwoju społeczeństwa obywatelskiego.



Polskie Radio SA

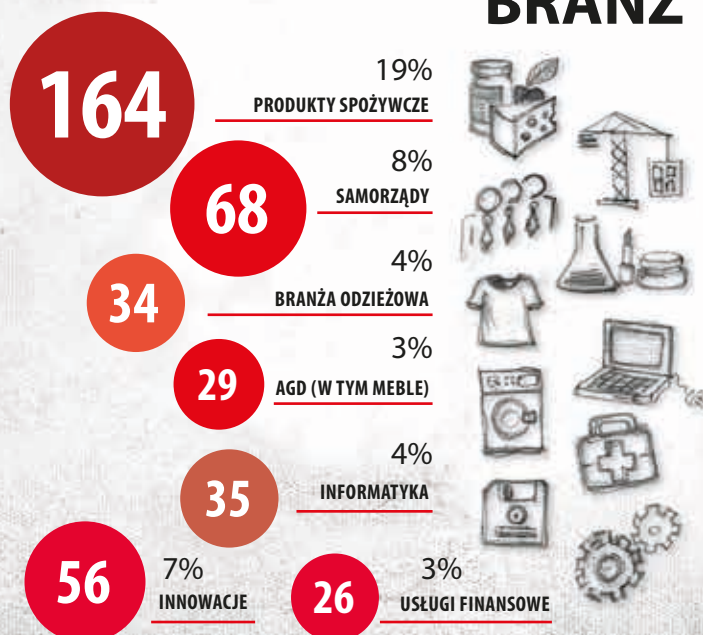
W 2025 r. przypada setna rocznica powstania Polskiego Radia – największego publicznego nadawcy radiowego w Polsce. Jest to okazja do uhonorowania dziedzictwa tej instytucji i przypomnienia, jaki był jej wkład w życie społeczne, polityczne i kulturalne. 1 lutego 1925 r. Polskie Towarzystwo Radiotechniczne nadało pierwszy komunikat, który zapoczątkował polską radiofonię. Od tamtej pory Polskie Radio odgrywa ważną rolę w historii i kulturze Polski – informując, edukując i dostarczając rozrywki kolejnym pokoleniom słuchaczy. Obecnie Polskie Radio to pięć ogólnopolskich programów: Jedynka, Dwójka, Trójka, Polskie Radio 24 i Polskie Radio dla Zagranicy oraz programy wyspecjalizowane: Czwórka, Polskie Radio Dzieciom, Polskie Radio Chopin, Polskie Radio Kierowców oraz Polskie Radio dla Ukrainy. Publiczny nadawca emituje audycje o szerokim przekroju tematycznym: informacyjne, publicystyczne, kulturalne, muzyczne i edukacyjne. Polskie Radio stworzyło także audycje, które zapisały się w historii polskiej kultury, m.in. letni program „Lato z Radiem”, „Cztery pory roku”, audycja Programu 3 „Zapraszamy do Trójki” czy najdłużej emitowane słuchowisko „Matysiakowie”. Dziś Polskie Radio to nie tylko tradycyjne fale radiowe, ale również nowoczesne media cyfrowe, podcasty i platformy online. Rozgłośnia stawia na rozwój i modernizację dotychczasowych rozwiązań i dostosowuje swoją ofertę do potrzeb współczesnych słuchaczy, dostarczając bogatą ofertę nagrań audio i wideo. Wzrost popularności podcastów w Polsce sprawił, że Polskie Radio systematycznie poszerza swoją ofertę i wprowadza nowe produkcje, dzięki czemu słuchacz ma dostęp do różnorodnych treści na żądanie.

LAUREACI

PODZIAŁ NA WOJEWÓDZTWA



UDZIAŁ PROCENTOWY LAUREATÓW Z POSZCZEGÓLNYCH BRANŻ



LAUREACI

PODZIAŁ ZE WZGLĘDU NA WIELKOŚĆ FIRMY (DANE Z LAT 2000–2024)

FIRMY MAŁE
MNIJ NIŻ 50
PRACOWNIKÓW

30%

FIRMY ŚREDNIE
51–250
PRACOWNIKÓW

42%

FIRMY DUŻE
WIĘCEJ NIŻ 250
PRACOWNIKÓW

28%

REKORDZIŚCI

WIELOKROTNI ZDOBYWCY
GODŁA „TERAZ POLSKA”



14%

PRODUKTY I USŁUGI
BUDOWLANE

124

6%

CHEMIA PRZEMYSŁOWA
I KOSMETYKI

52

5%

ELEKTRONIKA

46

6%

PRODUKTY
I USŁUGI MEDYCZNE

53

4%

MASZYNY
I URZĄDZENIA

35

16%
POZOSTAŁE

139

RAZEM 861

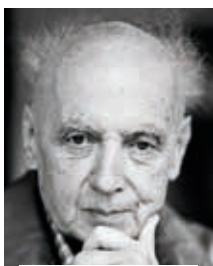


Konkurs „Wybitny Polak” 2025

Wtym roku po raz 13. Kapituła Konkursu „Teraz Polska” dokonała wyboru laureatów Konkursu „Wybitny Polak”.

Wielu Polaków rozsianych po całym świecie poprzez swoje dokonania zawodowe i zaangażowanie prospołeczne przyczynia się do propagowania i umacniania pozytywnego wizerunku naszego kraju. Fundacja Polskiego Godła Promocyjnego „Teraz Polska” postawiła sobie za cel prezentować i honorować te osoby, które dzięki swej działalności stają się ambasadorami marki Polska. Wśród laureatów Konkursu są zarówno Polacy mieszkający w kraju, jak i osoby na stałe przebywające poza jego granicami, często znane i szanowane na emigracji, a wciąż anonimowe w ojczyźnie. Do tej pory tytuł Wybitnego Polaka otrzymali: Wojciech Kilar, Hilary Koprowski, prof. Maria Siemionow, prof. Jacek Jassem, Adam Małysz, prof. Wiesław L. Nowiński, prof. Henryk Skarżyński, Rafał Olbiński, Krzysztof Penderecki, dr Janusz Lewandowski, prof. Marek Belka, Andrzej Wajda, dr Jan Kulczyk, Zygmunt Solorz-Żak, Waldemar Dąbrowski, dr Irena Eris, Elżbieta Wysoczańska, prof. Krzysztof Matyjaszewski, Jan A.P. Kaczmarek, Krzysztof Pastor, prof. Michał Heller, Jerzy Skolimowski, Kamil Stoch, Andrzej Pągowski, Krzysztof Zanussi, Marcin Gortat, prof. Andrzej Krakowski, Iga Świątek, prof. Mirosław Ząbek.

Konkurs „Wybitny Polak” jest przeprowadzany w edycji krajowej i zagranicznej, w pięciu kategoriach: Biznes, Kultura, Nauka, Osobowość, Młody Polak. W edycji krajowej kandydatury były zgłaszane przez członków Kapituły Konkursu „Teraz Polska” i Rady Fundacji, a także przez organizacje społeczne i samorządowe. Edycje zagraniczne zostały przeprowadzone w USA (Nowy Jork, Chicago, Zachodnie Wybrzeże) i we Francji. Za realizację Konkursu za granicą odpowiadały Komitety Organizacyjne utworzone przez lokalne organizacje polonijne. Spośród przedstawicieli miejscowych środowisk polonijnych wyłoniono Komisję Ekspertów, których zadaniem było dokonanie oceny zgłoszonych kandydatur i wybranie laureatów. Realizacja Konkursu za granicą była również wspierana przez polskie placówki dyplomatyczne, których pomoc i znajomość miejscowych środowisk są nie do przecenienia, m.in. Konsulat RP w Nowym Jorku, Konsulat RP w Chicago, Konsulat RP w Los Angeles oraz Ambasadę RP w Paryżu.

 WOJCIECH KILAR	 HILARY KOPROWSKI	 prof. MARIA SIEMIONOW	 prof. JACEK JASSEM	 ADAM MAŁYSZ	 prof. WIESŁAW L. NOWIŃSKI
 prof. HENRYK SKARŻYŃSKI	 RAFAŁ OLBIŃSKI	 KRZYSZTOF PENDERECKI	 dr JANUSZ LEWANDOWSKI	 prof. MAREK BELKA	 ANDRZEJ WAJDA
 dr JAN KULCZYK	Konkurs Wybitny Polak www.wybitnypolak.pl 				 ZYGMUNT SOLORZ-ZAK
 WALDEMAR DĄBROWSKI	 dr IRENA ERIS			 ks. prof. MICHAŁ HELLER	 JERZY SKOLIMOWSKI
 JAN A.P. KACZMAREK	 KRZYSZTOF PASTOR	 ANDRZEJ PĄGOWSKI	 KRZYSZTOF ZANUSSI	 KAMIL STOCH	 MARCIN GORTAT
 ELŻBIETA WYSOCKA	 prof. KRZYSZTOF MATYJASZEWICZ	 ANDRZEJ KRAKOWSKI	 IGA ŚWIĄTEK	 prof. MIROSLAW ZÁBEK	

Allan Starski jest jednym z najwybitniejszych polskich scenografów filmowych. Pochodzi z artystycznej rodziny – jego matka była tancerką, a ojciec znanym scenarzystą i autorem wielu popularnych piosenek. Jako samodzielny scenograf zadebiutował w 1973 r., tworząc scenografię do filmu „Chłopcy” Ryszarda Bera.

Przełomowym momentem w jego karierze stała się współpraca z Andrzejem Wajdą przy historycznym filmie „Smuga cienia”, realizowanym w koprodukcji polsko-angielskiej. Jej efektem była wspólna praca przy 14 filmach (przy 11 współpracował ze swoją żoną Wiesławą Starską, kostiumografką). Z Wajdą stworzył scenografie do tak kultowych filmów, jak „Człowiek z marmuru”, „Człowiek z żelaza”, „Panny z Wilka”, „Danton”.

Pracował z wieloma polskimi reżyserami, m.in. Januszem Zaorskim, Feliksem Falkiem, Krzysztofem Kieślowskim i Romanem Polańskim. Jest twórcą scenografii do filmów „Europa, Europa” i „Plac Waszyngtona” Agnieszki Holland. W 1987 r. otrzymał nominację do nagrody Emmy za scenografię do filmu „Ucieczka z Sobiboru” w reżyserii Jacka Golda.

Jednym z największych osiągnięć Starskiego była praca przy „Liście Schindlera” w reżyserii Stevena Spielberga. To za tę produkcję zdobył Oscara za najlepszą scenografię, stając się jednym z nielicznych Polaków, którzy zdobyli tę prestiżową nagrodę.

Do tematu II wojny światowej Starski powrócił, projektując scenografię do „Pianisty”, za którą otrzymał kolejne wielkie wyróżnienia: Cezara, francuską nagrodę Akademii Sztuki i Techniki Filmowej, a także Orła, nagrodę Polskiej Akademii Filmowej. Orłem uhonorowano Starskiego również za filmy „Pan Tadeusz” Andrzeja Wajdy i „Pokłosie” Władysława Pasikowskiego.

Do znaczących wyróżnień należą także Złota Żaba na Festiwalu Camerimage oraz nagroda za scenografię do filmu „Oliver Twist” Romana Polańskiego na Sannio Film Festival we Włoszech.

Współpracował z wieloma reżyserami światowymi, m.in. z Johnem Irvingiem, Peterem Webberem, Stijnem Coninxem, Fatihem Akinem. W środowisku filmowym Starski uchodzi za specjalistę w dziedzinie scenografii XIX-wiecznej oraz ilustrującej czas II wojny światowej i Holocaustu.

Allan Starski jest również autorem wielu scenografii do sztuk scenicznych i telewizyjnych. Do najbardziej znanych należą: „Wujaszek Wania” w reżyserii Aleksandra Bardinięgo, „Czarownice z Salem” w reżyserii Zygmunta Hubnera, „Rozmowy z katem” w reżyserii Andrzeja Wajdy (wystawiane przez Teatr Powszechny w Warszawie). Robił także scenografię sztuki „Wytwórnia piose-



© DAVID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

nek” w reżyserii M. Wojtyłki o powstawaniu filmu „Zakazane piosenki” (reż. Leonard Buczkowski, scen. Ludwik Starski).

W ostatnich latach Allan Starski prowadzi międzynarodowe warsztaty i kursy mistrzowskie dotyczące scenografii filmowej. Jest autorem książki „Scenografia”, cenionej wśród adeptów zawodów filmowych.

Laureat Platynowych Lwów na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych za całokształt twórczości (2023 r.) i Polskich Orłów za osiągnięcia życia (2025 r.).

Członek Stowarzyszenia Filmowców Polskich, od 2007 r. członek jego Zarządu Głównego. Członek Polskiej Akademii Filmowej, Europejskiej Akademii Filmowej (EFA) i Amerykańskiej Akademii Sztuki i Wiedzy Filmowej (AMPAS).

Uhonorowany Złotym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” i Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski za „wybitne zasługi dla polskiej i światowej kultury, za osiągnięcia w pracy twórczej i działalności artystycznej”.

Wojciech Siudmak – malarz, rysownik, rzeźbiarz. Urodził się 10 października 1942 r. w Wieluniu. Studiował w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie oraz w École des Beaux-Arts w Paryżu. Od 1966 r. mieszka i tworzy we Francji. Uważany jest za czołowego przedstawiciela tzw. realizmu fantastycznego i zaliczany do kształtującego się nurtu neosurrealizmu.

W 1975 r. w Paryżu Siudmak wraz grupą artystów, pisarzy i naukowców oraz francuskich wydawnictw rozwinęli oryginalny nurt science fiction i fantastyki, który szybko promieniował na inne kraje europejskie. Przełomowy czas w twórczości artysty to realizacja trzech dzieł – w 1975, 1976 i 1977 r. – które stały się plakatami słynnego Festiwalu Filmowego w Cannes.

Jest jednym z najbardziej znanych artystów związanych z Polską. Ceniony przez całą rzeszę czytelników czasopisma „Fantastyka”, a od 2004 r. – miłośników twórczości Franka Herberta i Philipa K. Dicka, bowiem bibliofilskim wydaniom dzieł tych autorów towarzyszą jego oryginalne rysunki. Obecnie artysta kończy rozpoczętą w 2004 r. monumentalną pracę nad cyklem „Diuna” Franka Herberta oraz całością dzieł Philipa K. Dicka, realizując dla każdego tomu serie oryginalnych rysunków. Od 2009 r. pracuje nad dziełami poświęconymi nokturnom Fryderyka Chopina. W 2014 r. wydano dwa tomy „Don Kichota” Cervantesa z rysunkami artysty. Dzieła Siudmaka są rozpowszechnione na całym świecie, pojawiają się na okładkach książek i płyt oraz na plakatach filmowych czy wydarzeń scenicznych. Jego twórczością fascynowali się m.in. Federico Fellini czy George Lucas, a obecnie – Denis Villeneuve, reżyser nagrodzonej Oscarami „Diuny”.

Twórca Światowego Projektu Pokoju i Nagrody Pokoju, których symbolem jest rzeźba „Wieczna miłość” – w mieście narodzin artysty znajduje się jej ponad czterometrowa wersja wykonana z brązu. Jego obrazy, rysunki i rzeźby prezentowano dotychczas na ponad stu wystawach, głównie indywidualnych, w Polsce i za granicą. Ważniejsze z nich to: pierwsza retrospektywa, która odbyła się w 1989 r. w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Palais de Tokyo w Paryżu; wystawa z okazji rozpoczęcia III tysiąclecia na wieży Eiffla w Paryżu; pokaz dzieł na świątyni Ramzesa III w Luk-



© JUSTYNA RADZYMIŃSKA / GALERIA TOTUART

sorze w Egipcie w 2000 r. Artysta został wielokrotnie odznaczony medalami i nagrodzony, m.in. Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej w Paryżu w 1999 r., Wielkim Złotym Medalem Akademii Art-Sciences-Lettres w Paryżu w 2013 r., statuetką Złotego Hipolita w 2014 r., statuetką Oxygenusa w 2015 r., Orderem Świętego Stanisława Biskupa i Męczennika w 2022 r. i Srebrnym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” w 2023 r. W 2016 r. został uhonorowany tytułem Wybitnego Polaka we Francji w kategorii Kultura.

Ponadczasowa sztuka Siudmaka urzeka renesansową perfekcją i wirtuozerią oraz wykraczającą poza normy wyobraźnią, fascynując bogactwem intelektualnym. Jego dzieła są syntezą nurtów science fiction, realizmu fantastycznego i symbolizmu. Świat Siudmaka jest jedyny w swoim rodzaju, pełen osobistej symboliki, fantastycznych postaci i konstrukcji opartych na nieoczekiwanych splotach myślowych. Rządzi w nim dewiza: „Tylko marzenie może przekroczyć wszelkie bariery”.

Tu polska innowacja ma swój początek

Adamed Pharma to polska firma farmaceutyczno-biotechnologiczna z 39-letnim doświadczeniem, która powstała na bazie polskiej myśli naukowej i własnych patentów.



- Prawie 2 800 zatrudnionych Współpracowników
- Ponad 2,4 mld zł na inwestycje i prace badawczo-rozwojowe
- 8 zagranicznych przedstawicielstw
- Kilkadziesiąt rynków zagranicznych, na których jesteśmy obecni
- Blisko 900 produktów w portfolio
- 250 patentów

Udoskonalamy istniejące terapie

Poszukujemy nowych, oryginalnych leków

**ADAMED**
Dla Rodziny



CANPACK LAUREATEM KONKURSU TERAZ POLSKA



Aluminiowa puszka 500 ml. Format, który zmienił historię.
Od ponad 30 lat z dumą budujemy polski rynek opakowań napojowych.

www.canpack.com



MEBLE[®] WRÓBEL

LAUREAT KONKURSU



TERAZ POLSKA



**Bezpieczeństwo
to nasz priorytet**



**Regulowany stopień
oraz podest**



**Wysoka jakość
materiałów**



**Farby bezpieczne
dla dzieci**



Łatwy montaż



POMOCNIK KUCHENNY - KITCHEN HELPER

Stolarstwo Tomasz Wróbel
Wólka Tanewska ul. Wołoszyny 21c
37-410 Ulanów

 meblewrobel.pl





Unikalne meble dla dzieci i młodzieży



www.meblik.pl



producent worków do odkurzaczy

*Jesteśmy z Wami i dla Was już od ponad 30 lat!
Dziękujemy!*

Co sprawia, że K&M jest LIDEREM JAKOŚCI?

- Najwyższa jakość
- Dostępność
- Zadowolenie klienta
- Solidność
- Niezawodność

Poznaj nasz asortyment

- worki domowe
- worki profesjonalne i przemysłowe
- akcesoria, ssawki, filtry
- pochłaniacze zapachów do lodówek
- uchwyty do worków z elastomerem

Siódmy raz z rzędu „ZŁOTE GODŁO”
KONSUMENCKI LIDER JAKOŚCI
w kategorii „Producenci worków do odkurzaczy”



www.k-m.com.pl



OD PROSTEGO POMYSŁU DO CODZIENNEGO NAWYKU MILIONÓW

Dziesięć lat temu mało kto przypuszczał, że 6-cyfrowy kod stanie się symbolem rewolucji płatniczej w Polsce. A właśnie wtedy zaczęła się historia BLIKA. W 2015 roku grupa sześciu polskich banków zjednoczyła się, aby stworzyć system, o jednym prostym założeniu: płatności powinny być szybkie, bezpieczne i dostępne z poziomu aplikacji bankowej – bez noszenia portfela i bez zbędnych komplikacji.

Pomysł szybko zyskał uznanie – użytkownicy przekonali się, że BLIK to nie tylko innowacja, ale realna wygoda na co dzień. Wszystko zaczęło się od wypłat z bankomatów, potem zaś BLIK zyskał popularność podczas zakupów w Internecie, a dziś umożliwia także płatności zbliżeniowe, odroczone oraz rekurencyjne.

Dzięki temu BLIK od lat konsekwentnie umacnia pozycję lidera w e-commerce – obecnie co druga płatność online w Polsce realizowana jest właśnie za jego pomocą. Użytkownicy cenią go za szybkość działania, intuicyjność i wysoki poziom bezpieczeństwa. Potwierdzają to badania KANTAR: BLIK jest najbardziej rozpoznawalną marką płatności bezgotówkowych w Polsce – zna go 96 proc. użytkowników aplikacji bankowych, a 52 proc. z nich wybiera ten system najczęściej.

Dziś o jego sukcesie najlepiej mówią liczby. W 2024 roku Polacy wykonali za pomocą BLIKA 2,4 mld transakcji, o łącznej wartości 347,3 mld zł. Jednak wpływ tego systemu nie ogranicza się do ułatwiania codziennych płatności milionów Polaków. Jak pokazuje raport EY, BLIK ma wymierny wpływ na gospodarkę – w ciągu ostatniego roku wspierał generowanie 42 mld zł wartości dodanej, co odpowiada 1,2% polskiego PKB, czyli tyle, ile roczne wydatki państwa na szkolnictwo wyższe.

Mimo, że Polska pozostaje najważniejszym rynkiem dla rozwoju BLIKA, to kolejnym celem jest przeniesienie tego sukcesu poza granice kraju. Dlatego też prowadzona jest intensywna ekspansja zagraniczna, a BLIK aktywnie włącza się w inicjatywy paneuropejskie, wspierające rozwój nowoczesnych usług płatniczych. System jest już dostępny na Słowacji, a wkrótce zadebiutuje także w Rumunii. To naturalny kierunek dla technologii, która skutecznie odpowiada na potrzeby użytkowników i sprawdza się w codziennym funkcjonowaniu.



POLSKA
ORGANIZACJA
TURYSTYCZNA



MIEJSCE PEŁNE PRZYGÓD



☎ 41 310 10 13 / 533 979 221

✉ rezerwacja.baltow@jurapark.pl

📍 ul. Bałtów 8a 27-423 Bałtów,
woj. świętokrzyskie



🌐 www.juraparkbaltow.pl

f [/parkbaltow](https://www.facebook.com/parkbaltow)

📷 [/baltowski_kompleks_turystyczny](https://www.instagram.com/baltowski_kompleks_turystyczny)



TRASKO
INVEST

BUDUJEMY DLA WYMAGAJĄCYCH



www.trasko.pl



“Tworzymy przyszłość medycyny”



**Nie chodzi tylko o sprzęt.
Chodzi o ludzi.
O pasję.
O przyszłość medycyny.**

Od ponad 30 lat budujemy INMED z przekonaniem, że technologia i jakość mogą – i powinny – iść w parze. Jako firma wywodząca się z Dolnego Śląska, dostarczamy kompletne, nowoczesne i precyzyjne rozwiązania dla szpitali i placówek medycznych – w Polsce i na całym świecie.

To, co robimy, najlepiej oddaje jedno zdanie:

„Od podłogi po sufit” – tak kompleksowo podchodzimy do wyposażania szpitali.

Z zewnątrz to może wyglądać jak techniczna praca: projektowanie, produkcja, montaż.

Ale jeśli spojrzeć głębiej – to historia ludzi, którzy tworzą technologię z duszą. Projektujemy z empatią. Montujemy z precyzją. Inwestujemy w jakość i estetykę, bo wiemy, że w medycynie liczy się każdy szczegół.

Co robimy?

Specjalizujemy się w tworzeniu:

- systemów rurociągowych do gazów medycznych,
- ściennych jednostek zaopatrzenia medycznego,
- sufitowych jednostek zaopatrzenia medycznego - mostów i kolumn anestetycznych i chirurgicznych,
- innowacyjnych podłogowych stanowisk zaopatrzenia medycznego.

Nasze produkty można znaleźć w szpitalach w całej Polsce, a także w Niemczech, Francji, Czechach, Belgii, Zjednoczonych Emiratach Arabskich, Kanadzie, Wietnamie czy Nowej Zelandii.

Kim jesteśmy?

Jesteśmy zespołem inżynierów, projektantów, techników i specjalistów, którzy od trzech dekad rozwijają markę opartą na wartościach: odpowiedzialności, rzetelności i szacunku dla człowieka. Wszystko, co robimy, powstaje w naszym własnym, nowoczesnym zakładzie produkcyjnym w Krępicach pod Wrocławiem – na ponad 5000 m² powierzchni.

INMED to nie tylko fabryka. To środowisko ludzi z pasją – tych, którzy zostają z nami na lata i współtworzą kulturę organizacyjną opartą na zaufaniu, stabilności i rozwoju.

INMED S.A. to firma z polskimi korzeniami i światową jakością. Łączymy najnowsze technologie z odpowiedzialnością społeczną. Wspieramy szpitale, fundacje, dzieci, a także ochronę środowiska.

Dbamy o komfort pracy i jakość życia – zarówno pacjentów, jak i pracowników służby zdrowia.



Ruszam w świat z AC bez wad!

Autocasco All Risk w TUZ Ubezpieczenia, według nas – bez wad.
Mamy na to konkretne dowody:

- 1 Ochrona od zniszczenia, uszkodzenia i kradzieży w wyniku wszystkich ryzyk (all risk)*, dla pojazdów w wieku nawet 20 lat!
- 2 Bez nieprzyjemnych zaskoczeń przy ustalaniu kwoty odszkodowania:
 - brak udziałów własnych, czyli odpowiedzialność od 1 złotówki
 - brak franszyzy integralnej, czyli odpowiedzialność za najmniejsze nawet szkody
 - brak potrąceń amortyzacyjnych przy rozliczaniu kosztu naprawy**
 - brak redukcji sumy ubezpieczenia***, czyli konieczności doubezpieczenia po szkodach częściowych.
- 3 1 zł za ubezpieczenie bagażu do 5000 zł, również od kradzieży - w tym: rowerów, nart, desek snowboardowych, odzieży, obuwia, wózków i fotelików.
- 4 Trzy atrakcyjne warianty produktu, zróżnicowane ceną i sposobem likwidacji szkody:
 - Kosztorys, czyli „gotówka do ręki”
 - Sieć Naprawcza TUZ, a w niej usługa „door to door”, samochód zastępczy na cały czas naprawy i oryginalne części
 - Serwis, w tym ASO, niezależnie od wieku pojazdu!
- 5 Oferta dla pojazdów w leasingu/kredycie.
- 6 Odpowiedzialność również za powłoki ceramiczne - do 3000 zł, w okresie gwarancji producenta.

* Z uwzględnieniem wyłączeń opisanych w OWU, dostępnym na stronie www.tuz.pl

** Z wyłączeniem szkód polegających na uszkodzeniu ogumienia, akumulatora, baterii w pojazdach elektrycznych, elementów ciernych układu hamulcowego i sprzęgła, amortyzatorów, elementów układu wydechowego.

*** Z wyłączeniem ubezpieczenia bagażu.



Restrukturyzacja.

Ratunek dla przedsiębiorstw

w kłopotach finansowych.



Dowiedz się więcej



Zeskanuj mnie!



MIKULEWICZ OSTASZEWSKI

KANCELARIA ADWOKACKA SPÓŁKA KOMANDYTOWO-AKCYJNA



Zaufaj ekspertom. U nas zawsze bezpłatna konsultacja!

Adres: ul. Zygmunta Stomińskiego 15/8, 00-195 Warszawa

Tel.: (+48) 22 118 27 87 / (+48) 508 687 456

Mail: sekretariat@mlo-kancelaria.pl



TRADYCJA GWARANCJĄ SUKCESU!

Zakład Przetwórstwa Mięsnego PŁATEK
znajduje się w malowniczej wiosce
pod Krakowem.

Wędliny przez nas produkowane
to wyroby najwyższej jakości,
jak również wygładzie.

Są wędzone aromatycznym dymem
pochodzącym z drzew: buku i olchy,
dzięki czemu mają intensywny aromat
i niepowtarzalny smak.

Firma posiada szeroką ofertę
asortymentową,
która z roku na rok jest coraz bogatsza:
kielbasy, kabanosy, wędzonki
oraz wędliny podrobowe.



Przetwórstwo Mięsne „Płatek” Spółka Jawna
Nowa Wieś Szlachecka,
ul. Gościniec 4, 32-060 Liszki
tel. 12 270 25 83 kom. 533 702 583

Nasze social media



FACEBOOK



TIK-TOK

WANNY WOLNOSTOJĄCE



Polimat®

POLSKI PRODUCENT
WANIEŃ I BRODZIKÓW



www.polimat.com.pl

Nasz wentylator - Twój komfort...

✓ POZIOM CIŚNIENIA AKUSTYCZNEGO
W POMIESZCZENIU | **22**
dBA

✓ WYDAJNOŚĆ NA KRATKACH
WENTYLACYJNYCH OD | **50-100**
m³/h

✓ MOC | **3-6**
WAT

WYSOKOWYDAJNY
WENTYLATOR DACHOWY

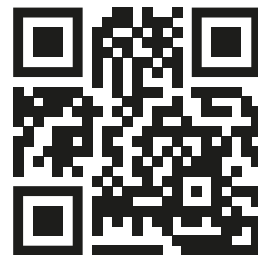
ORA-160



Skontaktuj się z nami:
+48 (32) 203 71 47
www.uniwersal.com.pl



więcej niż
wafle.



Od ponad 30 lat produkujemy chrupiące wafle do lodów,
które łączą tradycyjny smak z nowoczesną wizją.

Soforek to nie tylko produkt –
to także wsparcie dla młodych talentów i lokalnych inicjatyw.



www.soforek.pl



handlowy@soforek.pl



+48 693 014 000



facebook.com/soforek



[soforek_wiecej_niz_wafle](https://www.instagram.com/soforek_wiecej_niz_wafle)

Producent: SOFOREK Sp. z o.o. Sp. K., 64-820 Szamocin, Os. Smolary 4

SOFOREK sponsor główny kadr narodowych



POLSKI
ZWIĄZEK
JEŹDZIECKI

LYSON

Naturalnie
z miodem

www.pasiekalyson.pl

MIODOWY
KŁOS

DAKTYL

BEZ DODATKU CUKRU

MIODOWY
KŁOS

SŁONECZNIK

BEZ DODATKU CUKRU

BEZ
DODATKU
CUKRU

SIŁA I MOC MIODU
AKTYWNOŚĆ I ZDROWIE

MIODOWY KŁOS





RESPECT ENERGY

Oszczędzaj nawet 30% na energii w firmie



Wykonaj bezpłatną analizę faktury
- online, w mniej niż 1 minutę



100% zielonej energii dla firm to:

- ✓ Niższa cena energii
- ✓ Brak opłaty handlowej
- ✓ Brak ukrytych opłat
- ✓ Gwarancja stałej ceny nawet na 10 lat
- ✓ Wydłużony termin płatności
- ✓ Prosta zmiana sprzedawcy online
- ✓ Wsparcie na każdym etapie



Jesteśmy największym, niezależnym, polskim sprzedawcą energii



100%
polskiego
kapitału



12 lat
doświadczenia



27 rynków
zagranicznych



1000
polskich
wytwórców OZE

Termin „100% zielona energia” oznacza, że Respect Energy zapewnia pozyskanie gwarancji pochodzenia potwierdzających wytworzenie ze źródeł odnawialnych i wprowadzenie do sieci ilości energii odpowiadającej całości energii elektrycznej sprzedanej Klientom przez Respect Energy w ramach usługi kompleksowej.

respectenergy.pl



POCZUJ MOC

naturalnej odporności

**Jogurt śmietankowy ze Strzałkowa
bez laktozy z nie mniej niż
1 mld żywych bakterii BB-12**

Prosty skład- czysta etykieta

Stworzony z mleka od lokalnych, polskich dostawców. Bez dodatków, bez konserwantów, bez kompromisów.

Bez laktozy- bez ograniczeń

Idealny dla osób z nietolerancją laktozy lub dbających o dietę lekkostrawną.

BB-12- 2,5 mld powodów, by poczuć się lepiej

Każde opakowanie 180 g zawiera aż 2,5 mld żywych bakterii *Bifidobacterium*. Najlepiej przebadany szczep na świecie, który w naturalny sposób pomaga zadbać o jelita i dobre samopoczucie każdego dnia.



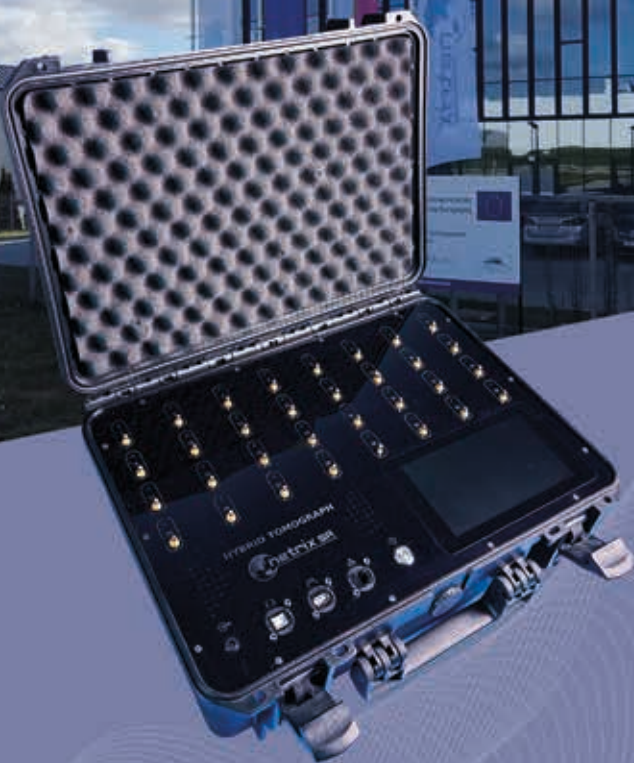
mleczarnia_stralkowo

www.smu.com.pl

nie mniej niż

1 MLD

żywych bakterii
Bifidobacterium



Wspieramy • Wdrażamy • Wzmacniamy
INNOWACJE

NOWOCZESNE TECHNOLOGIE DLA PRZEMYSŁU I BIZNESU



GRUPA **NETRIX**
You need Our Solutions

netrix
LINK

NETRIX LINK
Instytucja otoczenia biznesu

netrix
EDGE

NETRIX EDGE
Branding, Strategia, PR & Komunikacja

netrix
RDI

NETRIX RDI
Centrum Badawczo - Rozwojowe

netrix
ICE

NETRIX ICE
Systemy Informatyczne

netrix
VC

NETRIX VC
Fundusz Venture Capital

LUBLIN



RZESZÓW



WARSZAWA



GDAŃSK

netrix.com.pl



Teraz *biznes*

 **Targi Kielce**
exhibition & congress centre

BLACHY PRUSZYŃSKI



RAZEM
BUDUJEMY POLSKĘ

www.pruszynski.com.pl

